



Beniamin Muszyński

# Hipoteza

# **Hipoteza**

Beniamin Muszyński

Tytuł: *Hipoteza*

Autor: Beniamin Muszyński

Redakcja i korekta: Justyna Anna Maksoń, Justyna Pawłowska

Ilustracja i projekt okładki: Martyna Szczykutowicz

Makieta: Karina Graj

Skład: Krzysztof Bernacki

Korekta składu: Martyna Szczykutowicz

Patroni wydania:

PostApo2012

[www.post-apo-2012.pl](http://www.post-apo-2012.pl)

Trzynasty Schron

[www.trzynasty-schron.net](http://www.trzynasty-schron.net)

Outpost

[www.postapocalyptic.net](http://www.postapocalyptic.net)

Radioaktywne Recenzje

[www.radioaktywne-recenzje.blogspot.com](http://www.radioaktywne-recenzje.blogspot.com)

Bestiariusz

[www.bestiariusz.pl](http://www.bestiariusz.pl)

Powieść została ufundowana dzięki wsparciu ludzi dobrej woli na serwisie Wspieram.To.  
Dziękujemy Wam raz jeszcze!

Polecamy również gry książkowe autorstwa Beniamina Muszyńskiego!

Zajrzyjcie na [www.gindie.pl](http://www.gindie.pl) oraz na [www.masz-wybor.com.pl](http://www.masz-wybor.com.pl)

Wydawca

Gindie Jacek Gołębiowski

Władysława Łokietka 9/3

Knurów 44-194

NIP: 9691495628

kontakt: [kontakt@gindie.pl](mailto:kontakt@gindie.pl)

Współwydawca:

Wydawnictwo Wielokrotnego Wyboru (grupa nieformalna)

[www.masz-wybor.com.pl](http://www.masz-wybor.com.pl)

[magazyn.masz.wybor@gmail.com](mailto:magazyn.masz.wybor@gmail.com)

ISBN:

978-83-64805-40-0 (druk)

978-83-64805-41-7 (ebook)

©2015 Wydawnictwo Gindie

Wszystkie prawa zastrzeżone

*Magdzie*

W rozbitym przez ból umyśle nieśmiało zabłysła pierwsza iskra świadomości. Z chaotycznego natłoku myśli, wrażeń i mglistych wspomnień z wolna zaczął wyłaniać się w miarę klarowny obraz rzeczywistości. Mężczyzna otworzył oczy, wziął głęboki wdech, przełknął ślinę. Kończyny poruszyły się niemrawo, a z ust dobiegł cichy jęk. Żył. Ból minął. To były pierwsze fakty, jakie świadomie zarejestrował, wszystko inne nie miało jeszcze znaczenia. Czekał. W końcu, gdzieś głęboko wśród iskrzących neuronów, gdzie rodzą się sny i mieszka jaźń, coś znów się poruszyło, rozbłysła jakaś ważna myśl. Musiał ją uchwycić. Zmrużył zatem powieki, ponownie odcinając się od świata barw i kształtów. Zaraz potem przebudziło się to, co zostało z jego pamięci. Mężczyzna przypomniał sobie, że ludzkość przegrała. To był koniec cywilizacji, świat przestał należeć do ludzi. Homo sapiens nie miał już przyszłości, dominujący gatunek został skreślony. Większość ludzi zginęła, a kobiety przestały rodzić. Martwe łona w umarłym świecie. To pasowało. Nastał, tak żarliwie zwiastowany przez popkulturę, ósmy dzień dzieła stwórczego – czas po końcu świata. Postapokalipsa. Otworzył oczy i powoli wciągnął zatechłe powietrze do płuc. Nadal żył.

# Rozdział I

Cierpki zapach potu wypełniał niewielkie pomieszczenie na poddaszu, pośrodku którego na wyświechtanym materacu, leżał półnagi mężczyzna. Przez ułożone w ukośnym suficie okienko do wnętrza pokoiku wpadało światło. Nieszczęśnik podniósł się niezdarnie i walcząc z nagłymi zawrotami głowy, otworzył łufcik, wpuszczając do środka podmuch świeżego powietrza. W brudnej szybie ujrzał twarz obcego człowieka. Kim był ten wystrzyżony mężczyzna z masywną szczęką i boksyerskim nosem? Tego nie pamiętał. Kotłujące się w jego umyśle strzępy wspomnień nie mogły pomóc nawet w określeniu imienia. Twarz i umięśnione ciało sugerowało, że w życiu polega przede wszystkim na swojej sile. I to wszystko? To on? Kłębowisko mięśni rozwiązujące problemy pięściami? Nie, musiało być w nim coś więcej. Czuł w sobie coś... nieokreślonego. Ważnego. Rozejrzał się po pokoju, dostrzegając stojący w kącie taboret, na którym ktoś położył stary portfel z brązowej skóry. Mężczyzna rzucił się na przedmiot, nerwowo szukając w nim utraczonej tożsamości. Znalazł jedynie zabezpieczoną taśmą klejącą kartkę z zeszytu. Rozłożył zmaltretowany świstek papieru, chciwie wpił się wzrokiem w zapisane niezbyt starannym pismem oświadczenie:

*Jestem Tobą. Nazywasz się Dymitr, to nie jest prawdziwe imię, zobaczyłem je na kartce z kalendarza w domu, w którym się obudziłem po utracie pamięci. Co jakiś czas, co trzy, cztery tygodnie, może częściej, będziesz miał ostre bóle głowy. Za każdym razem będzie gorzej, aż w końcu (jakiś 5, 6 atak) stracisz pamięć. Spisuję to dwa lata od Katastrofy spowodowanej podobno wolą boga. Nie pamiętam już prawie niczego ze swojej przeszłości. Mam tylko świadomość, że WIEM COŚ WAŻNEGO. Jest to związane z jakąś „wieżą Babel”, szukam informacji o takim miejscu. Trzymaj się, bądź twardy, nie ufaj nikomu, wierz w siebie.*

*Dymitr*

– Dymitr – powiedział na głos. – Nazywam się Dymitr. Jestem Dymitr.

W tym wschodnim imieniu było coś miłego dla ucha, jakaś nutka swojskości, a skoro jego poprzednie „ja” je wybrało, to „on” nie zamierzał podważać tej decyzji. Ciekawe, czy przybierał to imię po każdym ataku amnezji? Ile lat minęło od napisania tego liściku? Dymitr uchylił okno tak, że niemal znalazło się w pozycji pionowej i zadarł głowę

w stronę niewyraźnego odbicia. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, nie więcej. Miał na sobie workowate spodnie i przepocony podkoszulek bez rękawów. To mu nie pasowało. Może, przewidując ostatni atak, przebrał się w coś takiego? Ściągnął z siebie szare dresy i obejrzał je dokładnie. Były w miarę czyste, bez śladów ekskrementów, w malignie nie spędził więc wiele czasu. Ruszył wolno ku drzwiom i wyszedł na wyłożony zakurzonym, zielonkawym dywanem korytarz prowadzący ku schodom. Obliznął spierzchnięte wargi i odkaslnął gwałtownie. Z dołu natychmiast dobiegł go głos jakiegoś starszego mężczyzny:

– Odzyskałeś już świadomość? Nazywasz się Dymitr, informacje o sobie masz w portfelu na taborecie, tak jak prosiłeś.

– Kim jesteś? – odrzyknął, ostrożnie schodząc na dół.

– Przyjacielem – odparł głos. – Opiekowałem się tobą.

Wchodząc na półpiętro, Dymitr dostrzegł nieznanego „przyjaciela”, wspartego o ścianę naprzeciw schodów. Starszy, całkiem już siwy mężczyzna ze związanymi w kucyk włosami. Uśmiechnął się przyjaźnie, wyciągając dłonie z kieszonek jeansowej kamizelki, wyglądającej jak przedłużenie jego wysłużonych spodni.

– Cześć, Dymitr.

– Kim ty niby jesteś?

– Maksymilian, albo po prostu Maksym.

– Dymitr, Maksym... Czuję się jakbyśmy byli w Rosji – wybąkał niepewnie młodszy z mężczyzn, czujnie obserwując rozmówcę.

– Może tam w końcu udałoby się znaleźć większe zapasy wódki. Niestety! Nadal jesteśmy na starych śmieciach w Polsce, jakieś osiem kilometrów od Krakowa.

– W notatce nic o tobie nie było.

– Mówiłeś kiedyś, że jest stara.

– Ile lat minęło od katastrofy?

– Pięć.

– Więc od lat tułam się nie wiadomo za czym?

– Nie myśl teraz o tym. Chodź, niedawno padało, więc jest sporo deszczówki, umyjesz się porządnie, dam ci twoje rzeczy i coś zjemy.

Dymitr skinął głową, ruszając śladem swojego kompana. *Maksym. Niech będzie i Maksym*, pomyślał. Ten człowiek mu pomógł, więc chyba faktycznie można go było uznać za przyjaciela. A przynajmniej chwilowego sojusznika. Ciekawe, od kiedy się znają? Skurcz w żołądku zwrócił myśli mężczyzny w stronę bardziej przyziemnych spraw. Tak, zjedzenie czegoś to dobry pomysł. Ale wyraźnie wyczuwalny fetor spoconego ciała

był, póki co, bardziej frustrujący niż głód. Stary miał rację, najpierw wypadało się porządnie umyć.

Mała kuchnia ceglanego domku, w którym rezydowali, wyglądała dosyć przytulnie, mimo pozostałości po niechlujnie zerwanych pajęczynach i monsturalnej ilości kurzu. Kąpiel była doskonałym pomysłem. Dymitr czuł się znacznie lepiej, zupełnie jakby woda i resztki szarego mydła zmyły z niego wszystkie troski. Ubrany w swoje niemożliwie połatane, znoszone ubrania w moro miał wrażenie, jakby część mglistych wspomnień powoli zaczynała do niego wracać. Pamiętał już reguły postępowania w tym nowym, nieprzyjaznym człowiekowi świecie. A prosta, skórzana kurtka z usztywnionym kołnierzem sprawiała wrażenie czegoś, co należało do jego poprzedniego życia, tego sprzed zagłady. Z tamtego okresu pamiętał całkiem sporo, ale żaden z tych obrazów nie dotyczył bezpośrednio jego. Zdobyte informacje, tytuły obejrzanych filmów, jakieś zarysy fabuł przeczytanych książek. Błade echa tego, kim był kiedyś „Dymitr”. Tymczasem Maksym krzątał się wokół rozpalonego pieca kaflowego, podgrzewając na jego blacie garnek z fasolą. Staruszek wydobyl z kredensu talerze, na które wylał zawartość garneczka i rzucił w Dymitra łyżką, zachęcając:

– Ćwicz refleks!

Mężczyzna zadziałał szybciej niż pomyślał, gładko chwytając przedmiot w locie.

– Brawo – skomentował stary. – Przyzwyczajaj się. Jesteś cholernie zręczny! Szybki, silny, wytrzymały, bezlitosny. Dziecko tych czasów.

– Super – mruknął Dymitr. – Po co zśliśmy do Krakowa?

– Ty szedłeś, ja jestem tylko cieniem, który czasem ci coś ugotuje, żebyś nie marnował czasu na takie sprawy.

– Aha.

– Ech, liczyłem, że po tym restarcie pamięci będziesz bardziej rozmowny. Ale chyba pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– To po co szedłem do Krakowa?

– Podobno jest tam jakieś większe skupisko ludzi. Myślałeś, że może tam ktoś słyszał o tej twojej wieży Babel.

Dymitr burknął coś pod nosem i nie spytał już o nic, skupiając całą uwagę na jedzeniu, co pewien czas zerkając kontrolnie w stronę Maksyma. Stary wyraźnie chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego mruzczał coś tylko pod nosem, powoli żując fasolę.

– Chcesz czegoś? – spytał, gniewniej niż zamierzał, Dymitr.



– Spokojnie! Tylko się zastanawiałem, czy... W zasadzie jesteś teraz trochę jakby nowym człowiekiem, nie musisz szukać tej całej wiedzy. Mijaliśmy dużo miejsc, w których mógłbyś nieźle żyć. Masz krzepę, możesz znaleźć jakąś pracę.

– Jako wykidajło?

– Chociażby. Nie jesteś typem pacyfisty, sam to pewnie poczujesz przy najbliższej utarczce z jakimś cwaniaczkiem. Po co snuć się po kraju w poszukiwaniu jakichś bzdur?

– To nie jest bzdura! – odwarknął Dymitr, czując nagły przypływ złości.

Nie wiedział, czy to efekt słów staruszka, czy reakcja własnego organizmu, ale ten stan podenerwowania wydał mu się całkiem naturalny. Mimo tego złagodził nieco ton głosu, oświadczając:

– Skoro napisałem o tym w notatce sprzed trzech lat i do tej pory, po tych wszystkich atakach, nadal noszę ze sobą taką wersję, to musi być coś ważnego. Tak to czuję. Chciałem iść do Krakowa i do Krakowa pójdę. Z tobą albo sam.

– W porządku, w porządku – zapewnił nieco przestraszony Maksym. – Będzie jak chcesz. Zawsze tak jest, ty tu dowodzisz, szefie – staruszek wysilił się na żartobliwy ton.

– Jak stoimy z zapasami?

– Dobrze, jest nawet kilka puszek z mięsem na czarną godzinę, wojskowe zapasy.

– Byłem w wojsku?

– Może i byłeś, nie wiem. Znamy się dosyć... No nie, nie aż tak znowu długo. Nie wiem nic o twojej przeszłości, ale sądząc po twojej kondycji i starych bliznach, to przed Dniem Sądu raczej nie zajmowałeś się pracą umysłową. Bez obrazy.

Dymitr poczuł, jakby gdzieś, w odmętach świadomości, coś mu drgnęło. Jakieś odległe, prawdopodobnie na zawsze już utracone wspomnienie. Nawet nie próbował go wydobyć, zamiast tego podejmując decyzję:

– Zostaniemy tu do jutra, chcę trochę się rozruszać. Rano ruszamy do Krakowa.

– Na Wawel! – zakrzyknął raźnie Maksym, unosząc zbrojną w widelec dłoń w triumfalnym geście.

Mężczyźni dokończyli posiłek w ciszy i opuścili kuchnię, w rogu której nerwowo poruszył się drobny pająk. Przystanął na kilka chwil, jakby oczekując, czy przedstawiciele wymierającego gatunku nie

powrócą. Jego pałukowate odnóża drgnęły w końcu, niosąc korpus w stronę jednej ze zniszczonych pajęczyn.

\*\*\*

Późnowiosenny, pogodny, choć nieco wietrzny dzień sprzyjał forsownemu marszowi. Objuczony pokaźnych rozmiarów plecakiem Dymitr nadawał tempo dla Maksyma, również mozolnie taszczącego na plecach swój życiowy dobytek. Stary radził sobie naprawdę dobrze, a jego miarowy oddech świadczył, że był przyzwyczajony do wysiłku fizycznego. Dymitr z uznaniem patrzył na swojego towarzysza, wyrzucając sobie lekkomyślność w pierwszej ocenie tego człowieka. W tym czasach nierozsądne było oceniać kogoś na pierwszy rzut oka, taka pomyłka mogła drogo kosztować. Na właściwy teren Krakowa wkroczyli jakieś pół godziny temu, i z każdą chwilą zabudowa wokół jezdni, po której maszerowali, stawała się coraz gęstsza. Tak samo wzrastała liczba rdzewiejących samochodów, we wnętrzach których tkwiły szczątki pasażerów. Wciśnięte w zmurszałe ubrania szkielety poniewierały się też po chodnikach, przywodząc na myśl rozrzucone przez rozkapryszone dziecko lalki. Dymitr bezwiednie wypowiedział na głos myśl, która nagle zakwitła mu w umyśle:

- Śmierć przyszła nagle.
- W końcu to dzieło Boże.
- Skoro tak mówisz...
- Nie ja, tylko wszyscy. Słuchaj Dymitr, ja rozumiem, że może teraz wydaje się to dla ciebie czymś niemożliwym, ale każdy tak miał. Przyzwyczajaj się do tej myśli.
- Po to, żebym musiał to robić od nowa po kolejnej utracie pamięci?
- Tej swojej wieży Babel przecież tak szukasz.
- Bo to coś ważnego.
- Twój wybór. W każdym razie - długo tak już nie pociągniesz, coraz mniej ludzi podróżuje, kończą się zapasy, a działające gospodarstwa rolne to już praktycznie małe twierdze, nikogo nie przyjmą. Kiedyś będziesz musiał się ustatkować.

Dymitr odburknął coś niezrozumiale i przyśpieszył kroku, podejrzliwe zerkając ku stojącemu w poprzek drogi autobusowi. Skierowany w stronę przybyszów bok pojazdu był zamalowany na białą, tworząc coś w rodzaju tablicy, na której ktoś umieścił jakieś napisy. Z bliska tekst okazał się rodzajem powitalnego ostrzeżenia głoszącego:

*Przybysze! W Królewskim Mieście Kraków znajdziecie schronienie, Straż Miejska sprawuje władzę na terenie Starego Miasta, granicą są Planty. Jesteśmy uzbrojeni – chcesz do nas przystać, to przestrzegaj naszego Prawa! Punkt informacyjny przy Teatrze Bagatela.*

Pod spodem ktoś dorysował wielkiego penisa, znalazło się też miejsce na kilka wyzwisk pod adresem Straży. Maksym prychnął pogardliwie, kwitując:

– Nawet po końcu świata komuś chciało się szukać zdatnej do użycia farby, żeby dorysować wielkiego fiuta. Mówię ci, Dymitr, gdybyśmy nie wyginęli, to za tysiąc lat archeologowie nazwaliby nas modernistyczną kulturą falliczną.

– Jak ktoś ma w głowie kutasy, to niech je sobie rysuje. Jego czas, nie mój autobus. Lepiej martwmy się, jak w ogóle znaleźć ten teatr.

– Tym się akurat nie martw się, bywałem tu często przed Dniem Sądu.

– Katastrofą.

– Zwał, jak zwał. Poza tym niedługo będziemy mijali prokocimski szpital, a kawałek dalej stoi hipermarket. Oba miejsca pewnie dawno już szabrowano, ale może coś zostało. Zajdziemy?

– Czemu nie – stwierdził Dymitr i ruszył przed siebie, zostawiając w tyle wpatzonego w autobus Maksyma.

Stary wymamrotał pod nosem:

– Szkoda, że nie mam farby...

Godziny spędzone na penetracji szpitala, hipermarketu oraz kilkunastu mieszkań nie przyniosły efektów. Większość znalezionej żywności puszkowanej była już przeterminowana, a panoszące się wszędzie szczury dokończyły dzieła zniszczenia. Rozczarowani mężczyźni podjęli przerwana wędrowkę w stronę centrum, walcząc z pokusą, by zajrzeć do mijanej w pewnej odległości galerii handlowej i marketu budowlanego.

– Będzie jeszcze czas na szabry – uspokajał Maksym. – Jeszcze z pół godziny i wejdziemy na most Dębnicki, stamtąd jest już blisko do rynku.

– Ciekawe, jak odnoszą się do obcych.

– Jak wszędzie. Jeśli wydajesz się przydatny, to zawsze znajdzie się jakiś kąt. Na twoim miejscu byłbym spokojny, taki byk jak ty wszędzie znajdzie zajęcie. Zwykle robięś...

– Nie interesuje mnie, jaki byłem. Sam odkryję, co we mnie siedzi.

– Twoja wola.

– Szkoda, że samochody trafił szlag – stwierdził Dymitr, definitywnie kończąc temat swojej poprzedniej tożsamości. – Na pewno wszystkie wysiadły?

– Tak, wszystkie na pewno siadły. Przynajmniej te w miarę nowe. Ogólnie cała elektronika padła. Widać tam w górze chcieli nam całkowicie utrudnić resztę życia. Ciekawe czym właściwie przegliśmy? Przecież ostatecznie nie wywołaliśmy nuklearnej wojny, nie było super wirusa ani większych patologii. Żyjesz sobie spokojnie, pilnujesz swoich spraw, i nagle BACH! Koniec świata.

– Ciekawe, dlaczego my przetrwaliśmy. Jak myślisz?

– Wybacz, ale o czymś takim prawie obsesyjnie gadałeś tuż przed ostatnim atakiem. Nie mam już sił o tym znów dyskutować, zresztą doszlibyśmy do tego samego wniosku. Nie wiadomo. Bóg tak zdecydował, basta.

– Naciągane to trochę.

– Dla ciebie wszystko jest wielką zagadką. Daj sobie spokój Dymitr, i tak za kilka miesięcy nie będziesz pamiętał tych przemyśleń.

Maksym poczuł ukłucie strachu, widząc nienawistne spojrzenie rozmówcy. Dymitr przyśpieszył, oznajmiając sucho:

– Ruchy. Widać już ten twój most.

Stary chciał coś dodać, ale ostatecznie wstrzymał język za zębami. Lepiej było nie drażnić tematu amnezji. Dymitr był człowiekiem, z którym nie należało się zbytnio spierać. Dla własnego bezpieczeństwa.

\*\*\*

Wsluchana w kojący szum Wisły, klęcząca na trawie dziewczyna niezdarnie splunęła przed siebie. Lepka, zmieszana z krwią płwocina częściowo przyłgnęła do jej podbródka, potęgując rozdrażnienie pokonanej nastolatki, nienawistnie spoglądającej na oddalające się sylwetki czterech starszych dziewczyn.

– Szmaty! – krzyknęła.

Triumfujące napastniczki nie zareagowały, spokojnie maszerując po betonowej ścieżce w stronę kontrolowanej przez Straż Miejską strefy. Ich ofiara przetarła gniewnym ruchem twarz i ignorując ból całego ciała, zaczęła strzępywać z ubrania liczne ślady butów. Na koniec przejechała lekko rozciętym językiem po, na szczęście nienaruszonych, zębach. Kilka ostrożnych ruchów upewniło ją, że nie doznała poważniejszych obrażeń. Trochę sińców, nic więcej. Bywało gorzej. Wzrok pokonanej padł na zmaltretowane truchło łabędzia. Dostojna, biała szyja

była w połowie złamana, a skopany korpus sugerował, że nieszczęsne zwierzę po śmierci, a może jeszcze za życia, służyło za piłkę. Pokuśtykała w stronę ptaka, obiecując mu:

– Jeszcze wyjdzie na nasze, zobaczysz!

Wyprostowała złamaną szyję łabędzia i spojrzała ze smutkiem w stronę pobratymców zabitego stworzenia, którzy stłoczyli się na drugim brzegu rzeki. Wypluwając kolejną porcję zlepionej z krwią śliny, ruszyła w stronę pobliskiego mostu. Nagłe nudności zmusiły ją do zmniejszenia tempa marszu, lecz nie zdołały utrzymać jej w miejscu i skłonić do odroczynek. Zatrzymała się dopiero w połowie zapełnionego powbijanymi w siebie samochodami mostu, wsiadając do jednego z pojazdów. Wnętrze białej skody combi było utrzymane w czystości, a kolorowa kapa narzucona na tylne siedzenia nadawała mu przytulnego charakteru. Dziewczyna wduśła blokadę drzwi od strony kierowcy, z uśmiechem słysząc charakterystyczne trzaśnięcie zamków w pozostałych drzwiach. Mechanizm w „jej” samochodzie wciąż działał bez zarzutu. Obrzucając tęsknym spojrzeniem martwy od lat panel radiowy, przeszła na tylne siedzenie i, ignorując wypełniający wnętrze zapach stęchlizny, przymknęła oczy, czekając na sen.

Nie uchwyciła momentu, w którym zapadła w kojącą drzemkę, ale gwałtowne przebudzenie sugerowało, że jej czujny organizm wychwycił jakiś sygnał ostrzegawczy, który wymagał świadomej interpretacji. Wciąż leżąc, ostrożnie sięgnęła pod siedzenie kierowcy, dobijając skrytą tam maczetę. Wtedy usłyszała stłumiony, ale coraz bliższy dźwięk. Rozpoznała go, to były ludzkie głosy. Męskie. Przez twarz dziewczyny przebiegł gniewny grymas, a palce silniej zacisnęły się na drewnianej rękojeści broni. Kilkoma głębokimi wdechami uspokoiła oddech i nie ruszając się z miejsca, słuchała głośnej rozmowy nadciągających intruzów.

– Zakorkowany nawet po końcu świata! – stwierdził z ponurą satysfakcją Maksym, gdy mężczyźni wkroczyli na most Dębnicki.

– O, Wawel stoi nienaruszony.

– A dlaczego miałby nie stać?

– Nie wiem, ktoś mógł podpalić. W Łańcucie widziałem pożar zamku.

– Pewnie sam go podpaliłeś.

– Jak możesz? – zaprotestował bez większego przekonania stary.

– Nieważne. Myślisz, że w tych samochodach jest coś wartościowego?

– Oczywiście, pełno tam wartościowych rzeczy. Tyle, że nieprzydatnych.

– Czyli bezwartościowych.

– Biorąc uwagę obecny kurs towarowy... – stary przerwał, widząc malujący się na twarzy rozmówcy gniew i dokończył – tak, bezwartościowych. Szkoda naszego czasu. Najpierw załatwmy sprawy z tą całą strażą.

– Może będą coś wiedzieć o wieży.

– Słuchaj Dymitr... Nie uważasz, że z takimi pytaniami lepiej zjechać, aż nas przyjmą do społeczności, albo chociaż wpuszczą do chronionego obszaru?

– Niby dlaczego? Nie zależy mi na przyjęciu do społeczności, tylko na informacji.

– Jasne, jasne. Ale zrozum, przychodzi ktoś obcy i od razy wypytuje o jakąś wieżę Babel. To wygląda trochę... Szalenie.

– Więc masz mnie za wariata?

– Nie! Ech, nie da się z tobą rozmawiać.

– To nie rozmawiaj. Wybacz Maksym, ale teraz jesteś dla mnie praktycznie obcą osobą. Jeśli nie chcesz mi pomagać, to nie musisz. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– JA nie mam zobowiązań? To ty powinienes być mi wdzięczny za zadbanie o ciebie, kiedy leżałeś nieprzytomny, myślisz...

– Cicho. Patrz.

Maksym, wbrew sobie, zamilkł, kierując wzrok za wyciągniętą dłonią rozmówcy. Dymitr wskazywał oddalony o jakieś pięć metrów biały samochód, mówiąc:

– Nie uważasz, że to dziwne?

– Co?

– Auto jest dosyć czyste, ktoś musiał je niedawno umyć.

– Przecież padał deszcz, poza tym jest biały, więc...

– Mówię ci, że jest zbyt czysty!

– Dobra, w porządku. Ktoś go umył, co z tego?

– Po co?

– Może kiedyś był jego? Chodź.

– Nie. Przeszukamy go.

– Niby co...

Mężczyźni zamilkli, dostrzegając wewnątrz pojazdu jakiś ruch, który poprzedził dźwięk odblokowywanych drzwi. Ze środka wyskoczyła jakaś dziewczyna, trzymając w ręku sporych rozmiarów maczetę. Wolną dłonią przerzuciła do tyłu długi, czarny warkocz. Ubrana w paramilitarny strój nieznaną wyglądała, jakby chciała rzucić się do ucieczki, ale zamiast tego krzyknęła zaskoczona:

- Maksym?!
- Cześć, Judyta – wymamrotał wyraźnie skołowany mężczyzna.
- Widzę, że nawet po końcu świata w Krakowie nadal panuje moda na maczety.
- Hej – zwróciła się do Dymitra – uważaj na tego gnoja. Rok temu okradł mnie w Tarnowie praktycznie ze wszystkiego! Do Krakowa przysłałam jak nędzarka!
- Ale najwyraźniej sobie poradziłaś – skwitował Maksym. – Ładny samochód.
- Co ci się stało? – spytał Dymitr, uprzedzając ripostę wścieklej dziewczyny.
- Nie twoja sprawa, mięśniaku. I naprawdę, uważaj na tego typa.
- Podobno to mój przyjaciel.
- Podobno?
- Nie pamiętam.
- Co, staruszkule, teraz robisz ludziom pranie mózgu wmawiając im kumpłostwo?
- Nie. Dymitr ma pewien problem...
- To niej jej sprawa – uciął mężczyzna. – Powiedz, wiesz coś o... tutejszej społeczności – dokończył, widząc karcące spojrzenie Maksyma.
- Należę do niej. Ogólnie w całym rynku jest sporo pustych mieszkań w kamienicach, można je sobie spokojnie zajmować. O prowiant i opał na zimę każdy troszczy się sam, właściwie ta cała samozwańcza Straż Miejska to zwykły gang. Trzeba zgłaszać im wszystko, co się w danym tygodniu znajdzie i oddawać podatek, jakąś jedną piątą całości. W zamian za to niby pilnują porządku.
- Czyli niby co? – spytał Dymitr.
- W obrębie centrum robią patrole, nie dopuszczają do bójek, w razie czego wymierzają karę. Ogólnie nawet całkiem im to wychodzi. Na wstępie każdy obcy pokazuje co ma ze sobą, wybierają z tego co im się spodoba i możesz wejść. Każdą broń oddaje się do depozytu, poza palną, taką zabierają na zawsze. Wszystkie uliczki prowadzące do ścisłego centrum są zamurowane albo zabarykadowane, więc nie wejdziecie inaczej, jak od strony Teatru Bagatela.
- Widzieliśmy znak na Prokocimiu – oznajmił pretensjonalnie Maksym – więc wszystko wiemy. Chodź, Dymitr.
- Nie tak szybko! – warknęła Judyta. – Dużo wam powiedziałam, poza tym jesteś mi przecież coś winien, Maksym. Podziel się zapasami.

– Zapomnij! Znam Kraków, nie potrzebujemy przewodnika! Poza tym niby co zrobisz? Machniesz tym swoim nożykiem? Dymitr przetrąci ci kark, zanim zdążysz wziąć porządny zamach. Nie ma oporów przed walką z kobietami.

Judyta przyjrzała się rosłemu mężczyźnie, który wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie przymknął usta, wydając tylko niezrozumiały pomruk. Dziewczyna uchyliła drzwi do samochodu i wrzuciła do środka swoją broń. Następnie podeszła do Dymitra z wyciągniętą ręką, z uśmiechem mówiąc:

– Załatwmy to oficjalnie, jestem Judyta. Witaj.

– Dymitr – odparł zmieszany mężczyzna, nieufnie ściskając dłoń nastolatki.

– A więc, Dymitrze, to prawda, że nie masz oporów przed biciem kobiet? – spytała z rozbijającym uśmiechem.

– Nie wiem. Nie pamiętam – wybąknął.

– Nie ma, zapewniam cię – wtrącił się Maksym. – Znam ten twój słodki ton, mała, chcesz ubić jakiś interes, co?

– Sprawa jest prosta. Dymitr pomoże mi rozwiązać problem z czterema lokalnymi siksami, które zaszyły mi za skórę. W zamian możecie zostawić część swoich gratów w moim samochodzie, dla Straży zostawicie jakieś ochłapy. A w moim mieszkaniu znajdzie się dla was pokój, inaczej przez miesiąc musielibyście tyrać dla Straży, w zamian za łaskawe oficjalne pozwolenie na osiedlenie się w centrum, chociaż i tak byście tam mieszkali.

– Zatem wszystko ustalone! – oznajmił radośnie Maksym. – Prawda, Dymitr? – spytał pośpiesznie, spoglądając trwożnie na milczącego towarzysza.

– Skoro taki właśnie jestem – odparł zrezygowany mężczyzna – niech będzie.

– Super! – krzyknęła entuzjastycznie Judyta. – Ładujcie co chcecie do bagażnika, zaraz wam otworzę.

Z tymi słowami otworzyła drzwi od strony kierowcy i pochyliła się, by pociągnąć ulokowaną przy siedzeniu wajchę blokady bagażnika. Maksym obrzucił wypięte pośladki dziewczyny łokciem, jednocześnie trącając łokciem Dymitra, by ruchem głowy pokazać mu, na co powinien zerknąć. Zatopiony we własnych myślach mężczyzna nie zareagował, odruchowo unosząc tylko ramię, jakby chciał odgonić natarczywą muchę. Tymczasem Judyta stanęła przy samochodzie, informując:



– Kluczyk jest w schowku. A kiedy dojdziemy na miejsce, musicie być cierpliwi. Cała procedura, powiedzmy, powitalna trochę potrwa, ale nie próbujcie o nic się targować, bo tylko zapłacicie więcej. Nie mówcie nic o mnie, nie chcę, żeby ludzie nas ze sobą łączyli zanim Dymitr nie załatwi sprawy. Jak wpuszczą was do centrum, znajdźcie kamienicę numer trzydzieści dziewięć, wejdźcie do środka i stańcie w klatce schodowej. Ja mam tutaj jeszcze coś do załatwienia.

Nie czekając na reakcję rozmówców, dziewczyna ruszyła w stronę, z której przyszli. Maksym odprowadził ją spojrzeniem, które przeniósł na Dymitra. Tym razem mężczyzna nie był rozkojarzony, patrzył wprost na swojego towarzysza i wycedził przez zęby:

– Będziesz zlizywać mózg z asfaltu, jeśli chociaż pomyślisz o zabraniu mi czegokolwiek, złodzieju.

– Spokojnie! Dymitr, tę małą znałem ledwie tydzień, razem uzupełniliśmy zapasy w Tarnowie. Poza tym przesadza, nie zabrałem wszystkiego. Mogła skończyć znacznie gorzej, więc w sumie miała szczęście, że trafiła na mnie. Jej wina, że zaufała obcemu.

– Zapamiętam i nie popełnię tego błędu – skwitował Dymitr, otwierając bagażnik.

Maksym zrezygnował z dalszej rozmowy, również skupiając uwagę na wnętrzu samochodu, do którego zaczął niemrawo wkładać część swoich rzeczy. Starszy mężczyzna raz jeszcze pożałował, że nie podmienił notatki dotyczącej tożsamości Dymitra, kiedy miał ku temu sposobność. Na szczęście, w przyszłości ten błąd będzie można łatwo naprawić.

\*\*\*

Judyta minęła Teatr Bagatela, idąc szybkim krokiem w kierunku wylotu uliczki Szewskiej prowadzącej do właściwego Rynku. Wejście zastawione było przez dwa ustawione tyłem do siebie samochody dostawcze. Pomiędzy nimi zostawiono dosyć miejsca, żeby umożliwić jednemu człowiekowi w miarę swobodne przejście. Strażnicy, siedzący przy punkcie kontrolnym na groteskowych, skórzanych fotelach zmierzyli ją wzrokiem i nie zareagowali, gdy przecisnęła się pomiędzy mieszczącymi niegdyś towar pakami na tyłach pojazdów, wkraczając na teren Rynku. Spacer wzdłuż brzegu Wisły zabrał jej więcej czasu, niż planowała, ale potrzebowała tego. Kojący widok łąbodzi pomógł odzyskać spokój ducha i teraz żałowała, że tak pochopnie wciągnęła do swojego życia dwójkę obcych mężczyzn. Wprawdzie Dymitr sprawiał wrażenie bardziej zagubionego, niż niebezpiecznego,

ale był w towarzystwie Maksyma. A po starym kombinatorze można było spodziewać się wszystkiego, co najgorsze. Na pewno miał na rosłego mężczyznę większy wpływ, niż ten mógłby sobie tego życzyć. Z nią było tak samo, nawet przez chwilę nie wątpiła w dobre intencje „starego, poczciwego Maksyma”, aż pewnego ranka obudziła się bez swojego dobytku, pozbawiona nawet resztek, żeby zaspokoić poranny głód. Gniew znów powrócił, energicznie pchnęła drzwi kamienicy, omal nie powalając nimi wspartego o ścianę Dymitra.

– Wybacz – burknęła. – Idziemy.

Bezceremonialnie minęła siedzącego na schodach Maksyma, który w ostatniej chwili odsunął się nieco, unikając kolizji z butem ich tymczasowej gospodyni. Cała trójka weszła na ostatnie piętro budynku, gdzie Judyta wydobyla z kieszeni klucz i otworzyła masywne, pomalowane na niebiesko drzwi, prowadzące do zajmowanego przez nią mieszkania.

– Gdyby przyszło wam do głowy łaźni po innych kamienicach, to pamiętajcie, że drzwi pomalowane na niebiesko oznaczają lokale zajęte.

– Strażnik o tym wspomniął – oznajmił Maksym. – Ogólnie, radził trzymać się swoich spraw.

– I słusznie – skwitowała Judyta. – A zaraz pogadamy o naszych sprawach. Wnieście plecaki do tamtego pokoju, dostaniecie do niego klucz. Mój pokój też jest zamykany, a poza tym nie znajdziecie w nim niczego ciekawego. W kuchni jest zapas świeżej wody, ale nie możecie go ruszać, jest mój. Chcecie własnej, to idźcie nad Wisłę albo do jakiejś pompy.

– Nie zużyjemy dużo – zapewnił Dymitr. – Szkoda czasu na załatwianie takich spraw teraz. Mogę przy najbliższej okazji przytargać ci tyle wody, ile tylko masz pojemników. Przejdźmy do interesów.

– Śpieszy się wam gdzieś?

– Niekoniecznie – wtrącił się Maksym – Dymitr po prostu lubi działać szybko.

– Zamknij się, mam własny język – rozkazał rosły mężczyzna. – Chcę mieć to z głowy, bo potem będę miał kilka pytań. O wieżę.

Maksym westchnął żałośnie, ale zdecydował się nie wtrącać.

– W porządku, chodźmy do kuchni – zakomenderowała Judyta.

Dziewczyna usadowiła się na parapecie, wskazując mężczyznom krzesła stojące przy okrytym ceratowym obrusem stole.

– Więc – zaczęła ostrożnie – sprawa jest prosta. Chcę, żeby Dymitr dał komuś nauczkę. Lekcję pokory powiedzmy. Uch, to brzmi jak w jakimś żalonym kryminale. Po prostu ma obić porządnie pewną dziewczynę, Ewę. Chodzi zwykle w towarzystwie trzech swoich szmat,

ale nie są groźne. Nigdy nie widziałam, żeby miały noże czy inną broń. To zwykle dziwki, więc praktycznie nie chodzą na szabry, wszystko mają zapewnione.

– Więc nie ruszają się z centrum? – spytał ostrożnie Maksym.

– Oczywiście, że ruszają! Inaczej w ogóle nie myślałabym o zrobieniu im krzywdy, nie warto mieć na pieńku ze Strażą. Jeśli nie pracują, to łążą w okolicach centrum, a czasem przesiadują w galerii przy dworcu. Nie zostało w niej już nic pożytecznego, więc nikt tam nie chodzi, ale one zawsze znajdują tam jakieś błyskotki albo ciuchy, które ktoś im pierze. To szperanie to chyba ich jedyna rozrywka. Dziś też powinny tam siedzieć.

– O co właściwie wam poszło? – spytał od niechcienia Dymitr, chociaż jego spojrzenie sugerowało, że jest wręcz odwrotnie.

– Dziś? Zabiły łabędzia. Wiedzą, że lubię je obserwować, więc dorwały jednego ze stada i zabiły na miejscu.

– Ale przecież nie chcesz się mścić z powodu jakiegoś głupiego wodnego gołębia – bardziej stwierdził, niż spytał Maksym.

– Łabędzie to królewskie ptaki! Już za samo zabicie jednego z nich powinny dostać za swoje! Poza tym porządnie mnie dziś skopały. I to nie był pierwszy raz. Zrobiły więc wystarczająco dużo, żebym w końcu postanowiła coś z tym zrobić, prawda?

– Nie odpowiedziałas na pytanie – drażył temat Dymitr.

– Weszłyście na swoje tereny, podkradanie klientów, czy coś w tym stylu? – zgadywał uśmiechnięty Maksym.

– Nie jestem dziwką! Może dlatego tak im przeszkadzam.

– Śmieszne. Jesteś młoda, ładna, o ciężę już nie ma się już co martwić, powinnaś zarabiać na swoim ciele ile wlezie – zasugerował Maksym. – Pruderia poszła w odstawkę razem z cywilizacją.

– Dzięki za dobre rady, może sam z nich skorzystasz?

– Z pełnym brzuchem łatwo o granie cnotliwej, co? W drodze tutaj też byłaś taka?

– Chcesz mi wmówić, że okradłeś mnie, żeby dać lekcję życia? Nie dałam ci dupy w Tarnowie, więc chciałeś, żebym z głodu puszczała się z każdym w drodze stamtąd tutaj?

– Jakoś tu dotarłaś.

– Na swoich warunkach!

– To chyba odważne – wtrącił się Dymitr – żyć po swojemu.

– Błagam, Dymitr – Maksym teatralnie załamał ręce. – To żalosna próba trzymania się przeszłości. Dziewczyna mogłaby żyć po królewsku

przez najbliższe dwadzieścia lat, wystarczyłoby, że parę razy dziennie rozchyłałaby kolana. Kogo by to obchodziło? Ludzi? Boga? On nas nas skreślił, wykasował ludzkość jednym pociągnięciem pióra w jakiejś swojej księdze życia, zostawiając tylko nas, żywe trupy czekające na śmierć! Świat się skończył, nie ma miejsca na sentymenty! Gdybym był śliczną paniusią, oddawałbym się wszystkim dzień w dzień, jeśli tylko przedłużyłoby to moje życie chociaż o kilka dni! Kiedy czuje się już na karku sapanie starości to człowiek docenia każdy dzień. Dosłownie KAŻDY!

W kuchni zapadła nerwowa cisza. Maksym wodził nienawistnym spojrzeniem po pomieszczeniu, koncentrując wzrok to na swoim towarzyszu, to na dziewczynie. W końcu wydusił z siebie flegmatyczne:

– Idę po nasze zapasy. Zjedzmy coś i chodźmy do tej galerii, potem będziesz mogła sobie deliberować o cnotach po Dniu Sądu, a Dymitr marzyć o wieży do nieba.

Dymitr bez słowa ruszył za nim, zostawiając wpatrzoną w okno Judytę sam na sam z myślami. Dziewczyna stała tak jeszcze jakiś czas, nim również opuściła pomieszczenie, kierując się do swojego pokoju. Wchodząc, zamknęła za sobą drzwi na klucz i padła na niedbale zasłane łóżko. Chciała teraz odpocząć, wyrzucić spod czaszki wszystkie zbędne myśli i bolesne wspomnienia. Leżała przez jakiś czas w bezruchu, wciąż czując rosnący niepokój. Ostatecznie zrezygnowała z tej namiastki wypoczynku i wydobyła spod łóżka małą czarną torebkę, którą przewiesiła przez ramię. Dopiero teraz poczuła się naprawdę gotowa do ostatecznej konfrontacji ze znieciercierliwionymi „dziewczynami Ewy” i być może, choć na razie wolała tego uniknąć, również z tymczasowymi sojusznikami. Maksym mimo wszystko miał rację, była zbyt ufna. Otworzyła drzwi i ruszyła do drugiego pokoju, w którym markotni mężczyźni wyjadali z dużej, wojskowej konserwy jakąś kleistą breję.

– Wychodzimy natychmiast – rozkazała i nie czekając na aprobatę zaskoczonych znajomych, opuściła pomieszczenie.

Powinni się przyzwyczaić, że to ja wydaję tutaj rozkazy! – uznała, uśmiechając się w duchu, słysząc jak mężczyźni posłusznie oderwali się od posiłku.

\*\*\*

Dymitr i Maksym z zaciekawieniem przyglądali się grupie ludzi zgromadzonych pod Sukiennicami, którzy wymieniali między sobą znalezione w opustoszałym mieście towary. Uzgodnili z Judytą, że pokręcą się

trochę po rynku, podczas gdy dziewczyna pierwsza opuści strefę kontrolowaną przez Straż i zaczeka na nich przy hotelu *Polonia*, położonym niedaleko dworca PKP. Wizyta na tym prowizorycznym bazarze nie była wskazana dla kogoś, kto nie chciał zwracać na siebie uwagi, lecz widok krzątających się wokół własnych, codziennych spraw ludzi działał wręcz hipnotycznie. To była oaza dawno zapomnianej normalności, migawka z czasów, gdy takie pchle targi przyciągały rzesze łakomych na swojską, bazarową tandetę konsumentów. Maksym pierwszy zdołał odwrócić wzrok i natychmiast szturchnął Dymitra w bok, ostrzegając:

– Jakiś strażnik nam się przygląda, chodźmy stąd.

– W porządku – odburknął w odpowiedzi, mierząc nieprzychylnym spojrzeniem mężczyznę ubranego w czarny, znoszony uniform Straży Miejskiej.

Wokół targowiska kręciło się jeszcze kilku przedstawicieli lokalnego prawa, wszyscy ubrani w takie same, wysłużone stroje.

– Ciekawe, czy tylko pilnują porządku, czy pobierają jakieś dodatkowe opłaty – zadumał się Maksym.

Jego towarzysz nie był zainteresowany kontynuacją rozmowy, mruknął tylko pod nosem „Nie wiadomo” i skręcił w wybraną na chybił trafił, opustoszałą uliczkę. Odgłos kroków odbijał się echem od ścian wiekowych budynków, gdy mężczyźni skręcali w kolejne odnogi ulic. Przed ich oczyma przesuwały się rdzewiejące tablice z ich nazwami: Szpitalna, Floriańska, Świętego Tomasza, Świętego Marka, Sławkowska. Część z nich kończyła się barykadami, zwieńczonymi zwojami drutu kolczastego, lub wzniesionymi niezdarnie ceglanyymi murami.

– W końcu rozwiązał się problem tych przeklętych gołębi – stwierdził nagle Maksym. – Ciekawe, czy były smaczne?

– Na pewno lepsze od żarcia z puszek. Jak myślisz, ile tu może żyć ludzi?

– Może kilkadziesiąt osób, może kilkaset. Nie mam bladego pojęcia. Teraz tego nie ocenimy, wszyscy są poza centrum na poszukiwaniu zapasów.

– Tragiczne, łączyć tak cały dzień w poszukiwaniu jedzenia, którym napełnisz brzuch albo opłacisz haracz dla samozwańczych strażników porządku.

– Jakoś niespecjalnie widzę różnicę pomiędzy takim modelem, a tym, co było przed Dniem Sądu – zażartował Maksym. – W sumie powinieneś się cieszyć, mimo wszystko masz jakiś cel w życiu. Dziwaczny, ale i tak lepszy, niż zwykła egzystencja. Masz fart, że nie

pamiętasz najgorszego, tych dni tuż po końcu wszystkiego, kiedy nie można było oddychać, bo zewsząd dochodził cię zapach gnijących trupów. Cokolwiek złego ci się przydarzy, mija kilka miesięcy i znów jesteś tabula rasa, gotowy iść śladem wieży do nieba. To jest...

– Jak myślisz, ile jeszcze wytrzyma tutejsza społeczność? – spytał Dymitr, bezceremonialnie przerywając wywód rozmówcy o swoim szczęściu. – Dużo widzieliśmy takich miejsc?

– Wszędzie są jakieś społeczności, nawet malutkie. – odpowiedział niezbyt pewnie Maksym. – Taka już nasza natura, lubimy zbijać się w stada. A ci tutaj są w sumie całkiem nieźle zorganizowani, chociaż chyba niczego nie hodują. Może przetrzymają jeszcze z rok albo dwa. Wyzbierają co jest do wyzbierania i grzecznie ruszą stadkiem dalej, na nowe miejsce. To co, idziemy?

– Tak, myślę, że minęło już dosyć czasu.

Mężczyźni opuścili płataninę uliczek, ponownie trafiając na obszar właściwego Rynku i ruszyli w stronę punktu kontrolnego. Bez słowa minęli pełniących wartę strażników, idąc prosto przed siebie, aż do Teatru Bagatela, gdzie Maksym zakomenderował:

– W prawo.

Wkrótce ponownie zanurzyli się w gąszcz krętych, tym razem gęsto zasłanych ludzkimi szczątkami uliczek, wśród których stary orientował się raczej kiepsko. Dymitr z obrzydzeniem spojrzął na stadko szczurów, przycupnięte w otwartej bramie jednej z kamienic. Zwierzęta były nienaturalnie wyrosnięte, a pokrywające dosłownie każdy mijany szkielet ślady drobnych siekaczy wyraźnie sugerowały przyczynę dobrobytu gryzoni.

– Ciekawe, czy kiedyś jakiś gatunek wyewoluuje na tyle, żeby zacząć badać pozostałości naszej cywilizacji? – zadumał się Dymitr.

– Nawet jeśli, to zajmie to tyle, że niewiele zostanie do badania.

– No właśnie. Może przed nami też istniało jakieś życie, które zmioła podobna katastrofa?

– Szkoda mi sił na tłumaczenie tego jeszcze raz, Dymitr. Wiesz, takie ateistyczne podejście w świecie zniszczonym z woli Boga to naprawdę coś... oryginalnego.

Mężczyzna nie odpowiedział, zamiast tego przystając, by wskazać na przewrócony, nowoczesny tramwaj, którego bok nosił wyraźne ślady uderzenia. Obok powalonego niebieskiego pojazdu stał doszczętnie rozbity samochód osobowy. Dymitr stwierdził:

– Ten samochód wygląda jak łowca, który zdołał samotnie powalić wielkiego niebieskiego węża, ale sam zginął od odniesionych ran.

– Błagam cię, naprawdę, nie próbuj NIGDY więcej tworzyć takich porównań – roześmiał się stary, dodając:

– Jesteśmy już blisko, pójdziemy wzdłuż szyn, aż do samego hotelu.

– Hej! – zakrzyknęła Judyta, która właśnie wyłoniła się zza wagonu.

– Więc dobrze mi się zdawało, że was słyszę. Chodźcie!

Dymitr natychmiast ruszył za nią, a stary podążył jego śladem, kątem oka dostrzegając tablicę z nazwą ulicy, w którą skręcali – Krzywa. Pamiętał, że z tego miejsca do Galerii było już całkiem blisko, co wywołało u niego lekkie ukłucie niepokoju. Będzie, co ma być – stwierdził w myśli, podbiegając trochę, by zrównać się z energicznie maszerującą parą tymczasowych sprzymierzeńców.

Na dużym, choć niemal zupełnie niezabudowanym placu, przylegającym do dworca kolejowego i galerii handlowej, roiło się od czarnych, kraczących złowieszco ptaków. Dymitr z niesmakiem spojrzał na rozwłózione po całej okolicy ludzkie kości, które nosiły ślady dziobów. Maksym nie wydawał się specjalnie zainteresowany obecnością stworzeń, wspominając tylko, że lepsze te diabły, niż gołębie. Natomiast Judyta ostrzegła:

– Nie próbujcie ich straszyć, potrafią być bardzo agresywne. Podobno to stado wędruje po całym mieście. Ludzie mówią, że z roku na rok jest coraz większe.

– To gawrony? – spytał Dymitr i nie czekając za odpowiedź, dodał: – Są znacznie większe niż powinny.

– Pewnie to kruki – wtrącił się Maksym.

– Nie, to gawrony – oznajmiła pewnie Judyta. – Rzeczywiście są jakby większe. Albo po prostu lepiej odżywione. W każdym razie nie zwracajcie na nie większej uwagi, ani nie prowokujcie. Ptaki same nie zaatakują.

– Hitchcock ma inne zdanie na ten temat – wtrącił Maksym.

– Kto? – spytała Judyta.

– Stary znajomy, bardzo zaskakujący facet.

Dymitr zaśmiał się głośno, co spowodowało krótki wybuch gniewnego krakania drepzczących w pobliżu domniemanych gawronów. Chwilę później trójka ludzi ostrożnie minęła największe skupisko podenerwowanych ptaków, które nieodparcie sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili były gotowe przypuścić atak na intruzów. Dziewczyna zatrzymała się przed przeszklonym wejściem do rozległej galerii handlowej i poinstruowała stojących za nią mężczyzn:

– Ewa i reszta pewnie jest gdzieś blisko. W środku jest sporo światła, ale jak je znam, to pewnie trzymają się w pobliżu wyjścia. Chodźmy.

Pchnęła drzwi i ostrożnie wsunęła się do wnętrza budynku, gestem nakazując, żeby mężczyźni zostali na swoich miejscach. Przeszła kilka metrów i niepewnie oparła się o poręcz, spoglądając w dół, na niższe piętro galerii, krzycząc:

– Ewa! Jestem tutaj, chcę pogadać!

Po chwili, zwielokrotniony przez echo, kobiecy głos odpowiedział:

– Sama się prosisz o kłopoty, gówniaro! Zaraz tam będziemy i lepiej dla ciebie, żebyś już teraz zaczęła uciekać, kretynko!

Judyta szybko wyszła na zewnątrz, prosząc towarzyszących jej mężczyzn:

– Stańcie bliżej ściany, tak, żeby idąc do wyjścia dziewczyny was nie zauważyły.

Sama również odsunęła się od drzwi, ostrożnie zdejmując zabraną ze swojego mieszkania torebkę, groteskowo kontrastującą z jej militarnym strojem. Po chwili w wnętrzu budynku wyszła czwórka młodych dziewczyn, wyglądających na dwadzieścia parę lat. Ubrane w kolorowe, krzykliwe stroje, z warstwą niestarannie nałożonego makijażu, wyglądały jakby celowo chciały parodiować postacie operetkowych kurtyzan. Najstarsza z nich, wulgarnie wydekoltowana blondynka z podpuchniętym okiem i rozbitą wargą, prychnęła pogardliwie, jednocześnie obrzucając stojących za Judytą mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem.

– Cześć, Ewa – wyszczała Judyta, cofając się jeszcze trochę, tak, żeby stanąć w jednym szeregu ze swoimi sojusznikami. – Znalazłaś coś ciekawego?

– To twoi nowi przyjaciele? Czym im płacisz?

Jedna z dziewczyn zaśmiała się bezmyślnie, ale umilkła skarcona spojrzeniem Ewy, która patrząc na Dymitra, spytała niewinnie:

– Masz ochotę spenetrować z nami galerię, byczku? Nie daj się zbajerować, ta mała nic tutaj nie znaczy, cokolwiek wam obiecała, przebijemy ofertę.

– Nasza Judytka tak cię urządziła? – spytał nagle Maksym, posyłając Ewie zawiadziaki uśmiech.

– Nie – odparła ponuro dziewczyna – nie ona. Słuchajcie, wracamy na Rynek, chodźcie z nami, niech cnotliwa gówniara poszpera sobie po sklepach, może znajdzie dla siebie jakiegoś plastikowego chłopaka.

Maksym wymienił spojrzenia z Dymitrem, który z kolei zerknął na Judytę, oznajmiając:



– Najpierw wyjaśnijmy kilka spraw.

– O! Potrafisz mówić! – zaśmiała się perliście Ewa. – Słuchaj, dziś nie ma o czym rozmawiać. Jeśli Judyta ma do nas jakąś sprawę, to lepiej porozmawiajmy jutro, jak opadną emocje.

– Dymitr, mógłbyś z łaski swojej zdzielić ją w ryj? – spytała spokojnie Judyta.

– Teoretycznie – wybąknął, czując na sobie świdrujące, pożądliwe spojrzenie Ewy, która poprosiła:

– Judyta, daj facetowi spokój. Nasz herkules nie chce się z tobą bawić, odpuść. Nie pyskuj więcej, a obiecuję, że damy ci spokój. Twoim łabędziom też. Nie chcemy przecież kłopotów, prawda? – dodała wyzywająco.

Zgromadzeni przed galerią handlową ludzie stali naprzeciw siebie, oczekując na reakcję trzęsącej się ze złości Judyty, która gniewnie rozsunęła zamek torebki i sięgnęła do środka, wydobywając stamtąd pistolet. Robiąc krok do tyłu, odbezpieczyła broń, której lufę skierowała w stronę rozmówczyń ze słowami:

– Znalazłam to cudo aż na Hucie, w komisariacie.

– Dziewczyno, Straż może cię zabić za ukrywanie czegoś takiego – ostrzegła chłodno Ewa, niespokojnie obserwując wylot lufy.

– Co ty wyprawiasz?! – spytał gniewnie wyraźnie przestraszony Maksym. – To Dymitr miał się zająć twoimi problemami! Oszalałaś?!

– Może jest zbyt zajęty patrzeniem w cycki tej dziwki? A może... Hej!

Judyta krzyknęła, gdy Dymitr sprawnym ruchem odebrał jej broń i wysunął magazynek, ze zdumieniem stwierdzając:

– Pełen!

Ponownie wsunął magazynek do rękojeści i przez moment również wycelował do Ewy i jej kompanek, lecz ostatecznie zdecydował się opuścić broń, tłumacząc:

– Uznajmy sprawę za załatwioną. Myślę, że Ewa i reszta dziewczyn nie będą już sprawiać problemów.

– Co? Za kogo ty się masz? – wykrzyczała Judyta, za wszelką cenę próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. – Nie traktuj mnie jak dziecka, które bawi się czymś niebezpiecznym! Oddawaj pistolet albo je załatw! Teraz już nie ma odwrotu, nie rozumiesz? Ta suka powie Straży o broni! Będę skończona! Zabij je!

– Nie rób nam problemów, Dymitr! – zaprotestował Maksym. – Oddajmy broń Straży, może nam to jakoś wynagrodzą.

Mężczyzna cofnął się nieco, jakby podejrzewał, że ktoś zechce wydrzeć mu z ręki cenną zdobycz, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. To jedna

z dziewczyn skoczyła nagle ku drzwiom galerii. Ciało mężczyzny zareagowało szybciej niż umysł, bezwiednie uniósł broń i zanim zdążył świadomie zareagować, jego palec już wduślił spust. Huk wystrzału spłoszył gawrony, które wzbily się w powietrze, trzepotem skrzydeł i krakaniem zagłuszając kolejne trzy wystrzały. Było już po wszystkim. Ewa razem ze swoimi towarzyszkami leżała na bruku, krztusząc się własną krwią. Każda z kul sięgnęła celu i cztery konające prostytutki jęczały przeciągle na oczach zaskoczonego Dymitra. Mężczyzna przełknął głośno ślinę, tłumacząc:

– To nie byłem ja. To było... jak jakiś program, czysty instykt.

– Boże – wybełkotała Judyta, klękając przy drżącej spazmatycznie Ewie. – Zabiłeś je. Naprawdę to zrobiłeś!

Wstała chwiejnie, czując bolesny skurcz dudniącego jak oszalałe serca.

– On je zabił – wybełkotała patrząc na zaskoczonego Maksyma – tak naprawdę.

– Przecież tego chciałeś – wydukał Dymitr.

– Człowieku, zabiłeś te cztery dziewczyny jak psy, bez mrugnięcia okiem – wymamrotał z mieszanką podziwu i grozy w głosie Maksym. – Co teraz? Czy coś nam za to grozi? Jesteśmy poza centrum, więc wszystko w porządku? – dodał szybko, patrząc na Judytę.

Dziewczyna nie odpowiedziała na pytanie, sprawiając wrażenie całkowicie nieobecnej. Spróbowała podnieść martwą już Ewę, lecz widząc, że jej wysiłki nie przynoszą rezultatu, omiotła plac pustym spojrzeniem, pytając:

– Gdzie gawrony?

– Jest w szoku – stwierdził Maksym. – Gdzie ta dziewczyna się uchowała? Chyba po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy taki obrazek.

– Dla mnie to norma? – spytał Dymitr. – Taki właśnie jestem?

– Miałem ci nie mówić o tym, jaki byłeś przed ostatnim wyczyszczeniem pamięci.

– Maksym, mów – zakomenderował mężczyzna, opuszczając i zabezpieczając broń, którą bezwiednie wciąż trzymał wyciągniętą przed siebie.

– Nie wiem, naprawdę. Nigdy do tej pory nie widziałem, jak strzelałeś. Bijesz się świetnie, bezlitośnie, więc chyba taki już jesteś. Zwyczajnie dziki.

– Może po prostu im zazdrościłam? – stwierdziła bardziej przytomnie Judyta. – Miały wszystko zapewnione, żyły w bogactwie. Codziennie co innego do jedzenia, zero zmartwień o opał, wodę... Ja tak nie

potrafiłam, nie mogłam się przemóc. Zabiłam je. Z głupiej zazdrości.  
– To chyba dobrze, że nie zostałam dziwką – wymamrotał Dymitr. – To raczej one ci tego zazdrościły. Zresztą po to chyba tu przyszłaś, żeby je zabić, zabrałaś przecież broń.

– Tak... Tak mi się wydawało. Właściwie nie żałuję ich tak bardzo, potrafiły być naprawdę wstrętne, nie tylko w stosunku do mnie. Po prostu ta śmierć jest taka... nieodwracalna.

– Śmierć jest nieodwracalna, Amerykę odkryła – stwierdził pogardliwie Maksym. – Dymitr ma rację, masz czego chciałaś. Sentymenty umarły razem z kodeksem karnym. Teraz chodźmy stąd i nie wracajmy na Rynek zbyt wcześnie, może ktoś tam usłyszał strzały.

– Wezmę broń, w porządku? – upewnił się Dymitr.

– Co? Tak, tak. Nie chcę jej. Macie rację, chodźmy stąd – zdecydowała Judyta, zmuszając się, żeby odwrócić wzrok od ciała.

Ludzie odeszli śpiesznie, zostawiając za sobą zwłoki, obok których, po kilku minutach, przysiadł pierwszy gawron, a wkrótce jego śladem podążyły kolejne osobniki. Czarna masa kraczących, podnieconych zapachem krwi ptaków zaczęła radośnie ucztować na truchle przedstawicielek gatunku, który niegdyś uważał się za prawowitych władców Ziemi.

\*\*\*

Pierwsza do strefy kontrolowanej przez Straż weszła Judyta, niedługo potem dołączył do niej Maksym, radząc Dymitrowi, by ten, mimo wszystko, pozbył się pistoletu. Mężczyzna wzruszył tylko ramionami i obiecał się zastanowić. Teraz, zbliżając się szybkim krokiem do punktu kontrolnego z bronią wsadzoną za pasek spodni, żałował swojej decyzji. Mimo grubej, skórzanej kurtki obecność glocka była dosyć widoczna, wystarczyło na dłużej zatrzymać wzrok na lekkim pagórku wybrzuszanym materiałem. Od wąskiego przesmyku pomiędzy samochodami dzieliło go ledwie dwa metry, gdy młodszy ze strażników zrećnie zastąpił mu drogę, pytając:

– Co dziś znalazłeś?

– Nic.

– Jasne, tak jak twój kumpel i ta cwaniara. Nie wiem, co kombinujecie, ale miejsce na terenie, który ochramiamy, kosztuje. Nie trać czasu na pośredników, my załatwimy wam lokal.

– Mogę przejść?

– Nie rób sobie wrogów w pierwszym dniu.

Dymitr zrobił krok do przodu, niemal taranując mężczyznę, który w ostatniej chwili ustąpił mu z drogi. Strażnik chciał ruszyć za intruzem, ale jego towarzysz powstrzymał go chwytem za kark, prosząc:

– Darek, daj spokój nowemu. Widzisz jakie to bydlę, przyda się w Straży. Myślisz, że taki facet będzie tracił czas na grzebanie w śmieciach? Mówię ci, sam się do nas zgłosi.

– Wspaniale, teraz będziemy przyjmować każdego włóczęgę?

– Nie każdego. Zresztą nie wydziwiał, jutro dostaniemy swoją dolę z tego tygodnia zbierania, to będziesz mógł sobie poszaleć z Eweliną. Chociaż mówię ci, że marnujesz tylko zapasy na tę dziwkę, zobaczysz. Po co miałaby odchodzić od Ewy? Przecież jej dziewczynki żyją na bogato, jak pączki w maśle.

– To dobra dziewczyna. Kiedyś będzie chciała się ustatkować.

– Jasne. Ciekawe niby po co? Zresztą twój towar, twoja sprawa. A swoją drogą dziewczyny już wróciły?

– A wychodziły?

– Chyba. Ktoś z poprzedniej zmiany je widział, a może tylko mówiły, że chciały wyjść?

– Pewnie tak. Naprawdę myślisz, że Ewelina nie odejdzie od Ewy?

– Powiem tak: za to, co ona tam dostaje, sam bym dawał dupy. Jeśli już by miała odejść, to do kogoś lepiej ustawionego od ciebie. Co ty jej możesz dać lepszego?

Darek nie odpowiedział, zaciskając gniewnie pięści. Jeszcze zobaczymy – pomyślał, nagle kierując myśli ku Dymitrowi. Faktycznie, facet nadawał się do pilnowania porządku jak nikt, pewnie rzeczywiście wstąpi do Straży. Byli mniej więcej w podobnym wieku, może znajdą wspólny język, a nawet zostaną kumplami. Dobrze mieć obok siebie górę mięsa na wypadek jakiejś draki, chociaż ostatnio i tak nie mieli za wiele roboty. To dobrze, będzie miał więcej sił na zabawę z Eweliną. A może znów tylko sobie pogadają? Marzenia o prostytutce znów pochłonęły uwagę zdesperowanego strażnika. Kiedyś, pewnego dnia, Ewelina będzie jego, wiedział o tym. Tymczasem musiał na nią uważać, niektórzy faceci potrafili być brutalni, a myśl, że dziewczynie mogłaby się stać krzywda, była nie do wytrzymania.

– Będą dla niej mili, bo wiedzą, że jej strzegę – wycedził. – Jestem przecież strażnikiem! A nikt nie jest na tyle szalony, żeby zadzierać z Darkiem.

Drugi strażnik westchnął, widząc, jak jego towarzysz swoim zwyczajem coś do siebie mamrotał, i odszedł kilka kroków dalej. Wołał nie zadzierać z tym typem. Zresztą nikt nie powinien tego próbować.

\*\*\*

Leżący na kuchennym stole pistolet przyciągał wzrok trójki siedzącej wokół wysłuzonego mebla ludzi. Oprawiona w tworzywo sztuczne broń na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie zabawki, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę ze śmiertelnej skuteczności tego przedmiotu. Dymitr zerknął w stronę okna, za którym z wolna zapadał już zmierzch, mówiąc:

– Czas jeść.

– Przynieście swoje zapasy, zjemy tu – oznajmiła Judyta. – Dymitr, zabierz broń ze stołu, ja wyciągnę talerze.

Maksym parsknął śmiechem i wstał z miejsca, kpiąc:

– Jak w prawdziwej rodzinie, co? Wybacz, ale nie mam dziś sił na takie szopki. Zjemy...

– ...tutaj – dokończył beznamyślnie Dymitr. – Będzie okazja porozmawiać.

Stary obrzucił Judytę nieprzychylnym spojrzeniem i bez słowa opuścił pomieszczenie, by po chwili wrócić z dwiema puszkami czerwonej fasoli. Dziewczyna wydobyła z szafki podobną puszkę oraz talerze, które ustawiła na stole ze słowami:

– Dziś zasłużyliśmy na coś ciepłego.

Otworzyła okno i ustawiła pod nim, stojący do tej pory w kącie, grill. Z innej szafki wyciągnęła mocno przypalony rondel, rozkazując:

– Wsypcie fasolę, ja zajmę się ogniem.

Dymitr posłusznie sięgnął po pierwszą puszkę, natomiast Maksym rozsiadł się wygodnie na krześle, wyrażając na głos swoje myśli:

– Ciekawe co z nami będzie, jak skończą się zapalki, zapalniczki, czy papier na podpałkę. Bez ognia nie ma życia. Poza tym termin przydatności do spożycia tych wszystkich puszek mija w tym roku, albo minął w tamtym. W czasie tego lata będzie trzeba koniecznie znaleźć jakiś wojskowy magazyn.

– Może coś znajdziemy – burknął Dymitr wachając podejrzliwie zawartość ostatniej puszkę, zanim wrzucił fasolę do naczynia. – Zależy, gdzie trafimy.

– Kraków wam nie odpowiada? – spytała Judyta, ganiąc się w myśli za użycie tonu wyraźnie zdradzającego jej rozczarowanie.

– To zależy – odparł młodszy z mężczyzn. – Najpierw muszę znaleźć pewne informacje. Chcę się dowiedzieć czegoś o wieży Babel. Nie tej biblijnej, tylko... Chyba jakimś miejscu.

– Bibliotekarz napomknął mi kiedyś o czymś takim.

– Bibliotekarz? – spytał entuzjastycznie Dymitr. – Gdzie go znaleźć?

– To szalony staruszek, który siedzi w budynku biblioteki wojewódzkiej. Na dobrą sprawę nie ma tam nic cennego, więc nikt go nie niepokoi. To niedaleko stąd, możemy pójść tam jutro z rana. Dobrze go znam, na pewno będzie szczęśliwy, że ktoś zechce się od niego czegoś dowiedzieć. Jest trochę zniedołężniały, i poza mną chyba nikt go nie odwiedza.

– To miłe, jedzenie też mu przynosisz? – spytał Maksym.

– Tak, wypożycza mi też książki, nawet założył dla mnie kartę – odparła radośnie Judyta i zamilkła nagle orientując się, że rozmówca z niej zakpił.

– Tracisz cenne zapasy na kogoś, kto pożyje najwyżej kilka lat – zawyrokował Maksym. – Jesteś tak cholernie naiwna, dziewczyno.

– Cynizm jest za to szalenie wygodny – wtrącił się Dymitr.

– Nie lepszy od mordowania wszystkich, którzy staną ci na drodze – odciął się stary.

Dymitr nie odpowiedział, zamiast tego zerkając wymownie ku leżącej na parapecie broni. Tymczasem Judyta założyła ruszt i postawiła na nim garnek, po czym wyciągnęła z szuflady chochelkę, prosząc przy tym:

– Dajmy sobie spokój z kłótniami. Póki co jest nam po drodze, więc nie psujmy atmosfery. Zjemy, wyśpimy się, a jutro, zanim pójdziemy do biblioteki, skoczę na Rynek. Rano ludzie zwykle zbierają się pod kościołem Mariackim, żeby podyskutować, gdzie kto idzie po zapasy, często organizują grupy poszukiwawcze. Dowiem się, gdzie kto idzie.

– Myślisz, że zajdą do galerii? – spytał zaniepokojony Maksym.

– Może. Czasem ktoś tam wpada jak Ewy i dziewczyn nie ma w centrum, bo tam dają dupy i nie muszą oddawać Straży części zapłaty.

– Nic nie wspominałaś o takim układzie! – wybuchnął stary. – Jeśli to dziwki pod patronatem władzy, to ich nagłe zniknięcie może narobić mnóstwa problemów! Szczególnie, że wszystkie były młode. Nikt normalny nie puściłby takiej straty płazem!

– Spokojnie, zostały zastrzelone, więc zwał to na jakiegoś wędrowca.

– Maksym ma rację – przyznał niechętnie Dymitr – ta sprawa może nam zaszkodzić. W dniu, w którym przyszliśmy, zginęły dziewczyny których nienawidzisz. W dodatku dziś cała nasza trójka wyszła na poszukiwania, a wróciła z niczym. Ktoś może szybko skojarzyć te fakty. Jutro,

po wizycie w bibliotece, odejdziemy. Pójdiesz z nami? – dodał jeszcze, sam nie wiedząc dlaczego ten pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy.

– Pomyślę o tym na pewno – wypaliła natychmiast Judyta. – Zresztą to zależy od tego, jak się potoczą sprawy. Jeśli wszystko przycichnie, to nie ma sensu, żebym stąd odchodziła. – Dobra, koniec gadania, fasola już gotowa – ucięła rozmowę.

Szybko nałożyła każdemu porcję i podała sztucce, rzucając zdawkowe: „smacznego”. Każdy zajął się zawartością własnego talerza, nie zdradzając ochoty na kontynuowanie rozmowy. Kolacja upłynęła w nieco napiętej atmosferze. Dymitr zastanawiał się, czy ma to związek z jego niespodziewaną propozycją, czy też z widmem odwetu ze strony Straży. Postanowił nie myśleć już o tym więcej, miał ważniejsze problemy na głowie. Starał się też nie próbować zgadnąć, ile przydatnych informacji może znać Bibliotekarz. Równie dobrze staruszek może okazać się tylko lokalnym wariatem, nie mającym o niczym pojęcia. To byłby prawdziwy cios. Mężczyzna coraz głębiej zaczynał odczuwać potrzebę zdobycia jakichś informacji o tajemniczej wieży Babel. Poczul, że przestał jedynie podążać za wskazówkami zostawionymi przez jego poprzednie „ja”. Poszukiwania Babel stały się czymś naturalnym, częścią tego, kim był przedtem i teraz. Ta dziwaczna odyseja, którą podejmowały jego kolejne „wcielenia”, była ostatnią rzeczą, jaka wiązała go z utraconą przeszłością. Nagle, gdzieś głęboko na dnie świadomości Dymitra zrodziła się nieśmiała myśl, że być może odnalezienie tego Graala sprawi, iż wróci jakaś niewielka częśćka jego wspomnień sprzed katastrofy. Choćby tylko prawdziwe imię, więcej nie potrzebował. Uśmiechnął się pod nosem, popuszczając wodze fantazji, i z ochotą pochłaniając kolejną porcję niedogotowanej fasoli, która mimo wszystko smakowała wyśmienicie. Nadzieja była doskonałą przyprawą.

## Rozdział II

Bezchmurny poranek zapowiadał kolejny słoneczny dzień. Zebrana pod zaniedbanym pomnikiem Adama Mickiewicza grupa rozespanych ludzi kończyła debatować nad planem dnia. Wykryształowało się już kilka ekip i parę samotnych osób, pozostało tylko ustalić niezachodzące na siebie rejony poszukiwań. Judyta, która pojawiła się mniej więcej w środku spotkania, z uwagą nasłuchiwała wieści. Jak na razie nikt nie podjął tematu nieobecności Ewy i jej dziewczyn, ani też nie planował odwiedzić okolic dworca kolejowego. Judyta była dobrej myśli, lecz jej nastrój zdruzgotała podstarzała kobieta, która butnie oznajmiła:

– Ja dziś pójde do galerii, a co mi tam!

– Jagoda, daj sobie spokój, szkoda czasu – wymruczała stojąca obok babinka. – Zapasów nigdy dosyć, chodź z nami po kamienicach na Salwatorze pochodzić. Tam zawsze coś się trafi. A może ci z działek znów coś mają na handel? Kapkę szczypiorku na przykład, jajka, pęczek rzeżuchy – rozmarzyła się.

– To będzie więcej dla was. Ja idę po nowe kolczyki, dosyć już się tego napatrzyłam na cudzych uszach, nie będę gorsza od dziwek!

Judyta rozważała, czy powinna włączyć się do rozmowy i spróbować odwieść kobiety od pomysłu przeszukania galerii. Tylko jaki pretekst powinna wybrać? I czy w ogóle powinna się wtrącać? Nigdy przedtem tego nie robiła, ludzie przyzwyczaili się już, że zawsze milczy, to była jej rola, tak jak wieczna, natarczywa paplanina Jagody. Ostatecznie zdecydowała nie interweniować, i z napięciem wyczekiwała rozwoju sytuacji, podczas gdy rozochocona Jagoda zachęcała rozmówczynię:

– Chodź ze mną, zajdziemy tyko na chwilę, co ci szkodzi? Sama narzekałaś, że szaro masz w domu, weźmiesz jakaś pierdółkę kolorową przy okazji.

– Sama nie wiem...

– Ja idę. Cześć! – powiedziała beztrąsko pierwsza kobieta, ruszając przed siebie i zostawiając zdezorientowaną rozmówczynię własnemu losowi.

– Jagoda, czekaj! Też idę! – zakrzyknęła kobieta, podążając za towarzyszką.

Judyta przygryzła gniewnie wargę i również odeszła spod pomnika. Teraz się zacznie cyrk – pomyślała z niepokojem, śpiesząc ku swojej kamienicy. Od wejścia na klatkę schodową dzieliło ją jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, gdy z budynku wyszedł Maksym, rzucając jej



podejrzliwe spojrzenie. Mężczyzna nie ruszał się z miejsca, i dopiero gdy Judyta była tuż przy nim, zastąpił jej drogę, pytając:

– Jak nasze sprawy?

– W porządku – odburknęła. – Nikt nie zauważył zniknięcia dziewczyn.

– Ktoś wybiera się w okolice galerii?

– Nie, na szczęście nie. Chodźmy do biblioteki.

– Poczekaj – rozkazał mężczyzna, łapiąc dziewczynę za ramię. – Mam dla ciebie dobrą radę. Cokolwiek sobie roisz co do Dymitra, to daj za wygraną. Nie urobisz go sobie.

– Daj mi spokój, nie zamierzam nikogo urabiać.

– I dobrze. Po prostu nie bądź za bardzo natarczywa, to nerwowy facet. Ma swój cel i będzie do niego dążył po trupach, choćby moim i twoim.

– Dzięki za informację – warknęła Judyta, wyrывая się z uścisku – ale mną sobie głowy nie zwracaj, poradzę sobie.

– Nie wątpię – odparł Maksym, mierząc ją pożądlivym spojrzeniem.

Dziewczyna prychnęła z pogardą i wbiegła na schody. Nie było czasu na kolejne kłótnie. Musieli się spieszyć, im szybciej załatwią sprawę z Bibliotekarzem, tym lepiej. Rozwój wypadków nie zapowiadał niczego dobrego, a nawet przy wsparciu Dymitra ostrzejszy zatarg ze Strażą Miejską nie mógł dla nikogo skończyć się dobrze. Po wejściu do mieszkania rzuciła krótko z progę:

– Dymitr, idziemy!

Mężczyzna wyłonił się z pokoju, pytając:

– Spotkałaś Maksyma?

– Tak, czeka na dole.

– Doskonale. Wszystko w porządku z... naszymi sprawami?

– Kolejny... Tak, tak. Cisza i spokój, chodź już!

Judyta zganiała się w myśli za brak kontroli nad swoim zachowaniem. Wiedziała, że w razie poważniejszych problemów ciężar odpowiedzialności spadnie przede wszystkim na nią. Na sympatię starszego z mężczyzn nie miała co liczyć, więc zdobycie względów Dymitra stanowiło teraz priorytet. Zamykając drzwi, obdarzyła go promiennym uśmiechem, na co ten odpowiedział bliżej niesprecyzowanym grymasem twarzy. Łatwo nie będzie – pomyślała. Po wyjściu z kamienicy dziewczyna poinstruowała swoich towarzyszy:

– Dziś nie możemy przyjść z pustymi rękami. Zwykle nikt nie robi sobie wycieczek poza rynek dla przyjemności, a już na pewno nie nowi. Przez punkt kontrolny przejdziemy razem, bo i tak wszyscy już wiedzą, że zatrzymaliście się u mnie.

– I pewnie myślą o tym, czym nas do tego skusiłaś – wtrącił Maksym, puszczając do rozmówczynie oczko.

– Po wizycie u Bibliotekarza pójdziemy więc na poszukiwania prowiantu – kontynuowała z kamiennym wyrazem twarzy Judyta. – W najgorszym razie przyniesiemy coś z waszych zapasów.

– Nie wzięłem klucza od samochodu – oznajmił smutno Dymitr.

– Trudno, w takim razie może znajdziemy coś w okolicy biblioteki, chociaż wątpię, czy zostało tam coś interesującego. To bardzo blisko od rynku.

Rozmowa ucichła na czas przejścia przez punkt kontrolny obsadzony przez znudzonych strażników, którzy nie zwrócili na wychodzącą grupę większej uwagi. Dopiero w okolicach pobliskiego Teatru Bagatela, Judyta ponowiła przerwany wątek:

– W bibliotece dajcie mi mówić i nie próbujcie za bardzo naciskać na Bibliotekarza, to trochę pokręcony staruszek, łatwo się obraża. Dymitr – dodała po chwili wahania – wiem, że zależy ci na tych informacjach, ale proszę, bądź dla niego miły.

– Nie zamierzam zrobić mu krzywdy – odparł nieprzyjemnym tonem mężczyzna. – Potrafię się kontrolować, wiem to!

– W porządku, wybacz.

– Co konkretnie nam grozi, gdy już odkryją zwłoki dziewczyn? – spytał niespodziewanie Maksym.

– JEŚLI je odkryją – syknęła Judyta – to będziemy się martwić. Dziś nikt nie wybierał się w okolice galerii, nie myślcie o tym. Koniec tematu – ucięła gwałtownie.

Rozmowa dobiegła końca, a mężczyźni, podążający niczym groteskowa eskorta za maszerującą energicznie nastolatką, weszli w boczną uliczkę, biegnącą wzdłuż ściany teatru. Odległość dzieląca bibliotekę i rynek rzeczywiście była niewielka. Po przejściu ledwie kilkudziesięciu metrów, dziewczyna skręciła w prawo, oznajmiając flegmatycznie:

– Na końcu tej uliczki jest już Biblioteka.

Cała trójka nieświadomie zwiększyła tempo marszu, w milczeniu rozmyślając o własnych sprawach, na które, być może, wpłyną informacje od Bibliotekarza.

\*\*\*

Czarne kłębowisko spłoszonych obecnością ludzi ptaków zerwało się z ziemi, kracząc złowrogo. Jagoda z trudem powstrzymała mdłości, widząc truchła czterech dziewczyn niemal pozbawione mięsa na twarzy

i dłoniach. Jej przyjaciółka nie znalazła w sobie tyle samozaparcia i zwróciła zjedzony niedawno posiłek, jęcząc przy tym żałośnie.

– No to żeśmy poszły do galerii – bąknęła Jagoda.

– Musimy to szybko komuś zgłosić – zaczęła niepewnie druga kobieta, ocierając wierzchem dłoni usta – przecież to Ewa i jej dziewczyny. Poznaję te ubrania.

– A niech gniją! Co nas to obchodzi? Chodź stąd, wejdziemy do galerii drugim wejściem.

– Zwariowałaś?!

– Nie pchajmy się na pierwszy plan, to nie nasza rola. Cała Straż tylko czeka na taką aferę, żeby nas bardziej przydusić. Zobaczysz, zaraz wymyślą jakieś dodatkowe opłaty, jak dwa lata temu, jak wmawiali nam, że w okolicy grasuje jakaś banda.

– A co jak pomyślą, że to my...

– Nie bądź durna!

– Sama jesteś durna! Idę do Straży!

– O ty! – wrzasnęła nienawistnie Jagoda. – To może im od razu powiesz o tych zapasach, co wnosisz pod spódnicą, żeby oszukać kontrolę?

– Nie chcę kłopotów...

– To ich nie miej. Chcesz, to wracaj, ale pary z gęby o trupach, bo pożałujesz!

– Sama nie chcę iść...

– To nie histeryzuj i chodź, poszukamy sobie świecidełek w galerii.

– Dlaczego zawsze tak na mnie naskakujesz? – spytała płacząco kobieta.

– Bo sobie dajesz. Idziesz?!

– Idę – odparła żałośnie.

Kobiety pośpiesznie skrzyły w lewo, unikając spoglądania na zwłoki dziewczyn, obok których ponownie przysiadło kilka czarnych ptaków. Gdy tylko łakome zwierzęta dostrzegły, że ludzcy intruzi opuszczają ich terytorium, natychmiast tłumnie wróciły do przerwanej uczy. Tymczasem w innej części miasta przedstawiciel wymierających homo sapiens wpatrywał się w stos ludzkich kości ułożony pośrodku ulicy, nieopodal wejścia do gmachu biblioteki. Do zbudowania piętrzącego się na kilka metrów nasypu ktoś musiał użyć co najmniej kilkudziesięciu szkieletów. Dymitr spojrzął w prawo na niewykończony, futurystyczny gmach, który wziął z początku za bibliotekę. Przeszkłony, wsparty na pomarańczowych, przypominających postawione na sztorc linijki filarach dach skrywał niewielki placyk, na którym wciąż leżał

porzucony sprzęt budowlany. Katastrofa przerwała ukończenie tego obiektu w chwili, gdy był już niemal gotowy do użytku. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Idziemy? – spytał Maksym, niespokojnie zerkając w stronę stosu kości.

– Tak – mruknął Dymitr, pytając jeszcze Judytę – to cmentarzysko jest dziełem Bibliotekarza?

– Możliwe. Kiedy pierwszy raz tutaj przyszłam, już tak było. Chodźmy, szkoda czasu.

Dymitr bez słowa ruszył w stronę białego, przypominającego koszary budynku Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, stojącego naprzeciw niedokończonego gmachu. Jako pierwszy minął wpółotwarte, zastygłe w bezruchu drzwi automatyczne, nad którymi rozpościerał się niewielki daszek. Wnętrze robiło znacznie lepsze wrażenie. Obszerny, wysoko sklepiony hol, którego sufit wsparty był na masywnych, marmurowych kolumnach nadawał temu miejscu niezwykłą powagę. Dymitr na moment poczuł się nieco zawstydzony, że swoją obecnością zakłóca kojący spokój przypominającej świątynię biblioteki. Maksym wydawał się mniej poruszony dostojną atmosferą opustoszałej ksiąźnicy, a Judyta, mijając Dymitra, ruszyła w lewo, prosząc:

– Szybciej, chodźcie za mną.

Jej pełen podenerwowania głos odbił się echem od ścian, a z korytarza, do którego zmierzali, wypadł nagle masywny, czarny kocur. Zwierzę nie zwróciło uwagi na trójkę ludzi i popędziło gdzieś dalej, w głąb budynku. Dziewczyna wyjaśniła:

– Tutaj roi się od kotów. Są dzikie, więc nawet nie próbujcie do nich podchodzić.

– Szkoda – oświadczył nagle Dymitr. – Mam wrażenie, że lubię koty.

– Masz wrażenie? – zapytała Judyta.

– Nie pamiętam – oburknął mężczyzna.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i otworzyła solidne, przeszkłone drzwi oddzielające hol od obszernego korytarza, którym ruszyła śpiesznie przed siebie, przywołując podążających za nią mężczyzn niecierpliwym machnięciem dłoni. Dymitr spojrzął pod nogi na dziwną posadzkę, złożoną z dopasowanych, szarych i czarnych, imitujących marmur płyt. Czarne płyty tworzyły coś w rodzaju ścieżki, która co pewien czas skręcała pod kątem prostym, kończąc się na kolejnych drzwiach, za którymi korytarz sąsiadował z klatką schodową. Judyta nie skręciła jednak w lewo, lecz kontynuowała marsz, aż do następnych

drzwi. Mężczyzna zauważył na posadzce liczne odbarwienia, najpewniej powstałe w miejscach, gdzie niegdyś tygodniami gniły ludzkie zwłoki. Mimowolnie przypomniał sobie widok stosu kości, zastanawiając się, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by oczyścić cały gmach biblioteki z trupów. Odpowiedź na to pytanie, a także inne, znacznie istotniejsze dla Dymitra, prawdopodobnie kryła się za ciemnobrązowymi, ulokowanymi w lewej ścianie korytarza drzwiami, przed którymi stanęła właśnie Judyta. Tuż nad nią wisiał biały szyld z napisem „Wypożyczalnia główna”, do której ktoś koślawo dopisał czerwoną farbą „Nadal czynna!”

– Facet musi być naprawdę szalony – orzekł Maksym i umilkł, gdy dziewczyna weszła do pomieszczenia.

Mężczyźni poszli w jej ślady, wkraczając do zupełnie obcego świata, wypełnionego ciężkim, zataęchłym powietrzem. W przestronnym, niemal pustym pomieszczeniu stał ogromny stół, za którym zasiadał wymizowany staruszek. Jego groteskowa, długa i skręcona z brudu broda sprawiała wrażenie przylepionej do znoszonej bluzy o barwie zgniłej zieleni. Bibliotekarz milczał, czekając, aż przybysze podejną bliżej. Z zadowoleniem zauważył spojrzenie mężczyzn, którzy zerkali w stronę usytuowanych na przeciwnych ścianach, sklepionych łukowo przejść, prowadzących do właściwego księgozbioru.

– Witaj Judytko! Widzę, że przyprowadziłaś mi gości.

– Tak się złożyło – odparła uśmiechając się przyjaźnie.

Dymitr spojrział w mgliste, szarozielone oczy starca i natychmiast dostrzegł drżące na ich dnie szaleństwo. Był pewien, że Bibliotekarz słabo orientował się w obecnej sytuacji świata, a przynajmniej nie przyjmował tego do wiadomości.

– To ty usypałaś na ulicy ten stos kości? – spytał nagle Dymitr, krzyżując spojrzenia z uśmiechniętym staruszkiem.

– Zajmuję się książkami, nie kośćmi – odparł spokojnie Bibliotekarz.

– A panowie, zdaje się, nie mają karty czytelnika, prawda? Chętnie się tym zajmę, to tylko chwilka, proszę o dane personalne.

– Nie mamy czasu na bzdury – syknął Dymitr. – Przyszliśmy tu po informacje.

– Formalności naprawdę zajmą tylko chwilkę, pytajcie Judyty.

– Świr – burknął pogardliwie Maksym – ale co mi tam! Nazywam się Maksymilian Kand, pawie jak taki filozof. Obecny adres to mieszkanie Judyty.

Bibliotekarz wydobyl z szuflady kawalek papieru i mocno zestrugany olowek, skrupulatnie notujac dane rozmowcy, po czym zwrócił się do Dymitra:

– Kolega jest już w naszym rejestrze. Proszę pana o personalia i przejdźmy do rzeczy.

– Nie mam czasu na bzdury! – krzyknął Dymitr, ale czując na sobie karcące spojrzenie Judyty dokończył łagodniejszym tonem – Dymitr, zamieszkały u obecnej tu Judyty, nazwiska nie znam.

– Brzeżka – wtrąciła dziewczyna.

– Swojego nazwiska nie znam – stwierdził poirytowany Dymitr.

– Zresztą moje imię też jest fikcyjne, cholera wie, jak się tam kiedyś naprawdę nazywałem. Straciłem pamięć.

– Nie jestem pewien, czy nieprawdziwe dane mogą być użyte do wypełnienia...

Bibliotekarz nie skończył mówić, gdyż masywna pięść rozmowcy z impetem trzasnęła w blat stołu, poprzedzając wściekły krzyk rosłego mężczyzny:

– Teraz jestem Dymitr! DYMITR! Notuj to, stary wariacie, i mów wszystko, co wiesz o wieży Babel, albo osobiście dołączę twoje kości do tej kolekcji przed budynkiem!

– Spokojnie! – zawołała błagalnym tonem Judyta. – Dymitr, obiecałeś mi, że nie będziesz agresywny! Bibliotekarzu, to nietypowa sytuacja, mamy pewne problemy i zależy nam na czasie. Pomóż nam.

– Wieża Babel... – odparł po chwili zastanowienia starzec, drapiąc się po skroni.

– Nie chodzi o tę biblijną – sprecyzował Dymitr – bardziej o jakieś rzeczywiste miejsce tu, w Polsce. Nie pamiętam nic poza tym, że MUSZĘ tam trafić.

Bibliotekarz kilkakrotnie leniwie przecesał dłonią brodę, teatralnie odchrząknął, po czym z chytrym uśmieszkiem na ustach i nutką triumfu w głosie, powiedział:

– Chyba wiem, czego szukasz, Dymitrze bez przeszłości. Wielki, silny, groźny Dymitr przyszedł zaczerpnąć mądrości ze źródła informacji. Świetnie! Biblioteka zawsze stoi otworem dla wszystkich tych, którzy chcą się czegoś dowiedzieć. Nawet dla tych, którzy nie darzą jej należytym szacunkiem. A ja w tym pomogę. Jestem przecież strażnikiem wiedzy w tych ponurach czasach, prawda?

Staruszek zachichotał upiornie, nim podjął przerwana tyradę:

– Rzeczywista wieża Babel, mówisz? Gościłem tu kiedyś człowieka, który stamtąd przyszedł. To było jakieś dwa, trzy lata temu. Przybył jesienią, zmarł zimą.

Bibliotekarz wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało jak „smaczny”, kontynuując:

– Taak... Megiddo! Oto miejsce, którego szukasz! Opowiedział o nim. Podobno to ostatnia ostoja cywilizacji. Mieści się bodajże w Bóbrce, blisko Jeziora Myczkowskiego.

Dymitr spojrział pytająco na Maksyma, który z żalem oświadczył:

– Nic mi nie mówią te nazwy.

– To na południe od Sanoka – zawyrokował ze znanstwem Bibliotekarz. – Pochodzę z Sanoka – dodał z dumą w głosie.

– To miasto kojarzę – przyznał Maksym. – To gdzieś pod Rzeszowem, prawda?

– Powiedzmy... Sanok leży jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Rzeszowa, to ostatnie większe miasto w tamtej części kraju.

– Raczej było – skorygował Maksym.

Bibliotekarz nie odpowiedział, mrużąc coś gniewnie pod nosem. Dymitr, obawiając się nagłego zakończenia rozmowy, przejął inicjatywę, pytając:

– No i co z tym... Megiddo? Opowiedz więcej, proszę!

– Raz prośbą, raz groźbą – zanucił staruszek – taki mędrca los. Mój gość mówił, że w tym miejscu obowiązuje twarde prawo, a wszyscy mieszkańcy pracują dla wspólnego dobra, dzieląc się tym, co wyprodukują. Czerwony sen raz jeszcze, taki mi się to widzi. Uprawiają ziemię, pasą bydło, pielęgnują kulturę. I wznoszą jakąś wieżę. Człowiek, który to wszystko zorganizował, chce zbudować Nową Wieżę Babel, tak to nazywa. Mój towarzysz spędził w Megiddo kilka dni i odszedł. Nie powiedział mi dlaczego. Może go nie chciano? Może nie spodobało mu się to, co widział? To wszystko, co wiem.

– Dziękujemy – wtrąciła się Judyta, widząc, że Dymitr pogrążył się już we własnych myślach, a Maksym nie przejawiał zainteresowania rozmową.

– Do usług – odparł pokornie Bibliotekarz, dodając – może chcecie coś wypożyczyć? Teraz, skoro macie już karty...

– Nie mamy czasu – wypalił Dymitr, odwracając się w stronę wyjścia.

– A ja chcę *Przenicowany świat* braci Strugackich! – krzyknął niespodziewanie Maksym. – Zdążyłem przeczytać tylko połowę, gdy przyszedł Dzień Sądu!

Dymitr obrzucił towarzysza chłodnym spojrzeniem, ale widząc, że mężczyzna nie stroi sobie żartów i najwyraźniej nie ruszy się z biblioteki, jeśli nie otrzyma książki, nie zareagował. W tym czasie Bibliotekarz pokuśtykał rażnie w stronę wypełnionego książkami pomieszczenia po swojej lewej stronie. Wrócił stamtąd nadspodziewanie szybko i położył na blacie cienką książkę. Na białej okładce widniała jakaś prosta, kolorowa grafika, której Dymitr nie zdążył się dobrze przyjrzeć, gdyż jego towarzysz dosłownie rzucił się na książkę, z trudem hamując radość.

– Więc masz jeszcze jakieś zainteresowania, poza fantazjowaniem o potrzebie powszechnej prostytutce kobiet – rzuciła złośliwie Judyta.

Maksym zignorował jej słowa, ostrożnie wkładając książkę do wewnętrznej, niezdarne doszytej kieszeni swojej jeansowej kamizelki. Bibliotekarz skrupulatnie zanotował fakt wypożyczenia w karcie swojego nowego czytelnika, pytając Dymitra:

– Co dla ciebie?

Mężczyzna nie odpowiedział, ruszając ku wyjściu. Maksym poszedł w jego ślady i tylko zdezorientowana Judyta stała przez moment w miejscu, aż rzuciła krótkie „Do widzenia” Bibliotekarzowi i pobiegła za znikającą już za drzwiami parą mężczyzn. Na korytarzu dziewczyna zrównała się z uśmiechniętym Dymitrem, pytając:

– I co teraz?

– To znaczy?

– No... Idźcie do tego Megiddo?

– Naturalnie! – odparł zdumiony mężczyzna, według którego najwyraźniej ten fakt powinien być dla wszystkich oczywistością.

– A ja?

– No ty... Rób co chcesz. A na razie chodźmy poszukać czegoś przydatnego, jutro ruszamy w drogę.

– Tak jest! – zakrzyknął Maksym, posyłając Judycie ironiczny uśmiešek.

Dziewczyna zacisnęła gniewnie zęby, przyśpieszając korku. Ze złością zauważyła, że mężczyźni nie rozumieli jej intencji i zamiast chwilowo trzymać się z tyłu, również przyśpieszyli, ponownie maszerując tuż obok niej. Idioci! – pomyślała, czując jak niespodziewanie gniew ustępuje miejsca żalowi. Przez jedną straszną chwilę była pewna, że nie wytrzyma i, po raz pierwszy od roku, zacznie płakać, przytłoczona



poczuciem własnej bezwartościowości. Zamiast tego chrząknęła głośno i przełknęła ślinę, czując, jak groźba uzewnętrznienia emocji mija, a jej twarz przybiera obojętny wyraz. Zwolniła kroku, w milczeniu wskazując dłonią kierunek marszu. Musiała wytrzymać jeszcze jedno popołudnie, a potem ci intruzi odejdą z jej życia tak nagle, jak do niego wkroczyli. I wszystko będzie po staremu – pomyślała – a nawet lepiej, bo bez Ewy!

\*\*\*

Maksym z zalem przyglądał się dwóm strażnikom punktu kontrolnego, którzy systematycznie przetrząsali torbę zawierającą to, co stojąca przed nimi trójka ludzi z trudem zdołała znaleźć, od czasu opuszczenia rynku, do późnego popołudnia.

– Nie poszczęściło się wam dzisiaj, co? – zauważył jeden z strażników.  
– Żal wam coś z tego zabierać, ale prawo to prawo.

– Dura lex, sed lex – przytaknął Maksym.

– Ehe – burknął stróż prawa.

I z wyrazem twarzy, który w żaden sposób nie sugerował zakłopotania wy dobył z trzymanej przez Dymitra torby konserwę, dobrodusznie pozwalając:

– Wchodźcie. Albo czekajcie. Gdzie szukaliście?

– W okolicach biblioteki, a co? – spytała podejrzliwie dziewczyna.

– No, to nic dziwnego, że przyszliście prawie z pustymi rękami. W ogóle po cholere tam nowych zaprowadziłaś?

– Tak jakoś. Miasto muszą poznać. Chcesz czegoś konkretnego? Śpiesz się nam!

– Spokojnie, dziewczyno! Zastanawiam się tylko, czy nie widziałaś gdzieś Darka?

– Nie. Może znów siedzi u Eweliny?

– Na pewno nie. Dziewczyny też gdzieś się zawieruszyły i ten świr jakiś czas temu poszedł ich szukać. Dziś ma służbę od zachodu słońca...

– Znajdzie się.

– A dziewczyn nie widziałaś?

– NIE! Daj mi święty spokój!

Wściekła Judyta ruszyła ostro do przodu, a zmieszani mężczyźni podążyli za nią, zostawiając za sobą poirytowanych strażników. Dymitr pierwszy zrównał się z dziewczyną, ostrzegając:

– Nie możesz teraz pokazywać, że jesteś czymś zdenerwowana.

– Wielkie dzięki, sama nigdy bym na to nie wpadła. Nie martw się – dodała spokojniejszym tonem – będę nad sobą panowała.

– Zdenerwowało cię kilka niewinnych pytań, kiedy znajdą ciała...  
– Będę oazą spokoju i opanowania. Odczep się.  
– Tylko...  
– Nie rozumiesz po polsku, Dymitr? Potrzebuję teraz chwili dla siebie, jasne? Cały dzień was niańczyłam, a pewnie i tak zaraz pójdziecie w cholerę tropem tej śmiesznej wieży.

Mężczyzna wzruszył beznamiętnie ramionami i zwolnił tempo, dołączając do Maksyma, który zagadnął:

– Coś nie tak?  
– Nie wiem, kazałem jej tylko uważać na zachowanie. Wiesz, sprawy wkrótce mogą się tutaj pokomplikować – dodał cichszym tonem.  
– Może ten cały Darek niczego nie znajdzie – również wyszeptał stary.  
– Może...

Mężczyźni urwali rozmowę, gdy weszli do klatki schodowej kamienicy, w ciszy pnąc się po wytartych schodach. Judyta bez słowa przepuściła ich w drzwiach swojego mieszkania, z miną wyraźnie sugerującą, że podejmowanie z nią dyskusji w najbliższym czasie nie byłoby dobrym pomysłem. Chwilę potem z ulgą zwała się na swoje łóżko, podkurczyła nogi i z cichym westchnięciem wtuliła głowę w poduszkę, daremnie oczekując na sen.

\*\*\*

Trójka ludzi zgromadzona w kuchni starej kamienicy uparcie milczała, unikając skrzyżowania ze sobą spojrzeń. Stojąca koło okna Judyta wiedziała, co zaraz nastąpi, chociaż desperacko chwytła się myśli, że jej tymczasowi domownicy (a raczej jeden z nich) mimo wszystko postanowią zostać u niej jeszcze przez jakiś czas. A może wprost to zaproponuje, zanim któryś z nich oświadczy, że odchodzą?

– Ruszamy rano – wymamrotał niespodziewanie Dymitr, najwyraźniej nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

– Uhm – potwierdził mruknięciem jego towarzyszy, zerkając na dziewczynę.

– Zostawcie kluczyki w schowku samochodu, jak zabierzecie swoje rzeczy – poprosiła Judyta, czując, że jej głos nie brzmi tak pewnie, jak by sobie tego życzyła.

– Chyba mówiłaś coś – zaczął niepewnie młodszy z mężczyzn – że chciałybyś z nami iść, tak?

– Po co? Wiesz już, gdzie szukać swojej wieży, nie jestem ci do niczego potrzebna. Zresztą Maksym też nie, jesteś samowystarczalny. Ale przecież robisz za jego ochroniarza, więc jak mógłby cię porzucić?

– Nie rozumiesz – rzucił krótko Dymitr.

– Więc mi to wytłumacz! Wiem, że łączy nas zawarta w pośpiechu umowa, która w dodatku przysporzyła tylko dodatkowych kłopotów, ale chciałabym po prostu wiedzieć. Dlaczego szukasz tej wieży? Nic więcej od ciebie nie chcę.

– Te poszukiwania to wszystko, co mi zostało z mojej tożsamości – odpowiedział mężczyzna, nieśpiesznie dobierając słowa. – To mnie definiuje. Straciłem pamięć, a przynajmniej jej część. Nie wiem, kim byłem przed katastrofą, co w niej straciłem, w co wierzyłem, nawet nie rozumiem, dlaczego dla mnie to katastrofa, a nie Dzień Sądu. Po prostu mam świadomość, że wiem coś ważnego, coś dzięki czemu jestem lepszy od tej zbieraniny biernie czekających na śmierć ludzi.

– Masz na myśli nas?! – spytała z pogardą w głosie Judyta. – Dlatego tak gładko przychodzi ci zabijanie, bo jesteśmy czymś, o co człowiek z misją nie musi się troszczyć? Czerwiami na drodze czołgu śpieszącego z odsieczą?

– Możecie mi przecież pomagać, mieć w tym udział. Mieć cel w życiu.

Dziewczyna otworzyła ze zdumienia usta, ale zamiast coś powiedzieć, wydała z siebie gniewnym pomruk i opuściła pomieszczenie.

– No dzięki, łaskawco – burknął Maksym, również wychodząc z kuchni.

Dymitr przygryzł nerwowo wargę i spojrzał za okno, szacując, że do zmierzchu zostało mniej niż dwie godziny. Mężczyzna zastanowił się, co znaczyła dla niego opinia cynicznego, rzekomo przyjaciela z poprzedniego „życia” i zdanie łatwowiernej nastolatki? Niewiele, ale to właśnie stary pomógł mu podczas ostatniego ataku, a dzięki Judycie dotarł do dobrze poinformowanego Bibliotekarza. Wstał, pośpiesznie układając w myśli niezbyt wyszukane przeprosiny, gdy rozległo się stanowcze pukanie do drzwi wejściowych. Dymitr instynktownie ruszył w ich stronę, niemal zderzając się w korytarzu z Judytą. Dziewczyna rzuciła mu przelotne, pełne strachu spojrzenie, zerkając jeszcze przez wizjer, nim zdecydowała się otworzyć drzwi. Na progu stał tęgi mężczyzna, ubrany w przefarbowany na czarno policyjny mundur z mnóstwem doszytych na pagonach gwiazdek.

– Komendant! – wykrzyknęła zaskoczona Judyta.

– Dziękuję – odparł mężczyzna i bezceremonialnie wszedł do mieszkania, jakby rzeczywiście odpowiadał na czyjeś zaproszenie.

Dymitr szybko zdusił płaczący się mu po ustach szyderczy uśmiešek i przywitał nieznanego megalomana słowami:

– Czy złamaliśmy prawo?

– Nie, nie, spokojnie. Przyszedłem porozmawiać tu z tobą... Jak się nazywałeś?

– Dymitr.

– Ach tak, Dymitr, rzeczywiście. Usiądźmy.

Mężczyźni zajęli miejsce w kuchni, po przeciwnych stronach stołu. Judyta również się dosiadła, spoglądając ukradkiem w stronę pokoju, w którym został Maksym. Stary najwyraźniej nie był zainteresowany niespodziewaną wizytą wymiaru sprawiedliwości.

– Więc – zaczął Komendant – razem z tym drugim mieszkałeś sobie kątem tutaj, u naszej Judyty, co? Jak się poznaliście?

– Do rzeczy – uciął Dymitr.

– Nie podskakuj, synku! Możesz łatwo wylecieć z naszego terenu, a w Krakowie może być bardzo niemiło, jak trafisz w nieodpowiednie miejsce w nieodpowiednim czasie. Rozumiesz?

– Tak. Czego chcesz?

– Dymitr... – jęknęła błagalnie Judyta.

– Spokojnie, tylko sobie rozmawiamy – obwieścił egzaltowanym tonem Komendant – jak dorośli faceci. Słuchaj, Dymitr, wydajesz się sprytnym gościem. I masz krzepę za trzech, przydasz się. Wstąp do Straży! Robota jest łatwa i przyjemna, chociaż – dodał pośpiesznie, zerkając na Judytę – od jesieni po wiosnę czasem pod nasze barykady podchodzą jakieś łachudry z innych dzielnic, to wtedy bywa niebezpiecznie. Ale o porządek trzeba dbać, co?

– Jakie są warunki?

– O tym porozmawiamy, jak przyjdiesz do mojego gabinetu, nie jestem akwizytorem, żebym opowiadał o niesłychanych korzyściach służby publicznej. Jak będziesz chciał się czegoś dowiedzieć, to przyjdź do nas. Straż Miejska ma siedzibę w Sukiennicach, na piętrze. To wszystko. Przyszedłem do ciebie pierwszy, docenń to.

– A jeśli się nie zdecyduję?

– Nikt cię nie zmusza do wstąpienia do Straży. Ani do siedzenia w Krakowie.

Komendant wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa została zakończona. Zrobił krok do przodu, ale przystanął i spojrzął na Judytę, ostrzegając:

– Wczoraj Ewa mówiła mi o waszej małej sprzeczce nad Wisłą. Bruździsz, Judyta, bruździsz i robisz sobie problemy od pierwszego dnia pobytu tutaj. Nie mówię, że Ewa i jej dziewczyny są bez winy, ale nie możesz ciągle ich prowokować. Pilnuj swoich spraw, jak wszyscy.

– Postaram się.

– Mam nadzieję.

Mężczyzna wyszedł, zostawiając Dymitra i Judytę w ponurych nastrojach. Pierwsza odezwała się dziewczyna, stwierdzając ponuro:

– Jestem skończona. Teraz to tylko kwestia czasu, zanim Darek znajdzie ciała dziewczyn, a Komendant powiąże fakty. To, wbrew pozorom, sprytny facet. Musimy uciekać, natychmiast!

– Zawołam Maksyma.

– Nie trzeba – powiedział stary, wyraźnie zadowolony z faktu, iż udało mu się niepostrzeżenie wejść do kuchni. – Musimy to zrobić w tajemnicy, więc nie ma mowy o zabieraniu rzeczy. Szczególnie plecaków. – dodał żałośnie. – Cały dobytek psu w dupę.

– Ja zostawiam więcej, całe mieszkanie – syknęła Judyta.

– Też mi coś, mieszkanie. Przyszedł tutaj na gotowe! – parsknął stary.

– Ja wszystko sam uzbierałem, każdy szpargał to inna historia, pięć lat to kawał życia! A w samochodzie zostało tyle, co nic.

– Przestańcie się licytować – warknął Dymitr. – Skoro ten cały Komendant wie o sprzeczce Judyty z Ewą, to nie mamy szans się wyłgać, wszyscy jesteście umoczeni. Trzeba działać! Wychodzimy teraz, w tej chwili. Chowamy po kieszeniach tylko to, co najważniejsze. Ja prześcę pistolet i nóż. Maksym, ty bierz otwieracz do konserw, zapalniczki i płyn do nich. Nie zapomnij o knotach! Judyta, wyjdź już teraz i załatw nam rowery.

– Co?

– Nie umiesz jeździć?

– Umieć, ale... No dobra, wiem, gdzie jest ich sporo, przecież nikt ich nie bierze.

– Bo każdy nosi ze sobą cały dobytek na plecach, i utrzymanie równowagi jest niemożliwe. My będziemy bez plecaków. Idź, spotkamy się pod twoim samochodem na moście. Tylko nie biegnij!

Dziewczyna skinęła głową na znak, że wszystko pojęła, i pośpiesznie opuściła mieszkanie. Chwilę potem Maksym spytał z nadzieją w głosie:

– Może da się to odkręcić? Porozmawiaj z Komendantem, zwalimy wszystko na Judytę...

– Nie możemy ryzykować. Nie teraz, kiedy w końcu wpadłem na trop Babel.

– A ty znowu swoje!

– Koniec rozmów, bierzemy co trzeba i wychodzimy!

Stary nie próbował więcej protestować, i razem z Dymitrem przeszedł do ich pokoju. Oznajmił tylko nieznoszącym sprzeciwu tonem:

– Biorę też książkę!

– W porządku.

Szybko wyjęli z plecaków najważniejsze rzeczy, ukrywając je w ubraniach i przez chwilę stali, przypatrując się sobie uważnie.

– Chyba nie wzbudzamy podejrzeń – zawyrokował Maksym. – Chociaż troszkę widać, że coś wynosimy.

– Trudno. W drogę!

Pełni obaw mężczyźni energicznym krokiem opuścili mieszkanie i kamienicę, zerkając jeszcze tęsknie w stronę Sukiennic. Ostatni raz spoglądali na Rynek. Wchodząc na ulicę Szewską zwolnili tempo, spokojnie mijając punkt kontrolny. Jeden ze strażników niespodziewanie zastąpił im drogę, pytając:

– Odchodzicie?

– Bez swoich rzeczy? – odpowiedział pytaniem Maksym.

– Spokojnie – wyjaśnił Dymitr. – Idziemy po to, co zostawiliśmy w okolicy przed pierwszym wejściem na wasz teren, wprowadzamy się na stałe. Rozmawiałem niedawno z waszym szefem, po służbie możecie mu przekazać, że wstępuję do Straży. Wpadnę do niego jutro z samego rana.

– Skoro sam z tobą gadał, to radzę nie czekać do jutra, powiedz mu o swojej decyzji jak tylko wrócicie. Nie robisz mu łaski, akceptując zaproszenie, tylko on tobie, w ogóle prosząc – poradził strażnik, schodząc rozmówcom z drogi i pytając – Co jest z Judytą? Minęła nas błada jak trup, żegnając się, jakby miała nie wracać.

– Mała sprzeczka – wyjaśnił Maksym. – Nie do końca zrozumieliśmy, dlaczego nas do siebie zaprosiła, więc zmieniamy mieszkanie. A swoją drogą, podobno są tu u was dziewczyny bardziej skłonne do zabawy?

– Masz na myśli Ewę i jej panienki?

– No chyba tak.

– Są, działają. Dla Straży po niższych cenach – powiedział, mrugając do Dymitra. – Dla emerytów może też, więc jak tylko dasz radę, staruszku, to korzystaj.

– O moje libido się nie martw. I w ogóle może też się zaciągnę do tej waszej Straży – odparł buńczucznie Maksym.

– A po cholere tam ciebie?

– Chodź, Maksym – zakomenderował Dymitr, podejrzewając że jego towarzysz szykuje się do jakiejś ciężkiej riposty. – Będzie jeszcze czas na gadanie.

Mężczyźni odeszli od punktu kontrolnego i ruszyli w stronę Teatru Bagatela, czekając, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu strażników. Dopiero wtedy Dymitr przyznał z uznaniem:

– Żelgałeś jak z nut.

– Miałem dobrą motywację. Myślisz, że to kupiłeś?

– Nie mają powodów do podejrzeń. Chociaż niepotrzebnie pytałeś o Ewę.

– Im bezczelniejsze kłamstwo, tym łatwiej w nie uwierzyć. Metoda Hitlera.

– On ostatecznie marnie na tym wyszedł – stwierdził Dymitr, przyśpieszając kroku.

Maksym wrzucił ramionami i troskliwie poprawił ukrytą w wewnętrznej kieszeni kamizelki książkę.

– Wracamy! – krzyknął Dymitr, zatrzymując się gwałtownie. – Zapomniałem portfela!

– Oszalałeś? Ach tak, ta twoja kartka. Napiszesz nową, spokojnie.

– Nie! Jestem pewien, że dobór słów na niej musi być dokładnie taki, jak teraz. Czytałem ją przez wszystkie te lata i na pewno mój mózg jakoś to zarejestrował. Musimy...

– Spokojnie, mam ją – wyznał skruszony Maksym. – Zauważyłem, że o niej zapomniałeś i zabrałem twój portfel.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym od razu, tylko proponowałeś napisanie nowej? – spytał podejrzliwie Dymitr.

– Żartować nie można? Proszę, to twój portfel. Zadowolony? Możemy iść?

Mężczyzna bez słowa schował do kieszeni ofiarowany mu przedmiot, uprzednio sprawdzając, czy wewnątrz znajduje się bezcenna notatka. Uspokojony, ruszył przed siebie, obrzucając towarzysza nieufnym spojrzeniem. Postanowił, że od tej pory musi zacząć uważać na tego człowieka. Ktoś, kto potrafił zachować stoicki spokój, w dodatku swobodnie wymyślając na poczekaniu wiarygodne kłamstwa, mógł okazać się naprawdę niebezpieczny. A tak poza tym, tak zwyczajnie po ludzku,

coś nie lubił tego faceta. Źle mu z oczu patrzyło, a na to żadna gadka pomóc nie mogła.

\*\*\*

Judyta z niepokojem zerknęła na krwawy nieboskłon, próbując obliczyć, ile jeszcze czasu zostało do zmierzchu. Na pewno miała do dyspozycji jeszcze co najmniej pół godziny. Gdyby nie musiała prowadzić dwóch rowerów, na które dodatkowo wrzuciła trzeci i nadkładać drogi, żeby ominąć ściśle centrum, zdążyłaby. Zresztą, wciąż mimo wszystko miała sporo czasu. Szerokie Aleje Trzech Wieszczów prowadziły wprost na most Dębnicki, na którym czekali na nią mężczyźni. Spojrzała w lewo, ku wylotowi uliczki prowadzącej niemal bezpośrednio do biblioteki. Nastął czas odwlekanej od dłuższego czasu decyzji. Chęć pożegnania się z Bibliotekarzem walczyła ze zdrowym rozsądkiem. Gdzieś w zakamarkach umysłu rozbrzmiał szyderczy śmiech Maksyma. Ale musiała to zrobić. Puściła obie kierownice, odsuwając się od rowerów, które upadły z trzaskiem na jezdnię, zrzucając z grzbietów swojego towarzysza. Podniosła jeden z rowerów i pośpiesznie wskoczyła na siodełko, nerwowo wduszając pedały. Po przejechaniu kilku metrów poczuła się pewniej, z zaskoczeniem stwierdzając na głos:

– Tego naprawdę się nie zapomina!

Pomknęła przed siebie, zręcznie wymijając unieruchomione samochody i ludzkie szczątki. Nie minęła nawet minuta, gdy ostro hamując, niemal wbiła się w stos kości. Rzuciła na nie pojazd i popędziła w stronę wejścia do biblioteki. Wbiegła do tonącego w półmroku holu i, zwalniając tempo do marszu, próbowała wyrównać oddech, układając w myślach słowa pożegnania. Szybko dotarła do wypożyczalni, by po gwałtownym szarpnięciu drzwiami odkryć, że Bibliotekarza nie ma za biurkiem. Przez chwilę nie wiedziała co powinna teraz zrobić, szukać starca tracąc kolejne cenne minuty, czy odejść bez pożegnania? Zostawić notatkę? Ale jakiej treści? Wszystkie stworzone w umyśle formułki zniknęły.

– Bibliotekarzu! – wrzasnęła z paniką w głosie.

– Judyta? – odpowiedział głos niezdarne wyłaniającego się spod biurka mężczyzny. – Wybacz, porządkowałem szuflady. – Och, jednak jesteś! – westchnęła z ulgą, podbiegając do zdeorientowanego Bibliotekarza. – Sprawy się skomplikowały, muszę pomóc Dymitrowi w poszukiwaniach Megiddo.

– Przecież powiedziałem mu, gdzie to jest.



– On stracił pamięć, ta misja... To bardzo ważne – wybąknęła niepewnie Judyta, unikając wzroku rozmówcy.

– W drodze do Sanoka niech zajdzie do Rzeszowa i znajdzie Szymona hipnotyzera, on może pomóc w takich sprawach.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Nigdy nie widziałam u ciebie żadnych gości.

– Są jeszcze ludzie, którzy po przyjeździe do obcego miasta najpierw idą do biblioteki po trochę informacji. Naprawdę!

– Szymon hipnotyzer, zapamiętam. Muszę już iść, strasznie mi się śpieszy!

– Zostań – poprosił.

– Bibliotekarzu, ja nie mogę... Uciekam z Krakowa, już tu nie wrócę.

– Jak to? Nie możesz!

– Muszę! Wpadłam tu tylko na chwilę, pożegnać się, już muszę iść – wyrecytowała szybko, oddalając się od biurka.

– Nie! Judytko! Nie możesz, wypożyczyłaś książki...

– Muszę – wyszeptała ze ściśniętym gardłem już przy drzwiach.

– Czekaj! Dam ci książkę na drogę, przewodniczkę życiową, to bardzo ważne, czekaj!

Bibliotekarz pomknął najszybciej, jak potrafił do jednego z przyległych pomieszczeń, gwałtownie przeskakując palcami po grzbietach książek w poszukiwaniu jakiegoś stosownego tytułu. W końcu trafił na coś w sam raz i sapiąc ciężko, pośpieszył z powrotem do swojego stanowiska. Judyty już nie było, zostawiła po sobie otwarte drzwi, przez które wślizgnął się do środka opasły, czarny kocur.

– Witaj Estreicherze, to dla ciebie – powiedział markotnie starzec, kładąc obok zwierzęcia książkę.

Kot obwąchał nieufnie przedmiot, miaucząc z wyraźnym rozczarowaniem. To coś nie było jedzeniem, nie chciało go też zaatakować. Było niczym! Zwierzę odmaszerowało w sobie tylko znanym celu, ocierając się po drodze o nogę dziwnego człowieka, który zwykle dawał mu pokarm, a nie pachnące stęchlizną przedmioty. Starzec podszedł powoli do drzwi i zamknął je ostrożnie. Pokuśtykał na swoje miejsce przy biurku i wydobył z szuflady trzy karty czytelników, rwąc na strzępy pierwszą z nich. Dymitr przestał istnieć w jego katalogu, podobnie skończył Maksym. Skrętnie zapisana datami wypożyczeń i zwrotów karta Judyty przez moment podskakiwała w drżącej dłoni Bibliotekarza, zanim sękaty palec ją również przemielżył na drobne, papierowe płatki.

Stojący na dachu białej skody Maksym rozglądał się nerwowo po okolicy. Niebo poszarzało już do reszty, czuć było chłód nadciągającej nocy. Stary ostrożnie zszedł ze swojego punktu obserwacyjnego, narzekając:

- Wiedziałem, że to tak się skończy. Pewnie ją złapali.
- Może. W tych samochodach znalazłem tylko jeden większy plecak, zmieściło się w nim wszystko, co zostawiliśmy w bagażniku.
- Na ile to nam wystarczy?
- Jakies trzy dni.
- Liczyłeś z dziewczyną?
- Tak.
- Ile jeszcze czekamy?
- Ile będzie trzeba. Masz jeszcze jakies pytania?
- Nie – odburknął Maksym, idąc w stronę krawędzi mostu.

Stary spojrział w ton leniwie płynącej Wisły, na powierzchni której siedziało stado mew. Rozejrzał się po chodniku w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby rzucić, ale najbliższy taki obiekt, but z uwięzioną wewnątrz kościaną stopą, leżał zbyt daleko. Nie miał ochoty ruszać się z tego miejsca, ani w ogóle opuszczać Krakowa. Po pierwszej od jesieni nocy spędzonej w czystej pościeli, poczuł się stary jak nigdy dotąd.

- Hej, Dymitr! – zawołał, nie oglądając się za siebie.
- Czego znów chcesz?
- Wiesz, że przez ostatnie trzy lata nie spotkałem prawie nikogo na szlaku? Wszyscy gdzieś siedzą, w miastach, wioskach, jakichś samotnych domach. Nikt nie wędruje.
- Też bym grzał pośladki, gdybym nie musiał szukać wieży Babel.
- Dlaczego?
- Co dlaczego? Ta wieża musi coś znaczyć...
- Nie pytałem o poszukiwania, tylko dlaczego chciałbyś gdzieś siedzieć. Nie ciekawiłoby cię, jak to jest w innych miastach, krajach?
- Po co niepotrzebnie wystawiać się na ryzyko? Skoro przeżyło się koniec świata, to głupio byłoby umrzeć z głodu podczas jakiejś wycieczki krajoznawczej.
- Więc lepsza jest wegetacja?
- Zanim się poznaliśmy ciągle byłeś w drodze? – odpowiedział pytaniem na pytanie młodszy z mężczyzn.
- Tak.
- Od samego początku?
- Nie.

– Gdzie zawędrowałeś?  
– Na północ, chciałem w końcu zobaczyć morze.  
– I jak?  
– Duża rzeka, tylko piasek taki, jak na filmach. Nic specjalnego.  
– Wszyscy, których spotkałeś, wiedzieli, że ta katastrofa to gniew Boży? Maksym odwrócił się z wyrazem niedowierzania do twarzy i warknął:  
– Tak! Przyjmij to w końcu do wiadomości, czymś tam ostatecznie mu podpadliśmy i pach! Koniec cywilizacji, zostali tylko ludzie z misją, starcy i durne niedotykałskie dziewczyny, które nie potrafią na czas przeprowadzić rowerów!

Stary ruszył w stronę najbliższego samochodu, niezdarnie gramoląc się na jego dach. Gniewny wyraz natychmiast znikł z jego twarzy.

– Idźcie! – krzyknął. – Ma rowery, jest przy Jubilacie, bierz graty, idziemy!

Mężczyźni szybko pokonali dystans dzielący ich od zaspanej Judyty, która bez słowa przekazała im pojazdy.

– Ten jest mój – ostrzegła, gdy Dymitr sięgnął po jeden z rowerów.  
– Podjechałam nim do biblioteki, musiałam się pożegnać. I – dodała śpiesznie, widząc, jak Maksym otwiera usta – jeszcze mi za to podziękujecie. Jedźmy już.

Wszyscy zajęli miejsca w kolumnie, na czele której stanął Dymitr, nadając grupie tempo. Wprawione w ruch koła szumiały na jezdni, zagłuszane nieco przez terkot skorodowanych mechanizmów. Skuleni nad kierownicami stary i dziewczyna miarowo wciskali zataczające kręgi pedały, z każdym obrotem czując, jak nieprzyzwyczajone do tego rodzaju wysiłku mięśnie coraz szybciej się nagrzewają. Nikt z nich nie śmiał pierwszy zgłosić sprzeciwu wobec rytmu Dymitra, ale najwyraźniej mężczyzna również nie czuł się pewnie na dwóch kółkach, bo po pewnym czasie zwolnił wyraźnie, jakby na swoje usprawiedliwienie stwierdzając:

– Robi się coraz ciemniej, wyjedziemy z miasta i będziemy jechać tak długo, jak będzie widać jezdnię, nie możemy ryzykować złapania gumy.

Nikt mu nie odpowiedział, jedynie nienasmarowane mechanizmy terkotały, każdy w swoim rytmie, aż ostatnie blaski dnia zupełnie przemięły i nastąpiła czarna, pochmurna noc.

\*\*\*

Darek zdał sobie sprawę z tego, że od dłuższego czasu pozostawał w bezruchu, nachylony nad zniekształconymi ciałami prostytutek. Gale-  
ria, dlaczego podczas godzin bezskutecznych poszukiwań nie pomyślał

o tym miejscu? Może właśnie dlatego, że było to tak oczywiste. Wyprostował się, z obrzydzeniem wypływając z ust ślinę, licząc skrycie, iż razem z plwociną wyrzuci z ust słodkawy posmak zgnilizny unoszący się w powietrzu. Ktoś musiał zabić dziewczyny wczoraj. Kule, szybka śmierć. Ten, kto naciskał spust nie będzie mógł liczyć na taką łaskę. Judyta! To imię samoistnie przyszło mu na myśl, dając początek łańcuchowi skojarzeń. Dwaj faceci, stary i ten drugi, wielki. Mordercy! Musiał ich odnaleźć, zabić, dokonać zemsty. Znów miał cel. Obrzucił ciała obojętnym spojrzeniem, tam nie było już jego Eweliny, tylko martwa, rozdziobana tkanka, która go nie interesowała. Musiał działać ostrożnie, bez wzbudzania podejrzeń, na własną rękę. Spojrzał ku wieczornemu niebu, którego barwa przechodziła z jasnego różu w odcień szarości. Zaraz zacznie się jego warta, musiał ruszać. Zaczął maszerować, coraz szybciej i szybciej, przechodząc do truchtu, a potem biegnąc. Wbiegł do podziemnego tunelu, łączącego plac przed galerią z drugą stroną ulicy, zupełnie jakby na powierzchni wciąż trwał ruch, a to była bezpieczna droga pozwalająca uniknąć sterczenia w oczekiwaniu na zielone światło dla pieszych. Wbiegł na coraz bardziej przypominające las Planty i szybko dotarł do punktu kontrolnego, przywitany nieprzyjemnym spojrzeniem czekającego na niego drugiego wartownika. Jarek, facet po czterdziestce, brudny gbur, trzyma się na uboczu – wyłowił z pamięci te określenia, przypasowując je do twarzy. W jego umyśle każdy kogo znał miał swoją szufladkę, w której Darek zbierał różne informacje. Żadna krzywda nigdy nie była zapomniana, za krzywdę odpowiadał krzywdą, za dobroć dobrocią. Prosty i sprawiedliwy mechanizm zawsze działał, a dokładne analizy każdego minionego dnia pomagały młodemu mężczyźnie nie myśleć o otaczającym go świecie.

– Hej! Słyszysz mnie? – spytał po raz kolejny Jarek, który w statystykach prowadził czternaście do ośmiu na korzyść uprzejmości.

– Wybacz, zamyśliłem się – odparł grzecznie Darek.

– Już myślałem, że będę sam na warcie.

– Jest jeszcze trochę światła, teoretycznie zaczynamy zmianę trochę za wcześnie.

– Może. Pytałem, gdzie byłeś.

– Szukałem Eweliny.

– I co?

– Nic, nigdzie nie było dziewczyn, pewnie są już w domach.

– Ehe.

– A co tam nowego w rynku?

– Nic.

– Tak po prostu nic?

– Nie, daj mi spokój! Spóźniłeś się i głowę zawracasz.

Czternaście do dziewięciu – pomyślał Darek, pytając dalej:

– Na pewno nic? Wiesz, zastanawiałem się co z tymi nowymi.

– A co ma być? Ten duży, ruski chyba jakiś, ma wstąpić do nas.

Darek zacisnął gniewnie szczęki. To komplikowało jego sprawę, musiał działać szybko albo skupić się tylko na starym i Judycie. Nie, nie mógł odpuścić temu siłaczowi. Było w nim coś nieokreślenie złego, zasługiwał na karę. A Darek był prawem, to była jego rola tutaj. Może dlatego przetrwał Dzień Sądu? Żeby zostać stróżem porządku?

– Dobra, zamykamy, pewnie zostaną gdzieś na noc – zakomenderował Jarosław.

– Kto?

– Judyta i tej jej gachy. Ci z poprzedniej zmiany nie wpisali w zeszyt ich powrotu.

– Odeszli?

– No wyszli.

– Całkowicie?

– Jakie całkowicie? Po prostu wyszli, nie wiem, może znaleźli coś dobrego i wolą to zjeść, żeby się z nami nie dzielić. Młoda zawsze kombinuje, może ich namówiła. To teraz pośpią sobie na mieście albo u tego jej starego wariata w bibliotece.

– Pewnie tak będzie – odparł mechanicznie Darek, układając już w myśli plan następnych godzin.

Musiał zejść tej nocy z warty, to było pewne. Winni czuli już na karkach oddech sprawiedliwości i planowali ucieczkę, wiedział to! A nigdy nie ignorował swoich przeczuc, zbyt często się sprawdzały. Tymczasem musiał zachowywać się normalnie, zgodnie z procedurą. Strażnicy otworzyli jedną stronę tylnych, skrzydłowych drzwi obu samochodów dostawczych, tworząc w ten sposób prowizoryczną bramę. Bez słowa rozdzielili się i zajęli miejsca w szoferkach pojazdów, przed kolejną nocą wypatrywania nigdy nienadchodzącego zagrożenia.

Darek ostrożnie uchylił drzwi od strony kierowcy, z równą uwagą delikatnie je zamykając. Powoli, jakby brodził w gęstej, krępującej ruchy cieczy podkraść się do drugiego samochodu i spojrzeć na pogrążonego we śnie Jarosława. Najwyraźniej mężczyzna niezbyt poważnie, podobnie jak większość strażników, traktował obowiązek trzymania warty. W końcu ich głównym, nieoficjalnym zadaniem było kontrolowanie,

czy nocami mieszkańcy rynku nie szmuglują zebranych w ciągu dnia towarów. Darek odsunął się od pojazdu i spojrzął ku zachmurzonemu nocnemu niebu, które sprzyjało jego planom. Ściągnął wysokie, skórzane buty i najszybciej jak umiał, zaczął skradać się w stronę Teatru Bagatela. Zastanawiał się, jak komicznie musiał teraz wyglądać. Boso, z butami nałożonymi na dłonie, stąpając na palcach, brakowało mu jeszcze kobiecego ubrania. Uśmiechnął się w duchu. Od czasu Dnia Sądu zdarzyło mu się kilka razy zakładać damskie stroje. Robił to dla żartu, chociaż zawsze w tajemnicy, z dala od Rynku, w swoim dawnym mieszkaniu w kamienicy na Kazimierzu. Miał tam wielkie, naścienne lustro i kolekcję różnych strojów. Właściwie zdarzało się to chyba więcej niż kilka razy, może kilkadziesiąt, albo kilkaset. Darek nie myślał o tym, nie liczył, ile razy pozwalał sobie na takie żarty. Bo i po co? To nie miało teraz znaczenia. Gdy dotarł do teatru, pośpiesznie przywdział buty i szybkim marszem, który po kilkudziesięciu metrach przerodził się w bieg, ruszył ku bibliotece. Ostatni raz był tutaj kilka dni przed Dniem, ale niegdyś odwiedzał to miejsce regularnie. Z zewnątrz, nie licząc upiornego stosu kości, gmach nie zmienił się zbyt wiele. Przystanął i wygrzebał z pamięci potrzebne mu informacje. Bibliotekarz, Judyta. Wypożyczalnia główna, tam go znajdzie. Uśmiechnął się triumfalnie. Zawsze miał świetną pamięć, ale od czasu zagłady miał wrażenie, jakby znacznie się wyostriżyła. Był żywą bazą danych, świadomie lub nie, zapisując w zakamarkach umysłu niemal wszystko to, co zobaczył lub usłyszał. Może właśnie dlatego unikał towarzystwa ludzi? Za duży natłok danych, zbyt wiele sytuacji do przeanalizowania i skatalogowania przed zaśnięciem. Gwałtownie opróżnił umysł ze wszystkich zbędnych myśli, ruszając pewnym krokiem w stronę wejścia. Wewnątrz panował mrok, gdzieś gdzieś poprzebijany słabym blaskiem księżyca, wpadającym przez pociemniałe z brudu szyby. Darek szybko dotarł do wypożyczalni głównej, po drodze wysuwając z przytroczonej do pasa pochwy długi nóż o szerokim ostrzu. Wpadł do pomieszczenia, krzycząc wściekle:

– BIBLIOTEKARZU!

Śpiący bezpośrednio na podłodze nieopodal biurka, otulony w kożuch starzec poderwał się zdezorientowany. Pierwszym, co zarejestrował jego umysł był niewyraźny widok sylwetki jakiegoś uzbrojonego w nóż człowieka, który ruszył gniewnie w jego stronę. Bibliotekarz mrugnął powoli. Człowiek, młody mężczyzna, był już przy nim. Nóż spoczął na gardle starca, który wymamrotał:

– Już zamknięte.

- Mów, gdzie jest Judyta i dwaj mężczyźni, którzy się u niej zatrzymali!
- Nie znam nikogo takiego.
- Kłamiesz!
- Pod biurkiem leżą podarte karty, tych ludzi już nie ma.
- Zabiłeś ich?
- Opiekuję się książkami.

Darek przycisnął ostrze do krtani starca, ale najwyraźniej nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Mężczyzna cofnął się o krok i schował broń. Bez słowa przeszedł do pobliskiej sali i wrócił stamtąd z małą książką w miękkiej oprawie.

- Chcesz ją wypożyczyć? – zapytał zaniepokojony Bibliotekarz.

Darek, wciąż milcząc, oderwał od okładki niedbale sklezione ze sobą kartki. Wydarł jeszcze kilka z nich, zanim starzec otrząsnął się z szoku i bełkocząc coś podbiegł do niego, młócąc powietrze wychudzonymi ramionami. Mężczyzna znokautował go ciosem kolana w brzuch, nie przerywając swojego dzieła zniszczenia. Mnąc kolejne strony w papierowe kulki, którymi rzucał w twarz skulonego na posadzce Bibliotekarza, zapytał:

- Gdzie Judyta i mężczyźni? Tutaj?
- Błagam... Nie niszc...
- Pamiętasz co się stało z Biblioteką Aleksandryjską?
- Ten wielki, Dymitr, który niczego nie chciał pożyczyć, stracił pamięć. Powiedziałem Judycie, że w Rzeszowie mieszka Szymon hipnotyzer, który może pomóc. Pewnie tam poszli.
- Kiedy?
- Judyta przyszła się pożegnać tuż przed zachodem słońca, wtedy powiedziałem jej o hipnotyzerze. On kiedyś mieszkał tutaj, ze mną, przez pierwszy rok po Sądzie. Ale odszedł. Nie chciał jeść mięsa...
- Czyli nie planowali marszu do Rzeszowa wcześniej?
- Nie. Judycie bardzo się śpieszyło.
- Nie wątpię.

Darek uniósł nogę, jakby wahał się, czy kopnąć kłęzącego u jego stóp starca, który rozwijał ostrożnie zmięte kartki papieru. Ostatecznie parsknął tylko z pogardą i wyszedł. Mordercy! – pomyślał nienawistnie. Chcieli zbiec, uciec przed sprawiedliwością! Mieli wprowadzić kilka godzin przewagi, ale pewnie zatrzymali się gdzieś na noc, może nawet w Krakowie. Nie miał czasu do stracenia, musiał ruszać ich śladem. Teraz wszystko układało się w logiczną całość. Jego niemal obsesyjna dbałość o formę, kobiece stroje, śmierć Eweliny. Podświadomie

wiedział, że kiedyś dojdzie do tego wszystkiego. Kondycja pozwoli mu doścignąć wrogów, a ubrania, które przymierzał zakorzeniały w nim coś kobiecego, by lepiej mógł poradzić sobie z rolą mściciela czterech zabitych kobiet. Wszystko było jasne i klarowne, nawet niechęć otaczających go ludzi była celowa, gdyż teraz mógł zostawić ich bez żalu. Opuścił bibliotekę z poczuciem celu tak silnym, jak nigdy dotąd, nawet przed Dniem Gniewu Bożego. Gniewu, który jego, Dariusza, oszczędził. Nic nie było dziełem przypadku, został wybrany. Czeka go straszna walka z olbrzymim Dymitrem, prawdziwym Goliatem. Maszerując żwawo, pozwolił myślom krążyć swobodnie, aż w końcu, po najbardziej fantastycznych skojarzeniach i wizjach, znikły zupełnie. Umysł mężczyzny, razem z resztą ciała, stał się wydajną maszyną, skupioną tylko na kontynuowaniu marszu w ciemną, późnowiosenną noc w drodze do odległego jeszcze CELU.



## Rozdział III

Wyczerpany Dymitr maszerował ospale, z niepokojem zerkając ku zasnutemu burzowymi chmurami niebu. Kilkaset metrów za nim wlekli się Maksym i Judyta, którzy nawet nie próbowali zrównać kroku ze swoim przewodnikiem. Powłócząc niezdarne odrętwiałymi nogami, przesuwali się do przodu w swoim tempie, nie myśląc o niczym poza jedzeniem. Tylko perspektywa napełnienia ściśniętych z głodu żołądków dawała im jeszcze siły do stawiania kroków. Minęli kolejny most rozpięty nad rzeką, której nazwy nie znali, wkraczając do drugiej części Jasła, wciąż podążając ulicą dumnie noszącą nazwisko największego z narodowych wieszczów. Jasło było typowym galicyjskim miasteczkiem, w którym pamiętające czasy monarchii austriacko-węgierskiej neoklasyzystyczne budowle o miłych dla oka elewacjach sąsiadowały z masywnymi, betonowymi budynkami mieszkalnymi i użytkowymi powstałymi w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Tutaj wędrowcy musieli podjąć decyzję, czy ruszyć wprost do Sanoka, czy wpierw nadłożyć drogi, by zawitać do Rzeszowa. Judyta przekazała grupie słowa Bibliotekarza nazajutrz po ucieczce z Krakowa, i wówczas Dymitr entuzjastycznie odniósł się do planu poszukiwań hipnotyzera. Teraz ta sprawa nie była już tak oczywista. Wyczerpani, głodni podróżnicy za sukces uważali przebycie w ciągu dnia więcej niż dziesięciu kilometrów. Dziewczyna i stary nie mieli ochoty na dyskusje, już od dłuższego czasu ślepo podążali za osądem Dymitra, którego siła i wytrzymałość była obecnie ich jedyną szansą na przeżycie.

Tymczasem ich przywódca wyrzucał sobie w myśli popełnienie dwóch brzemiennech w skutkach błędów od chwili, gdy opuścili pośpiesznie Kraków. Po pierwsze zignorował usilne prośby Maksyma, żeby spędzili w Tarnowie co najmniej kilka dni na poszukiwaniu zapasów, a później lekkomyślnie rozkazał im kontynuować jazdę nocą, żeby jak najszybciej opuścić okolice pewnej wioski, w której kręciła się wataha głodnych psów. Przez to wjechali prosto w niewidoczne w ciemności drobinki szkła ze zbitej szyby stojącego pośrodku opustoszałej drogi samochodu. Po utracie cennych pojazdów z dnia na dzień było już tylko gorzej, aż głód stał się czwartym stałym członkiem ich kompanii. W Jasle musieli zostać na dłużej, nie było innego wyjścia.

– Dymitr! – krzyknął z rozpaczą w głosie Maksym. – Czekaj!

Mężczyzna obrócił się, by ze zdumieniem stwierdzić, że stary i dziewczyna wciąż stoją na moście, kilkaset metrów za nim, wsparci o siebie jak ułożone w domek karty.

– Zostańcie tam, sam poszukam czegoś do jedzenia! – odkrzyknął, pewnością tonu maskując wzbierającą rozpacz.

Od pewnego czasu sam czuł rosnącą panikę, zdając sobie sprawę z konsekwencji swoich wyborów. Zmuszając tych ludzi do nadażania za swoim tempem kompletnie wypruł ich z sił, a teraz, gdy sam zaczynał słabnąć, wiedział, że nie byłiby w stanie mu pomóc. Był za nich odpowiedzialny, chociaż zrozumiał to w pełni dopiero po pokonaniu ponad stu kilometrów dzielących Kraków od tego opustoszałego miejsca. Ruszył przed siebie, zaciskając wargi w akcie bezsilnego gniewu na siebie i cały świat. Pojedyncze szczenięta skupiło nagle całą uwagę mężczyzny na małym, burym kundlu, który wyszedł właśnie spomiędzy stojących obok siebie domków jednorodzinnych, nad którymi nieznacznie górowały widoczne kilkaset metrów dalej bloki mieszkalne. Zwierzę szczenięło ostrzegawczo, gdy Dymitr zdjął plecak i drżącymi rękoma wyjął z niego pistolet. Nie mógł zmarnować takiej szansy. Pies znieruchomiał, wpatrzony w człowieka, który uklęknął powoli i wyciągnął w jego stronę jakiś przedmiot. Jedzenie?

Przedmiot błysnął, huknął, splunął dymem. Kundel chciał uciec, gdy zdumiony pojął, że leży na asfalcie, a jego drobne ciało ogarnął niezrozumiały, paraliżujący ból. Dymitr podbiegł do ranionego w bok, piszczącego żałośnie zwierzęcia. Rachując w myśli wartość kuli odłożył broń i skończył życie swojej ofiary silnym kopniakiem w kark. Zdruzgotane kości chrupnęły, a wraz ze śmiertelnym skowytym z pyska buchnęła czerwona jucha, zapowiedź pierwszego od wielu, wielu dni ciepłego posiłku. Spoglądając na truchło Dymitr nie czuł niczego, prócz wzbierającej radości głodnego człowieka, który pojął, że już niedługo napełni brzuch. Schował broń do plecaka i, zarzucając go sobie zawadiacko na jedno ramię, podniósł martwe zwierzę. Kiedy biegł w stronę mostu, ogarnęła go pierwotna duma łowcy niosącego dla swoich pobratymców krwawiącą zdobycz. Spełnił swoje zadanie, zdobył jedzenie! Siedzący na jezdni Maksym i oparta na jego ramieniu Judyta, widząc krwawy trybut należny za wsparcie sprawy ich przywódcy wyszczerzyli lśniące od śliny zęby. Czekają na nich mięso!

Wędrowcy wstąpili do jednego z pobliskich domków jednorodzinnych, po uprzednim sprawdzeniu dwóch innych budynków, nim natrafili wreszcie na kominek. Rozpalony pośpiesznie ogień buchał raźnie,

łapczywie pochłaniając wydane na jego łaskę gałęzie wycięte z porastających zapuszczone podwórze krzewów. Topornie oskórowany i wypatroszony pies, nadziany na dzierzony przez Dymitra pogrzebaczk skwierczał lizany płomieniami.

– Obracaj go częściej – pouczał rozentuzjasmowany Maksym.

Judyta milczała, pogrążona w żalu, który ogarnął ją, gdy tylko zniknęła euforia związana z widmem napełnienia brzucha. Siedziała w milczeniu pod ścianą, z kolanami wciśniętymi pod brodę, obserwując zabiegi mężczyzn. Mięso upiekło się szybko, a może po prostu jedynie zwęgliło się z zewnątrz i jedynie z lekka podgrzało w środku, chociaż to nie miało właściwie znaczenia. To było przecież jedzenie! Dymitr wydzielił dla każdego porcję z małego ciałka, którego większość pozostała nietknięta, ze słowami:

– To na pierwszy głód. Resztę jeszcze dokładniej przypiekę.

Każdy w milczeniu wziął do ust łykowate, mdłe w smaku mięso, przeżuwając je dokładnie, zanim zmielona papka zniknęła w przełykach.

– Ohyda – poskarżyła się Judyta, dodając – nigdy nie jadłam psa. No i trochę go szkoda mimo wszystko...

– Psa zasadniczo zawsze jest szkoda – powiedział z miną znawcy Maksym. – Taka nasza ludzka natura.

– Nie bał się mnie zbyt – dodał zamyślony Dymitr. – Nie był dziki, ktoś mógł go hodować. Musimy uważać.

– Może zabił się czyjś jedyne przyjaciele – stwierdziła żałośnie Judyta.

– Ja go zabiłem – rzucił ostro Dymitr. – Nie zamartwiaj się tym.

– Po prostu jestem na siebie zła. Jeśli naprawdę to był czyjś pupil, a chyba tak właśnie jest, to chciałabym czuć teraz coś więcej, niż tylko cholerny ślinotok na widok reszty mięsa.

– Z biologią nie wygrasz – zakomunikował Maksym. – Nie ma nic złego w uleganiu swoim popędom, mała.

– Znów zaczynasz?

– Spokój – warknął Dymitr, przenosząc mięso nad dogasający nieco ogień. – Nie psujmy sobie tej chwili kłótniami, cieszymy się jedzeniem.

Judyta bez słowa położyła się na podłodze, kuląc się z cichym westchnieniem. Miała dość złośliwości Maksyma, głodu, podejścia Dymitra, który traktował ich jak pomocne zwierzęta juczne nie potrzebujące niczego poza jedzeniem i rozkazami. Milczący, potężny mężczyzna, który zrobił na niej wrażenie w Krakowie, teraz nie wydawał się nikim więcej, jak markotnym fanatykiem, brnącym w siebie tylko

wiadomym kierunku za iluzorycznym celem. A mimo tego wciąż jego siła fizyczna i niezłomna wola budziły w niej jakieś niezrozumiałe, atawistyczne poczucie bezpieczeństwa. Zauważyła również, że Maksym podziela jej odczucia. Wygodnie było zrzucić z siebie odpowiedzialność za własny los i przekazać ją w silne ręce kogoś innego, wodza, przywódcy stada, samca alfa, Dymitra Niestrudzonego. Kogokolwiek. Dziewczyna uśmiechnęła się do własnych myśli i usiadła, pytajac:

– Ile tu zostaniemy?

– Kilka dni, aż uzupełnimy zapasy – oznajmił Dymitr. – Na razie zostańcie tutaj, dokończcie psa. Ja pójdę rozejrzeć się po okolicy. Potem pogadamy o Rzeszowie.

– Idziemy tam? – spytał ostrożnie Maksym.

– Przecież powiedziałem, że o tym pogadamy. Zdecydujemy wspólnie, teraz idę. Zbierzcie w międzyczasie trochę opału.

Nie przejmując się już towarzyszami, Dymitr opuścił pomieszczenie, uprzednio zabierając z plecaka broń. Naciągała nawałnica, a nie chciał, żeby burza zastała ich bez żadnych zapasów. Wyszedł na ulicę i znieruchomiał, nagle przypominając sobie o tym, że zapomniał powiedzieć Maksymowi albo Judycie, żeby rozłożyli w ogrodzie puste naczynia do nałapania deszczówki. Trudno, na to zawsze będzie czas, nawet jak zacznie padać – pomyślał, podejmując przerwany marsz. Szybko doszedł do uliczki, z której wyszedł pies i skrzył w nią, uważnie przyglądając się bramkom mijanych posesji. Musiał sprawdzić, czy jego przemyślenia były trafne. Założył, że skoro pies wybiegł, gdy tylko usłyszał kroki, to prawdopodobnie spodziewał się powrotu swojego pana. Wątpliwe, żeby po prostu krążył po okolicy, raczej musiał przebywać w obejściu jakiegoś domu.

Dymitr uśmiechnął się triumfalnie, gdy jego spojrzenie padło na bramkę wykonaną z siatki rozpostartej na ramie z zespawanych, pomalowanych na zielono rur, sąsiadującą z dwuskrzydłową bramą wykonaną w ten sam sposób. Betonowy chodnik prowadzący do parterowego, małego domku z nieotynkowanej cegły, chociaż popękany, nie porósł kępkami trawy. Sam dom nosił natomiast wyraźny ślad obecności człowieka – czyste szyby. Fakt ten sugerował też, że budynek mógł być stałą kryjówką, a nie tymczasową siedzibą. Na podwórzu nie stał żaden samochód, nie było też śladu garażu. Ten ceglany, niski budynek wyglądał na uboższego krewnego piętrowych, przytulnych domów wniesionych wzdłuż uliczki. Mniejszy, czyli łatwiejszy do ogrzania. Sprytnie – pomyślał mężczyzna. Dobył broni, odbezpieczył ją i pewnym krokiem

podszedł do frontowych, nieco uchylonych drzwi. Tak pies wyszedł na zewnątrz – pomyślał. Pewnie wszedł do środka, trafiając wprost do wyłożonego boazerią, zakończoną ścianą korytarzyka, z którego odchodziły dwie odnogi, na lewo i prawo. Dymitr wybrał lewą i nie pożałował tej decyzji, gdy wkroczył do prostej, wyposażonej w piec kaflowy kuchni. Na masywnym, drewnianym stole, który wyglądał na wyrób jakiegoś przedwojennego rzemieślnika-amatora stał prawdziwy skarb – stos dużych, blaszanych puszek z charakterystycznymi białymi etykietami z logo Unii Europejskiej. To była żywność przeznaczona dla ofiar klęsk żywiołowych. Te nafaszerowane chemią, pożywne, gotowe dania posiadały co najmniej kilkuletni termin przydatności do spożycia. Dymitr odkaslnął, czując jak mdły, zatęchły zapach panujący w tym pomieszczeniu coraz bardziej podrażniał mu podniebienie. Chwycił do ręki puszkę zawierającą gulasz z makaronem i wybiegł z domu, obiegając go dookoła, aby sprawdzić, czy do środka prowadzą inne wejścia. Na szczęście drzwi frontowe były jedynym wejściem, a od sąsiednich posesji dom oddzielał wysoki, ceglany mur. Najwyraźniej przed katastrofą ktoś, kto tutaj mieszkał, chciał odciąć się od świata zewnętrznego i tkwić w rzeczywistości sprzed kilku dekad. Dymitr pognął do furtki. Nie było czasu do stracenia, musieli się tutaj szybko sprowadzić i przygotować na przybycie dotychczasowego lokatora lub ich grupy. Ktokolwiek żył w tym miejscu do tej pory, na czas ich pobytu w Jaśle będzie musiał wynieść się gdzie indziej. Albo umrzeć.

Ogień wesoło strzelał we wnętrzu kaflowego pieca, podczas gdy za oknami przytulnej kuchni już od dłuższego czasu szalała burza, siekąc wściekle szyby strugami deszczu. Trójka stłoczonych wokół źródła ciepła ludzi kończyła wyjadać ze znalezionych w jednej z szafek kruchych misek resztki podgrzanego gulaszu z makaronem. Naczynia wyglądały równie staro, jak cały dom. Łyżki wygodniałych podróżników jeszcze przez moment stuknęły zawzięcie o ceramikę, zanim nastała cisza, która przeciągnęła się na kolejne minuty. Maksym wydobyl z wewnętrznej kieszeni kamizelki książkę i zanim zniknął w bezpiecznym, fikcyjnym świecie, bardziej do siebie, niż do innych powiedział:

– Ciekawe jak skończy mój imiennik z Przenicowanego Świata?

Nikt nie odpowiedział, strudzeni głodem i ciągłym marszem ludzie przestali myśleć o otaczającym ich świecie. Byli syci, w ciepłym pokoju, wypoczywali, wszystkie inne myśli uleciały z ich umysłów. Stary zdołał zakończyć lekturę, mimo że przy ostatnich stronach czuł już otepiałający ciężar zmęczenia. Wyczerpani ludzie, kuląc się kolejno pod ścianami,

zasypiali. Dymitr zasnął jako ostatni, ale to właśnie jego umysł jako pierwszy wrócił do rzeczywistości. Jeszcze zanim otworzył oczy wiedział, że coś było nie tak. Deszcz ustał, temperatura spadła. Otworzy oczy wiedząc już, że popełnił śmiertelny błąd, pozwalając sobie na tak lekceważący stosunek do podstawowych zasad bezpieczeństwa. W drzwiach ktoś stał, to stamtąd leciał chłód. Obcy miał broń. Strzelbę. Dymitr, nie próbując nawet wstać, wydarł ukryty w wewnętrznej kieszeni kurtki pistolet i strzelił do nieruchomego napastnika. Gdy przebrzmiał wystrzał, umysł mężczyzny wrócił do pełni władz poznawczych i ze zgrozą uporządkował to, co wydarzyło się w przeciągu ostatnich sekund. Dwa strzały, oba celne. Łoskot spadającego ciała, krzyk Judyty, harmider. Przeciwnik dogorywał, rzeżąc przeciągle, zanim znieruchomiał na dobre. Dymitr poderwał się, patrząc z niedowierzaniem na leżącą obok ciała laskę, którą wziął za broń. Śmierć wyryła na twarzy nieszczęsnej staruszki wyraz przerażenia i bólu. Mężczyzna zerknął w bok, gdzie stali Maksym i Judyta wpatrzeni w martwą kobietę.

– Myślałem, że to ktoś uzbrojony – zaczął niepewnie Dymitr.

– To pewnie był jej dom – wymamrotała Judyta.

– I pies, którego zjedliśmy – dodał Maksym. – Co za marny koniec, przeżyła tutaj te wszystkie lata, żeby dostać parę kulek we własnym domu. Od ludzi, którzy zjedli jej psa – dodał po chwili namysłu i zaśmiał się nerwowo.

– A co niby miałem robić? – warknął mężczyzna, chowając broń do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Gdyby to naprawdę był ktoś uzbrojony, moglibyśmy już nie żyć, musiałem działać!

– Jasne, jak zawsze – odcięła się dziewczyna. – Zawsze działałeś błyskawicznie, tak szybko, że nawet nie masz czasu pomyśleć co robisz!

– Chodźmy stąd – zaproponował Maksym. – Może jednak nie mieszkała tutaj sama. Weźmy zapasy, nabierzmy sił przez parę dni i wracajmy na szlak.

– Dokąd? – spytała Judyta, odwracając wzrok od trupa.

– Rzeszów – oznajmił zdecydowanie Dymitr. – Musimy, MUSZE, odnaleźć tego hipnotyzera. Dowiedzieć się czegoś, czegokolwiek! Dlaczego to robię? Co jest tak cholernie ważnego, że zabiłem już pięć osób w imię tej sprawy?

– Może po prostu lubisz zabijać kobiety? – prychnęła Judyta, i z odrazą omijając szerokim łukiem ciało staruszki wyszła na zewnątrz, zostawiając mężczyznę swojemu losowi.

Dymitr przez moment stał w miejscu, sprawiając wrażenie, jakby nie wiedział, co właściwie powinien teraz zrobić. Maksym odchrząknął, uspokajająco zapewniając:

– Nie myśl już o tym. Stało się, trudno. Lepiej żebyś był zbyt czujny, niż ryzykować oddanie inicjatywy przeciwnikowi.

– Oddanie inicjatywy przeciwnikowi... – powtórzył głucho Dymitr.

– Mówisz jakby to była jakaś gra. Zabiłem cztery młode dziewczyny i staruszkę zupełnie bez powodu.

– Działaleś instynktownie.

– Właśnie to mnie martwi. Co za gówno mam w głowie, że moim naturalnym odruchem jest zabić kogoś w chwili, gdy zrobi coś podejrzanego?!

– Po prostu... Nie wiem – powiedział z rezygnacją w głosie stary. – Może taki już jesteś? Tyle lat błędzisz, szukając tej swojej wieży, tracąc pamięć. Każdy może od czegoś takiego trochę, no wiesz, zdziczeć.

– A może zawsze taki byłem? – spytał Dymitr, wyraźnie kierując te słowa raczej do siebie, niż rozmówcy. – Dziki.

Rosły mężczyzna zacisnął dłoń na swojej skroni, jakby chciał wyrwać kość i przeszukać umysł w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące go wątpliwości. W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe, a do kuchni wkroczyła Judyta. Skrupulatnie unikając kontaktu wzrokowego z ciałem i Dymitrem, rozkazała:

– Zakopmy ją. Za domem jest szopa z kilkoma narzędziami, ziemia jest rozmoknięta, będzie się dobrze kopać.

– Mokra ziemia jest cholernie ciężka, a wykop momentalnie nasiąknie wodą – oznajmił rzeczowo Maksym. – Ja nie mam zamiaru kopać, jestem za słaby, ty też ledwie stoisz na nogach, a Dymitr musi mieć siły za nas oboje.

– Ma tu tak leżeć i gnić?

– Większość ludzi na ziemi tak skończyła.

– Maksym ma rację, nie będziemy niepotrzebnie marnować sił – zdecydował Dymitr, jednocześnie ponownie dobywając broni, którą oddał Judycie, prosząc: – Weź to cholerstwo i daj mi wtedy, kiedy będzie trzeba z tego skorzystać. Chodźcie, musimy znaleźć coś, do czego spakujemy wszystkie te puszk. Wracamy do domu, gdzie opiekliliśmy psa.

Dziewczyna posłusznie schowała pistolet za pasek, krzyżując spojrzenie z rozmówcą. Mężczyzna wyglądał na skruszonego, ale raczej niezbyt przejętego. Jak jakiś pazerny dzieciak – pomyślała. – Smutny, że ktoś złapał go z ręką w słoiku z ciastkami i udaremnił cukierniczy

skok stulecia. Grupa pośpiesznie przeszukała dom, ładując do znalezionej w jednej z szaf skórzanej torby podróźnej zapasy i opuszczając budynek w takim pośpiechu, jakby w jego wnętrzu szalała zaraza. Po intruzach pozostał tylko rozgardiasz i stygnące zwłoki prawowitej właścicielki ceglanego domku, po którą, po przeszło osiemdziesięciu dwóch latach znoej egzystencji, w końcu upomniała się zachłanna śmierć.

Judyta wyszła jako ostatnia, przez chwilę bawiąc się myślą, że mogłaby teraz po prostu odejść i zacząć gdzieś żyć od nowa. Tylko gdzie mogłaby powędrować? Próbowwała już nowego startu w Krakowie, a mimo wszystko trafiła tutaj. I to z własnej winy. Nie pozostało jej nic innego, jak pogodzić się z myślą, że jeszcze przez pewien czas będzie całkowicie zależna od woli Dymitra. W gruncie rzeczy ten dziwny mężczyzna nie wydawał się złym człowiekiem, w przeciwieństwie do Maksyma. Był jak bezpański pies kopnięty o jeden raz za dużo – nie ufającym już nikomu, warczącym na widok każdego homo sapiens. Ale wciąż pozostawał psem, czyli w sumie całkiem sympatycznym, swojskim zwierzęciem. Miała tylko nadzieję, że Dymitr mimo wszystko zdoła odszukać swoją więź i to, co zostanie w tym miejscu w jakimś stopniu go ukoi, ponownie udomowi. Megiddo – wypowiedziała w myślach dziwną nazwę usłyszaną od Bibliotekarza – ostatnia ostoja cywilizacji.

\*\*\*

Turkot toczących się po asfalcie kół mieszał się ze stukotem kopyt wymizerowanego konia, który posłusznie ciągnął za sobą wóz wypełniony dobytkiem swojej właścicielki. Te głuche, monotonne dźwięki wypełniały umysł wyczerpanego mężczyzny, sprowadzając świadomość do jego wyczerpanego ciała. Darek, po rozwarciu powiek, widział przetykaną jaskrawymi punktami świetlnymi ciemność. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że spogląda na nocne niebo. Był unieruchomiony, to druga rzecz jaką pojął po odzyskaniu przytomności. Ktoś ciasno skrępował mu nadgarstki i kostki, używając do tego drutu, który boleśnie wpijał się w skórę. Jednak znacznie gorszy był pulsujący, tępy ból mięśni. Łydki i uda paliły go żywym ogniem, przypominając o morderczym marszu, który odbył w przeciągu ostatnich dni. Niewiele pamiętał z tej podróży; jedynie niekończący się ciąg zmiennych krajobrazów, wschody i zachody słońca, krótkie przerwy na poszukiwanie pożywienia, samotność. Nie spotkał nikogo, zupełnie jakby był ostatnim człowiekiem na ziemi, który, niczym konający słoń, wędruje w sobie tylko znane miejsce, gdzie mieści się cmentarzysko jego gatunku. Rzeszów.



Pamiętał, że widział tablicę informującą, że do centrum miasta pozostało jakieś trzynaście kilometrów. Wtedy jego ciało i umysł ostatecznie się poddały i padł na drogę, tracąc zmysły, żeby obudzić się tutaj, na jakimś wozie, w niewoli nieznanego wroga. Wbrew woli zaniósł się głośnym kaszlem, z przerażeniem czując, jak pojazd staje. Ktoś zeskoczył z miejsca woźnicy i przeszedł powoli na tył, łapiąc swojego więźnia za kostki i sapiąc ciężko, pociągnął go ku sobie. Skrępowany mężczyzna stawiał nikły opór i wkrótce jego bezwładne ciało grzmotnęło na asfalt. Uderzenie w czaszkę na moment zaćmiło zmysły Dariusza, ale mężczyzna nie poddał się niewoli nieświadomości, spoglądając na nachylającą się nad nim postać. Była to zasuszona staruszka ubrana w jakieś łachmany i groteskową, jaskrawopomarańczową apaszkę zawiązaną wokół szyi. Kobieta, nadszpiewanie silna jak na swoją posturę, przeciągnęła go kawałek po ziemi i szarpnięciem za ucho wymusiła przejście z pozycji leżącej do klęczek. Syknął wysuwany z pochwy nóż, którego szerokie ostrze mężczyzna poczuł na gardle.

– Czekaj! – wysapał Darek. – Nie możesz tego zrobić.

– Obudziło się to w końcu. Sama skóra i kości, ale szkoda było zostawić.

– Daj mi chwilę, muszę wytłumaczyć. Nie mogę umrzeć, mam misję.

– Niech się nie miota, to pójdzie szybko.

– Jestem mścicielem! Ścigam ludzi, którzy zamordowali cztery kobiety w Krakowie. Jesteś kolejną przeszkodą na mojej drodze, ale nie winię cię. To przeżycie mnie wzmocni.

– Cicho. Szkoda nocy, trzeba jechać dalej, a jeszcze dużo z tym roboty.

– Kimkolwiek jesteś, musisz zrozumieć, że mam cel i nie mogę tak po prostu umrzeć tutaj. Rozumiesz? Nie mogę, nie tak po prostu.

– Niech pomyśli o dobrym, starym świecie.

– Powinniśmy jakoś...

Darek charknął, bardziej zdziwiony niż przerażony faktem, że nóż właśnie rozpruł mu gardło. Silna, koścista dłoń trzymała go za kark, podczas gdy z rozległej rany buchała krew. To było niemożliwe! Ktoś z celem nie mógł tak umrzeć, przecież nawet nie dotarł do swoich wrogów, to było pozbawione sensu! Tak nie mogło być! Potworne zmęczenie ogarniało go z każdą upływającą sekundą, a przecież życie nie mogło tak szybko z człowieka wyciekać. Wszystkie, gasnące jedna po drugiej myśli szalejące po jego umyśle dotyczyły absurdałności czynu staruszki. Nie mogła go tak po prostu zabić, nie mogła!

Trup Darka zwałił się na jezdnię, wypuszczony z uścisku kobiety, która zaczęła rozpruwać mu ubranie. Ze znawstwem ściskając skórę na bokach swojej ofiary parsknęła z wyraźnym niezadowoleniem, mężczyzna był wychudzony. A mimo to – pomyślała oblizując wargi – zawsze coś. W dzisiejszych czasach nie należało wybrzydzać.

\*\*\*

Trójka wędrowców z nabożną czcią wpatrywała się w porzewiałą, zieloną tablicę drogową, na której białe litery układały się w nazwę miasta. Rzeszów. W końcu tu dotarli, głodni, zmęczeni i zdani tylko na siebie. Od opuszczenia Jasła nie spotkali nikogo, zupełnie jakby rejon był całkowicie wymarły, albo ludzie zaszyli się gdzieś z dala od głównej drogi. Dymitr i Judyta zastanawiali się właśnie, jak wygląda sytuacja w samym Rzeszowie, gdy Maksym, niczym czytający w myślach iluzjonista, zapewnił:

– W mieście jest sporo ocalałych, a przynajmniej było, kiedy stąd wyruszałem.

– Po co właściwie stąd odszedłeś? – spytała bez większego zainteresowania Judyta.

– Złe wspomnienia.

– A ty skąd pochodzisz? – spytał Dymitr, szturchając dziewczynę palcem w ramię.

– Co ty robisz? – spytała rozdrażniona. – Jestem z Tarnowa.

– Nie wyglądałaś, jakbyś znała to miasto – wtrącił się Maksym.

– Czy to ważne skąd jestem? I nie mów mi o Tarnowie, złodzieju.

– Tylko pytałem – przepraszająco oznajmił Dymitr – z ciekawości.

W marszu jakoś nieczęsto rozmawiamy, a chciałem...

– Chodźmy, nie ma co tu sterczeć – ucięła dyskusję Judyta. – Musimy znaleźć tego całego hipnotyzera, może pouklada Dymitrowi w głowie – dodała z uśmiechem.

– Nie wiem jak teraz, ale wcześniej mieliśmy miejsce spotkań – poinformował Maksym. – Ludzie zbierali się tam, wymieniali informacjami, towarami, albo po prostu gadali. Było sporo planów założenia jakiejś trwalszej społeczności, ale nie wiadomo co z tego zostało po tych wszystkich latach. No nic, to przeszłość. Chodźcie za mną, idziemy pod Szparę.

– Gdzie? – spytała podejrzliwie Judyta.

– Zrozumiecie, jak zobaczycie. Idziemy!

Maksym uśmiechał się triumfalnie, najwyraźniej zadowolony z roli przewodnika po rodzinnym mieście. Jednak Judyta dostrzegła w jego spojrzeniu jakiś nieokreślony smutek i coś, co sprawiało, że po raz pierwszy od opuszczenia Krakowa poczuła do tego człowieka cień czegoś zblizzonego do sympatii.

Stary pewnie prowadził grupę uliczkami wymarłego miasta. Co pewien czas wskazywał na mijany właśnie budynek, w skrócie streszczając jego historię, lecz widząc, że jego opowieści są puszczane mimo uszu, zamilkł, gniewnie zaciskając wargi. Rzeszów zupełnie rozminął się z wyobrażeniem Dymitra o typowym mieście na południowo-wschodnim krańcu kraju. Zamiast spokojnej, najeżonej zabytkami miasteczki, trafił do rozległej metropolii o wyraźnych aspiracjach zajęcia istotnej roli w gospodarce państwa. Szerokie, spękane ulice, które ustępowały już miejsca pleniącej się wszędzie roślinności, nadal robiły pozytywne wrażenie, podobnie jak przysiadłe obok nich budynki. Centra handlowe, hotele, fabryki, skupiska bloków, przez to wszystko czuło się tu wielkomiejski rozmach, którego mężczyzna nie doświadczył podczas wizyty w Krakowie. Do tajemniczej „Szpary”, o której przesadnie często wspominał Maksym, dotarli po jakiejś godzinie marszu. Ruszając w stronę placu, otoczonego ze wszystkich stron niegdyś ruchliwymi arteriami ulic, stary oznajmił z dumą w głosie:

– Oto nasz sławetny Pomnik Czynu Rewolucyjnego, czyli Szpara.

Dymitr i Judyta ze zdumieniem przyglądali się betonowemu kolosowi, który ewidentnie przypominał wargi sromowe, pośrodku których umieszczono jakąś postać. U szczytu, w miejscu łechtaczki, widniał herb miasta. Dostęp do pomnika utrudniał płot z pordzewiałej, niegdyś niebieskiej blachy. Zza jego załomu wyszedł jakiś starszy mężczyzna, obrzucając intruzów podejrzliwym, lecz nieco strachliwym spojrzeniem. Machinalnie przeczesał kudłatą brodę prawą dłonią, na wierzchu której, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, widniał niezdarne wytatuowany sztylet. Gdy tylko wzrok nieznajomego padł na Maksyma, wydał z siebie radosny okrzyk i ruszył śpiesznie w stronę starego, wołając:

– Ty żyjesz!

– Tadek?!

Mężczyźni objęli się ramionami, poklepując się po plecach z taką siłą, jakby chcieli odbić sobie płuca. Tadeusz nosił się identycznie jak Maksym; dosyć długie, posiwiałe włosy, jeansowe spodnie i kamizelka.

– Jesteście braćmi? – spytał niepewnie Dymitr.

– Nie, przynajmniej nie krwi – wyjaśnił Maksym. – Tadeusz i ja byliśmy w tej samej grupie, czy jak wolicie gangu, po katastrofie, no widzisz, już mi się przyjęło to twoje powiedzonko, po Dniu Sądu znaczy, była nas w mieście gdzieś z setka ludzi. Jakoś tak podzieliliśmy się na dwa obozy, Orłów i Knurów.

– Właściwie oni się nazywali Książęta – dodał Tadeusz – że niby Andrzej to z dawnych książąt, a oni jego ludzie.

– Knury, bo spasy knur nimi rządzi.

– Andrzej zabili.

– Ha! Ktoś od nas wysłał go do piachu, czy sami mieli go dosyć?

– Dużo się tu podziało, po tym jak poszedłeś – wyznał smutno Tadeusz. – Chwilowo było zjednoczenie, razem przeszukaliśmy całe miasto, żeby zebrać wszystko co się dało i poszliśmy mieszkać do hotelu, tego na Dymnickiego.

– Na bogato!

– Oj tak. Fajnie się żyło, luksus, żarcie, już nawet piecyki montowaliśmy w pokojach na zimę i miały być kominy blaszane puszczone obok okien. Pamiętam, jak były kłótnie, czy dziury w ścianach wybijać, czy mniejsze okna wyjmować i murować, oj Maksym cudnie tam było. I wszystko psu w dupę, poszło z dymem, ktoś podpalił.

– Andrzej?

– Tak wszyscy myśleliśmy, chociaż on niby mówił, że jest niewinny, ale wiesz jaki był. No to go nasz Tomek rozpruł, za to jemu ktoś z Książąt kosę pod żebra sprzedał i się zaczęło. My, Orły, żeśmy się zaraz skrzyknęli i praliśmy Knurów aż miło, ale ktoś tam od nich wytrzasnął karabin.

– Przegraliśmy?

– Nie. Chociaż w sumie to nie wiadomo. Tyle nas wszystkich poginęło, że może z dziesięć osób zostało i to jeszcze akurat po pięciu naszych i ich, tośmy rozejm wzięli. Rok temu to było, teraz każdy już poszedł na wioski coś gospodarzyć, ja też idę, tylko tak się akurat dziś przejść chciałem pod Szparę. I na ciebie trafiłem! Chłopie, szkoda, że cię wtedy nie było, z tej swojej snajperki byś wszystkich wybił, masz ją jeszcze?

– Już dawno wyrzuciłem, pordzewiała nieczyszczona, zresztą i tak o naboje ciężko, a szkoda było dźwigać na darmo. A! – zawołał Maksym, odwracając się w stronę swoich towarzyszy. – Zupełnie zapomniałem, to mój przyjaciel Dymitr. I Judyta, z Krakowa.

– Miło mi – kiwnął głową Tadeusz, odsłaniając w uśmiechu nieznacznie zęby. – Co was tutaj przyгнаło, w Krakowie też się już wszystko posypało?

– Tam w porządku – oznajmiła Judyta – tylko nic się nie dzieje, każdy tylko zbiera żarcie i rzeczy. Tylko działkowicze coś tam hodują dla siebie i na handel.

– Jesteśmy w drodze do Sanoka, a tutaj szukamy Szymona hipnotyzera – dodał Dymitr – podobno jest tutaj ktoś taki.

– Łosz! To już do Krakowa doszła sława naszego magika. No jest tu taki, teraz zdaje się siedzi w Słonecznym, koło wylotowej na Sanok.

– Co on robi w kinie? – spytał Maksym.

– No coś jakby gabinet tam sobie zrobił, tak to nazywa. Co tydzień mu ktoś żarcie zwozi, a na zimę to chyba jeździ po ludziach. Kiedyś to chyba był psychiatrą, czy coś, i hipnotyzować potrafi. Tylko puszki nie weźmie, same świeże rzeczy chce albo coś do odgrzania gotowego. Dziwny facet.

– Naprawdę potrafi hipnotyzować? – dociekał Dymitr.

– Sam widziałem! Ale tak ogólnie to pomaga ludziom, pogada, pocieszy, czasem właśnie coś tam leczniczo hipnotyzuje. Możecie tam iść, ale najpierw zapraszam do siebie, zjemy porządnie, pogadamy, na długo tu zostajecie?

– Krótko, mamy swoje sprawy – zakomunikował Dymitr.

Maksym kiwnął w milczeniu głową na znak, że w pełni popiera swojego kompana.

– No trudno – westchnął Tadeusz. – Chodźmy. Na Kopernika chwilowo mieszkam. To bardzo blisko stąd – dodał, widząc zmieszanie na twarzach Dymitra i Judyty. Macie szczęście, dziś będzie mięso!

Mężczyzna ruszył przed siebie, ponownie oddając się rozmowie z cudownie odnalezionym przyjacielem, podczas gdy Dymitr i Judyta w milczeniu kroczyli za nimi, pogrążeni we własnych myślach, które szybko podążyły wspólnym torem - ku radoszej perspektywie napełnienia brzuchów.

\*\*\*

Posiłek zaserwowany przez Tadeusza rozczarował wszystkich, włącznie z gospodarzem, który z miną winowajcy maszerował obok Maksyma i jego grupy w stronę siedziby hipnotyzera. Mięso nie było wprawdzie zepsute, ale jego smak pozostawiał wiele do życzenia, pomimo starannego przypieczenia i użycia soli. Łykowate kawałki miały dziwny, mdły, ciężki do zidentyfikowania posmak.

– Skąd w ogóle wytrzasnąłeś te ochłapy? – spytał podejrzliwie Maksym, oskarżycielsko wpatrując się w Tadeusza.

– Od takiej baby – odparł mężczyzna. – Spotkałem ją dziś rano, jak przejeżdżała przez miasto.

– Przejeżdżała? – zainteresował się Dymitr.

– Tak, na wozie zaprzęgniętym w starą szkapę. Taka starowinka ze śmieszłą pomarańczową chustką. Mówiła, że na psy poluje i ma trochę mięsa na handel za sól. Prawie darmo dała, bo podobno i tak miała za dużo i by się popsulo.

– Pewnie już było popsute – mruknął Maksym. – Jedliśmy nie tak dawno psa i jakoś inaczej smakował.

– Byliśmy wtedy wygłodzeni – przypomniała Judyta.

– Teraz też nie nazwałbym się sytym – odciął się stary. – W każdym razie coś było nie tak z tą chabaniną.

Dymitr chciał coś dodać do rozmowy, ale zamknął usta, przepełniony dziwnym niepokojem. Znał skądś smak tego mięsa, chociaż to wspomnienie było mgliste i ograniczało się jedynie do świadomości, że „coś takiego” kiedyś jadł. Ta wiedza wywoływała w nim irracjonalną odrazę, a pozostały w ustach posmak stawał się coraz bardziej irytujący. Mężczyzna miał ochotę jak najszybciej przepłukać usta, a nawet oczyścić swoje ciało wymiotami. Zaciskając z całych sił zęby i napinając mięśnie szyi, stłumił torsje, próbując skierować myśli w inną stronę. Cokolwiek zjadł, musiało mieć to jakiś związek z jego przeszłością. I o ile w każdej innej sytuacji uczepliłby się tego śladu, próbując odtworzyć zapomniane życie, o tyle teraz był naprawdę szczęśliwy, że niczego nie pamiętał.

– Hej, Maksym – zagadnęła Judyta, odwracając spojrzenie od wyraźnie czymś zmartwionego Dymitra. – Dlaczego właściwie opuściłeś Rzeszów?

– Musiałem.

– A wiesz, że w końcu nie doszliśmy, kto to był? – wtrącił się Tadeusz. – Większość po twoim odejściu nadal ciebie winiła, bo tak było wygodnie.

– Taa – mruknął stary. – Byłem oskarżony o zabicie jednego ze swoich – wyjaśnił. – Tutaj albo było się ze swoimi, albo samemu, a takich, co nie byli za kimś, obie strony tępiły.

– Ja tam myślę, że to był ten Bogdan spod dworca.

– Wiesz, Tadek – zaczął niepewnie Maksym – właściwie to jednak byłem ja. Tamtej nocy z Piotrkim znaleźliśmy wódkę. Znałeś Piotrka, po pijaku był z niego kawał gnoja. Zaczął mi wyrzucać, że wszyscy swoje rodziny pochowali, tylko ja zostawiłem w mieszkaniu. A co to za różnica, w ziemi czy w domu?! Woląłem, żeby zostali tam, gdzie żyliśmy, a nie w jakiejś śmiesznej, wspólnej mogile.

– Ty sukinsynu! Broniłem cię! Miesiącami czekałem, aż wrócisz – wrzeszczał Tadeusz, zatrzymując się gwałtownie. – Przecież Piotrek dostał nożem w kark! Jak bandyta, go od tyłu zaszedłeś?!

– Po prostu coś... Nie wytrzymałem, jak tak gadał! On był przecież kawalerem, nie wiedział co to znaczy stracić syna, żonę, córkę. Córkę! Pamiętasz, jak się słodko śmiała moja Magdusia za dzieciaka?

– Grób mu kopaleś razem ze mną! To był nasz przyjaciel, jeden z naszych, Orzeł!

– Nie pieprz mi tu tych swoich odzywek, Orły czy Knury, wielka różnica! Jakby u Andrzeja było lepiej, to byśmy tam poszli.

– Zdrajco! Żeby swoich...

– Tadek, zamknij ryj! Było minęło, a po prawdzie to Piotrek na niejedną kosę zasłużył. Jakie to ma teraz znaczenie? Jego już nie ma, ani Orłów.

– Ja jestem Orzeł! I ty też byłeś, to coś znaczyło!

– Gównno znaczyło.

Roztrzęsiony Tadeusz wyszarpał z kieszeni marynarki okazałych rozmiarów rękojeść noża sprężynowego, który z głośnym kliknięciem wypłynął z siebie ostrze. Wycelował jego kraniec w stronę dawnego przyjaciela, warcząc:

– Dawaj! Masz taki sam! A może sprzedałeś za żarcie?

– Został w Krakowie – syknął Maksym, posyłając stojącemu obok Dymitrowi wymowne spojrzenie. – Schowaj to, Tadek!

– Krew za krew! – ryknął mężczyzna. – Bierz nóż, albo idziemy na gołe pięści!

Judyta cofnęła się o kilka kroków i zdjęła plecak, prosząc:

– Spokojnie, dam Maksymowi nóż, będziecie mieć uczciwą walkę.

Przez moment przeszukiwała pojemnik, aż natrafiła na rękojeść pistoletu, który wydobyła i odbezpieczając, wycelowała lufę w pierś Tadeusza, grożąc:

– Rzucaj to, albo dostaniesz kulkę! Teraz Maksym to nasz problem, nie twój.

– No nieźle – gwizdnął z podziwem Maksym.

– Zamknij się – odparła dziewczyna. – Dla mnie byś palcem nie kiwnął, dla Dymitra pewnie też nie, ale jesteśmy grupą i póki co musimy chronić się nawzajem.

– Krew za krew! – ponownie krzyknął, znacznie mniej pewnie, Tadeusz.

Mężczyzna przez moment sprawiał wrażenie, jakby mimo wszystko był gotów ruszyć do ataku, ale schował nóż, rzucając Maksymowi złowrogie spojrzenie, na które stary odpowiedział słowami:

– Zabij go, Judyta, albo daj mi broń. Znam Tadka, on nigdy nie odpuszcza. Wie gdzie idziemy, będzie za nami szedł sam, albo skrzyknie grupę.

– Dymitr, podejdziesz? – spytała roztrzęsionym głosem dziewczyna.

– Chcesz go zabić?

– Tak.

– To strzelaj, ja ci do tego nie jestem potrzebny, masz broń.

– Proszę.

– Nie będę za wami szedł – zapewnił Tadeusz. – Nic do was nie mam, jak chcecie ciągać ze sobą kogoś, kto zabija własnych przyjaciół, wasza sprawa.

– To nie był mój przyjaciel – odparł chłodno Maksym. – To ty wszystkich miałeś za braci, wystarczyło, żeby ktoś był ubrany w te same rzeczy i znał te durne przyśpiewki. My orły, lotne silne – zanucił.

– Nie masz prawa tego śpiewać, zdrajco!

– Powtarzam, rozwal go, Judyta, albo daj mi broń.

– Kładź się na ziemi, bo naprawdę strzelę! – rozkazała histerycznie dziewczyna.

Poblady Tadeusz, z wahaniem, spełnił to polecenie, podczas gdy Judyta z ulgą przekazała broń Maksymowi. Stary natychmiast wycełował w dawnego przyjaciela, mówiąc:

– Odwróć się na plecy, twarzą do mnie.

Mężczyzna ponownie usłuchał rozkazu, czując jak zaczyna go ogarniać panika.

– Maksym, oszczędź! – załkał nagle, tracąc resztki pewności siebie.

– Żeby nie było, że strzelam w plecy – stwierdził bezdusznie stary, naciskając spust.

Broń huknęła, wypływając pocisk, który gładko utkwił w sercu bezbronnego Tadeusza. Nieszczęśnik stęknął, niezdarnie przybierając pozycję embrionalną, w której znieruchomiał. Jego ciało drgało spazmatycznie, by po minucie zastygnąć w bezruchu.

– Rzeczywiście dobrze strzelasz – stwierdził z wyraźną podejrzliwością Dymitr.

– Przydatna umiejętność w tych czasach – odparł sucho Maksym, oddając broń Judycie ze słowami: – Dzięki, zapamiętam to. A teraz chodźmy do hipnotyzera.

Stary ruszył przed siebie, a za nim podążyli Dymitr i Judyta, która, pragnąc ukryć drżenie rąk, wsadziła je do obszernych kieszeni swoich spodni. Jej uczucia względem Maksyma nabrały zupełnie nowych odcieni,



jeszcze zanim nacisnął spust. W miejscu załóżków sympatii, nieufności i irytacji pojawił się strach. Ten człowiek był po prostu niebezpieczny, od tej chwili wiedziała, że ta myśl musi jej stale towarzyszyć, inaczej może stracić czujność. Po chwili wahania, nie przerywając marszu, zdjęła plecak i wydobyla z niej broń, którą podała Dymitrowi. Mężczyzna przyjął ją bez słowa i chowając za pasek, zerknął ku idącemu na przdzie Maksymowi. Zmienił zdanie o tym człowieku. Bezwzględny, celny strzelec był kimś, kto mógł się okazać naprawdę przydatny w drodze do realizacji jego celu. A to przecież było najważniejsze.

\*\*\*

Grupka podróżnych, ustawionych w trójkąt, którego wierzchołek stanowił Maksym, weszła na skrzyżowanie, dziwiąc się gwałtownej zmianie zabudowy miejskiej po drugiej stronie szerokiej, wielopasmowej jezdni. Bloki mieszkalne, świątynie, różnej maści piętrowe punkty usługowe i hotele ustąpiły miejsca domkom jednorodzinny i innym niskim budynkom. Chociaż ślady ekspansji natury były widoczne również w gęsciej zabudowanej części miasta, to dopiero tutaj widać było skalę jej inwazji. Zieleń całkowicie opanowała chodniki i znaczną część jezdni, a trawiasty pas oddzielający od siebie przeciwne pasy ruchu powoli zaczynał zamieniać się w młody las. Po przejściu skrzyżowania, Maksym stwierdził beznamiętnie:

– Skręcamy teraz w lewo, bo droga, którą idziemy, prowadzi dalej, poza miasto i do Sanoka. Kino stoi kawałek stąd, niedługo będziemy na miejscu.

– Doskonale – skwitował Dymitr.

– Jak to wyglądało w Rzeszowie? – spytała nagle Judyta.

– Co? – spytał niedbale Maksym.

– No wiesz, to wszystko.

– Normalnie, to znaczy tak, jak wszędzie. Padł prąd, wszystkich rozboleły głowy, większość poumierała od razu, albo za kilka godzin.

A potem wszystko zaczęło gnić...

– A twoja rodzina? Byli wtedy w domu?

– Tak. Jeszcze coś chcesz wiedzieć?

– Spokojnie – wtrącił się Dymitr.

– W porządku – warknął stary, dodając łagodniejszym tonem:  
– A u ciebie?

– Byliśmy wtedy w górach – wybąknęła Judyta. – Byłam nieprzytomna i znalazła mnie jakaś babinka, mieszkalam u niej jakiś czas.

– Zostawiłaś ją?

– Raczej odwrotnie, stara była. A ty Dymitr? Aha, wybacz. Zapomniałam.

– Ja też – powiedział mężczyzna, siląc się na uśmiech – i to chyba lepiej.

– Może hipnotyzer ci o tym przypomni – zasugerowała nieśmiało dziewczyna.

– Nie trzeba mi tamtych wspomnień, teraz nie ma już przecież znaczenia kim byłem, ani kogo straciłem. Muszę tylko dowiedzieć się czegoś o wieży.

– Oby to wszystko było warte zachodu – burknął Maksym.

Dymitr nie odpowiedział, mrucząc pod nosem coś, co brzmiało trochę jak „na pewno”.

– Daleko jeszcze? – spytała Judyta, pragnąc przerwać nagle zapadłą ciszę.

– Prawie jesteśmy, za tymi krzakami – powiedział stary, wskazując w prawą stronę – jest jakiś tam wydział naszego uniwersytetu, tuż po nim będzie już kino.

Istotnie, po przejściu jeszcze kilkudziesięciu metrów, rozpostarła się przestrzeń porośła przez trawę i niskie krzewy, która oddzielała jezdnię i resztki chodnika od jakiegoś przeszkolonego, futurystycznego budynku.

– To jeszcze nie kino – wytłumaczył Maksym – to następny, ten niebiesko-srebrny budynek. Chodźcie, przejdziemy na ukos.

Decząc zawistnie przejmującą kontrolę nad miastem trawę, grupa dotarła do parkingu przed budynkiem kina Słonecznego, którego przeszklone drzwi były rozsunięte. Obok wejścia ktoś postawił wózek z supermarketu, wewnątrz którego stał szary tekturowy znak na kartonie, informujący starannie wykaligrafowanymi literami „Szymon hipnotyzer przyjmuje TUTAJ!”.

– Nie zapowiada się dobrze – oznajmił markotnie Maksym.

Dymitr wzruszył ramionami i wszedł do środka, wołając:

– Przyszedłem tutaj na hipnozę!

– Już tego nie grają – odrzyknął wesoło mężczyzna w średnim wieku ubrany w znoszony, czarny garnitur.

Nieznajomy siedział przy jednym ze stolików ustawionych przy kafeiterii, pogrążony w lekturze jakiejś imponujących rozmiarów książki, którą z trzaskiem zamknął, pytając:

– W czym mogę pomóc?

- Chcę się poddać hipnozie i odzyskać wspomnienia – zakomunikował Dymitr.
  - To ważne – dodał Maksym.
  - Przyszliśmy tutaj aż z Krakowa – dorzuciła Judyta.
  - Z pamięcią zawsze jest ciężka sprawa – odparł mężczyzna – ale spróbować mogę. Swoją drogą, to wielce pokrzepiające, że ktoś słyszał o mnie w królewskim mieście. Kto wam mnie polecił? Może znam.
  - Bibliotekarz – poinformowała Judyta. – To taki staruszek, który opiekuje się biblioteką publiczną. Wojewódzką. Taką blisko Rynku.
  - Wiem, o którą ci chodzi, kiedyś studiowałem w Krakowie przez ładnych parę lat. Najpierw medycynę, a potem psychiatrię. Nie jestem samoukiem, hipnozą leczyłem przez dziesięć lat, zanim przyszedł Dzień Sądu. Znam się na swoim fachu. I umiem się cenić.
  - Czego potrzebujesz? – spytał ostrożnie Dymitr.
  - Mam swoje zasady. I wagę. Ważysz się, wyliczam z tego jedną trzecią i tyle przynosisz mi zapasów, najlepiej coś świeżego, ale długoterminowe konserwy mięsne też ujdą. Mogę też dać się zastraszyć, chociaż nie jest mądrze podpadać komuś, kto będzie miał pełną kontrolę nad twoim umysłem.
  - Nie mamy prawie niczego – stwierdził ponuro Dymitr. – Ale to ważna sprawa...
  - Słuchaj – przerwał mu Szymon – wszyscy, którzy tu przychodzą mają ważne sprawy. Mam swoje zasady.
  - Nie przyjmujesz innej waluty? – spytał Maksym, ukradkiem zerka-  
jąc wymownie w stronę Judyty.
  - Głód i pragnienie to szczyt piramidy potrzeb – odparł spokojnie  
mężczyzna. – Nie ruszę się stąd do jesieni, macie czas zebrać prowiant.
  - A broń? – spytał Dymitr, powoli wyciągając pistolet – oddam ci go  
w zamian za hipnozę, niezależnie od wyniku. Magazynek jest załado-  
wany do połowy, a chyba nawet troszkę więcej.
  - Podaj mi broń.
  - Czyli się zgadasz?
  - Chcę ją najpierw obejrzeć.
- Dymitr odbezpieczył pistolet i wycelował wysoko ponad głowę rozmówcy, oddając strzał w przeciwną ścianę. Zwielokrotniony przez echo huk przytłumił nieco słowa Dymitra, który ostrzegł:
- Teraz jest o jedną kulę mniej. Decydujesz się?
  - Tak.
  - Doskonale.

Mężczyzna wyjął magazynek i podał go Judycie, by następnie odciągnąć lufę i chwycić wyskakujący z komory nabój, który również przekazał dziewczynie, prosząc, by wpięła go do magazynka.

– Broń dam ci teraz, magazynek po wszystkim – oznajmił Szymonowi.

– Też mam swoje zasady, takie BHP handlu. Kiedy możemy zaczynać?

– Teraz – burknął hipnotyzer. – Chodź za mną, twoi ludzie muszą zaczekać tutaj.

– W porządku.

Mężczyźni udali się w stronę wyłożonego czerwonym dywanem korytarza, od którego oznaczone różnokolorowymi cyframi drzwi wiodły do poszczególnych sal kinowych. Szymon schował za pasem otrzymaną od nietypowego klienta broń, wskazując na ulokowaną po prawej stronie salę, oznaczoną czerwonym numerem czwartym. Judyta i Maksym z lekkim niepokojem spoglądali, jak Dymitr znika za masywnymi, czarnymi drzwiami otworzonymi przez hipnotyzera, który również wszedł do wnętrza. Po chwili przejście zostało zamknięte.

– Ciekawe czy mu się uda? – zastanowił się Maksym.

– Oby – odparła Judyta, podchodząc do stolika, na którym Szymon zostawił swoją książkę.

– Co czytał?

– *Sto dwadzieścia dni sodomy*, jakiegoś markiza de Sade.

– Poczytaj, może się czegoś nauczysz – zaproponował stary.

Dziewczyna wzięła do ręki książkę i otworzyła mniej więcej na środku, czytając po cichu jakiś fragment.

– Idiota – skwitowała, ze wstrętem odrzucając lekturę.

– Ignorantka – odparł urażony Maksym.

Stary i dziewczyna posłali sobie nieprzychylnie spojrzenia, rozchodząc się w przeciwległe strony holu, podczas gdy ich towarzysz szedł do przejścia w trans. Drzwi, które otworzył przed momentem Dymitr prowadziły do niemal całkowicie pograżonego w mroku korytarza o czarnych ścianach. Niewielka ilość światła, która wpadała przez drzwi, wyłowiła z mroku dwa ustawione naprzeciw siebie krzesła pochodzące z kinowej kafeterii. Pomiedzy nimi stał stary, trójkątny metronom. Szymon usiadł na krześle stojącym naprzeciw wejścia i wskazując drugie, poprosił:

– Zamknij drzwi i usiądź.

Dymitr niechętnie spełnił to polecenie, czując, jak wraz z zaniemnianiem światła ogarnia go niepokój. Przeczesał przestrzeń niedbałymi

ruchami ramion, stawiał ostrożne kroki, aż natrafił dłonią na oparcie krzesła. Siadając, ponownie usłyszał głos hipnotyzera, pytający:

– Czego chcesz się dowiedzieć ze swojej przeszłości?

– Możliwie jak najwięcej.

– To może być trudne. Podczas trwania transu będziesz chciał za wszelką cenę zadowolić mnie swoimi odpowiedziami. Możesz zacząć na bieżąco wymyślać jakieś nawet naprawdę wiarygodne historie. Powodzenie zależy też od przyczyn twojej amnezji. Jeśli ma podłoże psychologiczne, to mamy spore szanse na chociaż częściowe powodzenie. Gorzej, jeśli w grę wchodzi uszkodzenie mózgu.

– Moja pamięć zeruje się co kilka miesięcy. Kiedyś, jakieś trzy lata temu, napisałem coś w rodzaju listu do samego siebie. Co pewien czas, średnio raz na miesiąc, mam mieć ostre ataki bólu głowy. Po kilku takich atakach tracę wspomnienia.

– Wszystkie?

– Tak. Ale pamiętam sporo sprzed katastrofy...

– Katastrofy?

– Tak nazywam Dzień Sądu.

– Dlaczego?

– Sam chciałbym to wiedzieć. Nie przerywaj mi. Pamiętam sporo sprzed katastrofy, ale to tylko wspomnienia o świecie, nie o mnie. Z notatki wynika, że wiem coś ważnego, co jest związane z wieżą Babel. Podobno coś takiego wznoszone jest na południe od Sanoka, w miejscu zwanym Megiddo.

– Armagedon, ciekawe.

– Co?

– Grecki zwrot harmagedon, po łacinie armagedon, oznacza górę Megiddo, pod tym miastem doszło do wielu historycznych starć, od czasów starożytnych aż po Napoleona. Poza tym Megiddo w terminologii biblijnej jest powiązane z końcem świata, Dniem Sądu Bożego. Ktoś nieprzypadkowo wybrał taką nazwę. A jeśli chodzi o ciebie, to obawiam się, że objawy mogą sugerować uszkodzenia mózgu. Widziałem bardzo podobny przypadek tuż po Dniu Sądu. Mój przyjaciel przeżył, ale stracił pamięć. Co kilka dni nawiedzały go niezwykle silne bóle głowy, które skończyły się ponowną amnezją. Potem ten cykl powtórzył się jeszcze raz...

– Umarł?

– Niestety. Widać twój organizm jest znacznie silniejszy, chociaż biorąc pod uwagę fakt, że te dolegliwości nękają cię od co najmniej

trzech lat, to... – mężczyzna zawiesił głos, dodając po krótkiej chwili namysłu – no, zaczynajmy. Jesteś gotów?

– Tak – odburknął Dymitr.

– Proszę zatem, żebyś wyrzucił z umysłu wszystkie myśli. Słuchaj mojego głosu, jego i tylko jego. Zamknij oczy, podwój ciemność.

Hipnotyzer poruszył się w ciemności, zaraz po tym rozległo się miarowe tykanie metronomu, które zlało się z jego głosem:

– Oddychaj, głęboko i pewnie. Skup się całkowicie na tym zadaniu. Czas na odpoczynek, jesteś zmęczony, bardzo zmęczony, wyczerpany drogą, pytaniami, które sobie stawiasz. Odciaż swoje ciało, oddychaj samodzielnie, świadomie, wdech i wydech. Twój umysł jest pustym naczyniem, wyobraź je sobie, czarę bez dna, do której sięgasz, żeby nabrać wody. Chłodnej, kojącej, życia w płynie. Niech cię zupełnie przepełni, wyprze z umysłu wszystkie myśli, ześle sen. Oddychaj. Zanurz się w ciemności, idź za moim głosem, pogrąż się w nim, opleć swoje ciało kokonem spokoju i trwaj w nim dopóki słyszysz dźwięk metronomu, to rytm twojego serca, część ciebie. Zaczę teraz odliczać w dół jego uderzenia, zaczę od dziesiątego. Każda liczba pozwoli ci na odpoczynek, coraz głębszy i głębszy, aż dojdę do zera i będziesz mógł nareszcie odpocząć w pełni. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero. Jesteś bezpieczny, twoje potężne płuca pracują, siedzisz w kojącej ciemności, na wygodnym krześle. Słuchaj mojego głosu, zaraz znów zaczę liczyć od dziesięciu w dół, czeka cię jeszcze więcej przyjemności. Oddychaj. Dziesięć, dziewięć...

\*\*\*

Dymitr otworzył oczy, czując jak jego ciało twardnieje, a dziwny stan, w którym trwał przez ostatnie... No właśnie, ile? Minuty? Godziny? Znów był w pełni świadomy swojego ciała i przestrzeni. Metronom już nie tykał.

– Udało się? – spytał niepewnie.

– Do pewnego stopnia. Trzykrotnie pogłębiałem twój trans.

– Powiedziałem coś interesującego?

– Myślę, że tak. Chociaż przez chwilę upierałeś się, że osobiście zapoczątkowałeś przemianę istot wodnych w lądowe, kiedy miliony lat temu opuściłeś ocean i zacząłeś wędrować wzdłuż jego brzegu, po drodze odpoczywając w mule.

– Czego się dowiedziałeś?

– Profesor Jakub Jakowski, fizyk, znasz taką osobę?

– Nie.

– Opowiedziałeś mi o nim. Podobno byłeś kimś w rodzaju jego ochroniarza i pomocnika przez dłuższy czas po Dniu Sądu. Miał jakąś hipotezę, która cię zafascynowała, i, jak to określiłeś, dawała wszystkim nadzieję. Jakowski, jak zrozumiałem, pochodził z Sanoka.

– Co się z nim stało?

– Nie wiem. Być może, w tym momencie to tylko moje spekulacje, twoje problemy z atakami nasiliły się i ostatecznie straciłeś pamięć. O samej wieży Babel też nie powiedziałeś mi wiele. Prawdopodobnie, ale znów to tylko moje przypuszczenia, usłyszałeś o tym, że coś takiego jest podobno wznoszone w Megiddo, a przecież to blisko od Sanoka, jak sam mi powiedziałeś. Twoja pamięć utrwaliła tylko samą wieżę, kojarząc ją z Sanokiem, miejscem, gdzie udał się Jakowski. Może to właśnie tego człowieka, a nie miejsca, szukasz?

– Nadal to tylko nazwisko, nie czuję nic w związku z nim.

– Powtarzam tylko to, co sam mi powiedziałeś.

– Możesz powtórzyć trans?

– Teoretycznie tak, ale, jak wspomniałem, zesłiliśmy naprawdę głębokoko. Wątpię, żebym był w stanie wyciągnąć z ciebie coś jeszcze, szczególnie teraz, gdy możesz się sugerować wspomnieniami, niekoniecznie prawdziwymi, o profesorze Jakowskim.

– Rozumiem, w takim razie to wszystko, co możesz mi zaoferować?

– Tak – odparł niepewnie hipnotyzer.

Dymitr wstał bez słowa i ostrożnie ruszył ku wyjściu. Po dłuższych poszukiwaniach namacał klamkę i z ulgą opuścił ciemność, słysząc, że hipnotyzer podążą jego śladem. Mężczyźni wrócili do głównego holu, gdzie z niecierpliwością oczekiwali na nich Maksym i Judyta.

– Długo wam zeszło – upomniał stary. – Jakież efekty?

– Powiedzmy – stwierdził Dymitr, przenosząc uwagę na dziewczynę, której nakazał – daj hipnotyzerowi magazynek, zasłużył.

Judyta posłusznie przekazała przedmiot Szymonowi, którego twarz wyrażała wyraźną ulgę. Ostentacyjnie załadował broń i schował za pasek, nakazując:

– Teraz chciałbym odpocząć, opuście kino. Żegnam.

Grupa opieszale zwróciła się ku wyjściu, nie zamieniając ze sobą żadnego słowa. Nikt nie pożegnał też Szymona, któremu naładowany pistolet dodał niezwyklej, graniczącej z arogancją pewności siebie. Dopiero na zewnątrz, po przejściu kilkuset metrów, Dymitr oznajmił niepewnie:

– Ta cała hipnoza mocno mnie zmęczyła.  
– Może gdzieś odpoczniemy? – zaproponowała Judyta.  
– Chodźmy do domu Tadeusza, zostało tam sporo zapasów – zasugerował Maksym.

– Zgoda – poparł go Dymitr i zwałił się wprost na beton.

Stary i dziewczyna bezradnie patrzyli, jak wielki mężczyzna przykłada do skroni zaciśnięte pięści i spazmatycznie wierzga nogami, krzycząc przeraźliwie.

– Ma atak – stwierdził lakonicznie Maksym. – Możemy tylko czekać.

Judyta kiwnęła bezwiednie głową, obserwując, jak ich niedawny obrońca i wódz przyjmuje pozycję embrionalną, kwiląc przy tym żałośnie. Ostatni stały element otaczającego ją świata, wiecznie gotowy do walki Dymitr, ta umięśniona gwarancja przetrwania, legł u jej stóp. Nie było już nic pewnego, nic! Został tylko chaos. I nieprzyjemnie uśmiechnięty Maksym.



## Rozdział IV

Bury kot, wylegujący się pośrodku usianej siecią pęknięć jezdni skręcił uszy w stronę niepokojącego, rytmicznego dźwięku. Rozkleił powieki i leniwie podniósł łepkę, zerkając bojaźliwie ku zbliżającym się ludzkim sylwetkom. Prychnął z dezaprobatą. Najwyraźniej jego popołudniowy, zasłużony wypoczynek na rozgrzanym asfalcie miał się ku końcowi, gdyż intruzi zmierzali prosto ku niemu. Niezadowolone zwierzę wstało, dając nura w sąsiadujące z drogą krzewy, obserwując jak wielkie, dwunożne istoty mijają jego kryjówkę, wydając z siebie jakieś dźwięki.

– Musimy zatrzymać się w Sanoku na dłużej – oznajmił kategorycznie Maksym. – Popatrz na nas, nawet ty wyglądasz marnie.

Dymitr nie odpowiedział, lecz w duchu przyznał rozmówcy rację. Trudy odbytej dotąd podróży szczególnie odbiły się na przyzwyczajonej do miejskiego trybu życia Judycie, chociaż w przeciwieństwie do starego nie miała w zwyczaju narzekać. Dziewczyna wyraźnie schudła, a jej cera przybrała niezdrowy, nieco ziemisty odcień. Z podkrążonych oczu zniknęła też zadziorny wyraz wiecznego zainteresowania, jaki miała w Krakowie. Maksym również nie prezentował się lepiej, wychudły, brodaty, mężczyzna postarzał się zewnątrznie o kilka lat. Coraz częściej bywał opryskliwy i tylko liczne ostrzeżenia Dymitra powstrzymywały go od ciągłych ataków słownych na Judytę. Sam Dymitr doskonale wiedział, w jakim jest stanie, chociaż umiejętnie maskował przed grupą, jak wiele sił stracił podczas ostatniego ataku. Gdyby nie kilka dni spędzonych w domu Tadeusza i wyjedzenie praktycznie wszystkich zgromadzonych tam zapasów, byłby teraz zupełnie niezdolny do podjęcia ewentualnej walki. A na to nie mógł sobie pozwolić, szczególnie że lada moment mieli wkroczyć do Sanoka. Z mapy znalezionej w ich rzeszowskiej kryjówce wynikało, iż miejsce domniemanej lokalizacji Megiddo było stosunkowo blisko od celu wędrówki tajemniczego profesora Jakuba Jakowskiego. Dymitr poczuł się nagle jak bohater jakiegoś ponurego kryminału w stylu noir, który nieuchronnie zbliżał się do rozwikłania zagadki. A takie utwory zazwyczaj nie kończyły się dobrze.

– Jesteśmy – zakomunikowała Judyta, która w czasie rozmyślań Dymitra niepostrzeżenie wysunęła się na czoło grupy.

Droga, którą podążali, kończyła swój bieg, wpadając w nurt szerszej, dwupasmowej jezdni, która wedle mapy prowadzić powinna ku przedmieściom Sanoka. Dziewczyna stała niemal na środku skrzyżowania, pokazując na coś za zakrętem, a co mężczyźni zobaczyli dopiero

po przejściu kilkunastu metrów, gdy porastające poboczne drzewa i krzewy nieco się przeredziły. Przy głównej drodze stała częściowo zarośnięta, lecz wciąż widoczna nazwa miasta złożona z niebieskich, białych kwadratów, na których białą farbą wypisano kolejne litery tworzące nazwę miasta. Wyjątek stanowiło okrągłe „o”, pośrodku którego, na białym tle, widniał wyblakły herb Sanoka.

– Jesteśmy – powtórzyła bezwiednie dziewczyna, gdy mężczyźni przystanęli koło niej, spoglądając na rozpościerające się przed nimi, słabo zurbanizowane przedmieścia.

Widoczne w oddali zalesione wzgórze zlewało się z wszechobecną zielenią, która całkowicie opanowała tę część miasta. Ślady obecności człowieka były jednak nadal wyraźnie widoczne. Stojący po lewej stronie ulicy market był doszczętnie spalony, a drogę do centrum blokowały samochody ustawione w długi rząd, tworząc swego rodzaju mur, ciągnący się od zgliszczy, aż do (również spalonych) domków jednorodzinnych po prawej stronie jezdni.

– Wspaniale – burknął Maksym.

Grupa ruszyła przed siebie, szybko dochodząc do niestrzeżonej, samochodowej barykady, którą pokonali bez większego trudu, przechodząc po masce jednego z pojazdów. Za tym dziwnym, rdzewiejącym murem, po obu stronach ulicy rozciągały się kolejne, doszczętnie spalone zabudowania, głównie wolno stojące domy, których ilość stale wzrastała.

– Myślicie, że sami to zrobili? – spytała niepewnie Judyta. – Spalili własne miasto?

– Na to wygląda. – odpowiedział Dymitr. – I chyba zrobili to już jakiś czas temu, te zgliszcza są już porządnie zarośnięte.

– Myślicie, że ktoś tu został? – spytała dziewczyna.

– Dowiemy się – uciął temat Dymitr – na wszelki wypadek nie wchodźmy jeszcze do centrum, najpierw zbadajmy okolicę. – dodał.

– Zauważyliście, że nie ma tutaj żadnych kości? – spytał Maksym.

– Zrobili jakiś masowy grób? – dociekała Judyta.

– Może je jakoś wykorzystali, nie wiem, zjedli na przykład? – zagadnął Dymitr.

Uwaga mężczyzny ucięła dalsze spekulacje dotyczące zaginionych szkieletów, kończąc też rozmowę na inne tematy. Przybysze w ciszy kroczyli środkiem pustej ulicy, spoglądając uważnie ku poboczom, w daremnym poszukiwaniu jakiegoś ocalałego budynku. Ostrożny marsz wśród morza ruin trwał jakieś pół godziny, nim na horyzoncie

ukazał się wysoki, betonowy maszt, na szczycie którego widniało charakterystyczne, żółte „M”.

– To idziemy na hamburgera? – zażartował Maksym.

Judyta stanęła nagle, wydając z siebie głośny, niezrozumiały pomruk. Nie mówiąc ani słowa, wskazała dłonią na lewo, ku zapuszczonemu cmentarzowi. Nekropolia, oddzielona od ulicy masywnym ogrodzeniem z metalowych krat osadzonych na betonowych słupach, usiana była ludzkimi kośćmi. Opięte zmurszałymi ubraniami szkielety poniewierały się pośrodku asfaltowych alejek, koło grobów, pod drzewami – były wszędzie.

– Pochowali tu całe miasto? – spytała, bardziej siebie niż mężczyzn, Judyta.

– Chyba tak. Albo specjalnie wybrali to miejsce, żeby zrobić wrażenie na takich jak my, obcych – zasugerował Maksym. – Przynajmniej wiemy, dlaczego nie natrafiliśmy na kości – dodał z ulgą.

– Możesz mieć rację – podchwycił Dymitr. – Całe to spalenie przedmięt też może być czymś w rodzaju wielkiego znaku „zakaz wstępu”.

– To nie mogli po prostu umieścić jakiejś informacji, że nie chcą tu obcych? – spytała Judyta.

– Mimo wszystko to wciąż Polska – oznajmił z dumą stary. – Jaka jest pierwsza myśl na widok jakiegokolwiek zakazu?

– Po cholere go tu dali? – zgadła dziewczyna.

– Brawo. A zaraz potem człowieka opanowuje przemożna chęć złamania prawa.

– To, że przenieśli ciała w jedno miejsce – wtrącił się Dymitr – w dodatku na cmentarz, dużo mówi o lokalnej społeczności. Po pierwsze, jest na tyle liczna, że mogła sobie pozwolić na taką stratę czasu, po drugie, są dobrze zorganizowani. Spalenie przedmięcia w zasadzie świadczy o tym samym. Musimy uważać i nie dać się sprowokować.

– I najwyraźniej kierują się jakimiś zasadami – wtrąciła Judyta. – Przecież w pewnym sensie pochwali tych wszystkich ludzi.

– Pewnie tak. Dobra, dosyć patrzania, idziemy dalej. Judyta, miej oko na tyły.

Grupa ruszyła w dalszą drogę, mimowolnie zerkając co pewien czas w stronę cmentarza. Wkrótce na ich drodze znalazło się małe, zarosłe trawą i przytłumionymi przez chwasty zdziczałymi kwitami rondo. Po jego przeciwległej stronie, na lewo od McDonalda, stał kryty czerwoną blachą, piętrowy budynek o biało-szarej elewacji. To była pierwsza niezniszczona budowla w Sanoku. Wzdłuż drogi prowadzącej ku

położonemu na wzniesieniu centrum miasta widoczne były kolejne budynki. Dymitr bez słowa skręcił w lewo, realizując swój wcześniejszy plan obejścia centrum.

– Hej! Tam jest skład budowlany – zauważyła Judyta, wskazując na budynek sąsiadujący z pierwszym ocalałym domem, który zobaczyli.

– Szkoda czasu, na pewno już wszystko stamtąd zabrali – oznajmił Dymitr.

– Jesteś pewien?

– Prawie. Może potem tu wrócimy, teraz musimy znaleźć miejsce na nocleg i wodę, a koło takiego miasta na pewno płynie jakaś rzeka.

– Nawet nie zajrzemy?

– Nie. Im szybciej zejdziemy z widoku, tym lepiej.

Dziewczyna zamilkła, żegnając skład budowlany pełnym żalu spojrzeniem. Zerknęła też dyskretnie na maszerującego obok Maksyma, z zadowoleniem stwierdzając, że stary wyraźnie tracił siły. Może Dymitr również to zauważył, i dlatego właśnie jej polecił pilnować tyłów? W końcu w Rzeszowie to ona wytrwale pielęgnowała otumanionego bólem olbrzyma, podczas gdy Maksym nie robił praktycznie nic, poza – jak to określał – „zbieraniem sił”. Stary czuł się bardzo pewnie, ciągle podkreślając, że „już nie raz był świadkiem takich ataków”, chociaż ani razu nie podał żadnych szczegółów. Natomiast Dymitr zdawał się nie dostrzegać cichej rywalizacji pomiędzy Judytą a swoim domniemanym przyjacielem, jak zawsze myśląc tylko o swojej misji. Dziewczyna życzyła mu jak najlepiej, ale ten dziwny upór już od dłuższego czasu odbierała jako zwyczajny fanatyzm. Niestety, jak dotąd nie natrafili jeszcze na żadną społeczność, która byłaby gotowa ją przyjąć, zatem siłą rzeczy musiała podążać za Dymitrem i jego dziwacznymi poszukiwaniami wieży Babel.

– O czym myślisz? – zagadnął ją niespodziewanie Maksym.

– O niczym szczególnym – odpowiedziała wymijająco.

– Och, nie ufasz mi? – zaskamlał ironicznie stary.

– Słuchaj Maksym, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, to mnie okradłeś. Potem, w Krakowie, nasze ponowne spotkanie doprowadziło do tego, że jestem tutaj.

– Na twoje własne życzenie.

– Nie musisz mi tego przypominać – syknęła. – A od tamtej pory nie zrobiłeś nic, żeby pokazać się od lepszej strony. Poza docinkami i ciągłymi seksualnymi aluzjami na poziomie dwunastolatka właściwie się do mnie nie odzywasz, chyba że czegoś chcesz. Więc powiedz mi, czego chcesz tym razem?

- Niczego.
  - Naprawdę?
  - Nie. Woda mi się skończyła, dasz łyka ze swojej butelki? I tak zaraz znajdziemy rzekę.
  - To się napijesz.
  - Judytko...
  - Daj mi spokój.
  - Co, okres się zbliża? W sumie od czasu wyjścia z Krakowa jeszcze nie miałaś...
  - Spierdalaj!
  - Maksym, na przednią straż! – rozkazał Dymitr – trzydzieści metrów przed nami.
  - Taa jes – burknął stary, przyspieszając kroku.
- Judyta posłała mu triumfalny uśmiech i zrównując się z Dymitrem, powiedziała:
- Dzięki.
  - Dostyc mam kłopotów i bez waszych kłótni.
  - Gdzie teraz? – zakrzyknął Maksym stojący na skrzyżowaniu. – Prosto tą drogą, czy w lewo, w stronę osiedli?
  - Na lewo – odkrzyknął Dymitr, zwracając się ponownie do Judyty:
  - mnie właściwie Maksym nie przeszkadza, za to ty tak.
  - Co?
  - Nie jesteś przyzwyczajona do życia w drodze, muszę stale dostosowywać tempo marszu do twojego.
  - Ale Maksym też...
  - Jest stary, ale ma sporo sił, poza tym mogę na nim polegać w walce. Źle się stało, że przez nas musiałaś opuścić Kraków, ale teraz to już historia. Myślę, że jeśli w Sanoku będzie jakaś społeczność, to powinna tu zostać. Dostyc już się nacierpiałaś.
  - No dżentelmen!
  - Chcę tylko...
  - Chcesz tylko znaleźć swoją wieżę, w czym ci pomagam, a teraz wyskakujesz z czymś takim?! Myślisz, że nie dałabym sobie rady sama? Dobra, byłoby mi ciężko, nawet bardzo, ale jakoś dawałam sobie radę przed Krakowem!
  - Nie denerwuj się...
  - Bo co, przywalisz mi?! Dołączę do jakiejś społeczności, kiedy będę miała na to ochotę, a nie z twojego rozkazu! Wielki obrońca się znalazł! Nie jestem jakimś zbłąkanym psem, którego karmisz, a potem oddajesz

w dobre ręce przy pierwszej okazji i jedziesz spokojnie w stronę zachodzącego słońca! Wiesz co, nie chce mi się z tobą gadać! Dlaczego się śmiejesz?!

– Wybacz, zacytowałam nieświadomie taki film...

– Wy i te wasze pieprzone filmy ze starego świata!

– Judyta...

– Idę zmienić Maksyma, będziecie mogli sobie w spokoju porzucać cytatami z filmów.

Czerwona ze złości dziewczyna wybiegła na przód i szybko zrównała się ze starym, któremu warknęła:

– Idź do Dymitra!

Maksym chciał coś powiedzieć, ale przytomnie wybrał milczenie, posłusznie zawracając w stronę drugiego mężczyzny. Na odchodne mruknął jeszcze pod nosem, na tyle głośno, by dziewczyna mogła go usłyszeć: „Oho, zaczęły się TE dni”. Judyta nie odpowiedziała, rzucając w przestrzeń wiązaną przekleństw i przyspieszając kroku. Forsowny marsz szybko dał się jej we znaki, ale gniew pozwalał kontynuować wysiłek. Grupa maszerująca pod dyktando wypacającej frustrację dziewczyny energicznie posuwała się do przodu, zagłębiając się w przestrzeń miejską. Mijane blokowiska i dawno już splądrowane sklepy, bez wyjątku posiadające w nazwie słowo „san”, tonęły w zieleni, która w przeciągu ostatnich lat opanowała znaczną część terytorium należąca od wieków do człowieka. Pod względem ekspansji roślinności Sanok zdecydowanie wyróżniał się na tle innych miast, do których zawitali wędrowcy, zupełnie jakby od sądnego dnia minęło nie pięć, a co najmniej piętnaście lat. Również brak poniewierających się wszędzie szkieletołów sprawiał, że to miejsce wydawało się inne, bezpieczniejsze. Judyta pomyślała, że życie tutaj musiało być dla mieszkańców całkiem przyjemne. Myśli dziewczyny pobiegły do Krakowa i tego, co tam pozostawiła. Mieszkanie pełne przydatnych przedmiotów i zapasów jeszcze niedawno definiowało to, kim była. Teraz, na szlaku, sprawy wyglądały inaczej. Dymitr, w pewnym sensie, miał rację. Była słaba, zmarnowała czas względniego spokoju, jakim cieszyła się w Krakowie. Gdyby tylko poświęciła więcej uwagi na przekuwaniu swojego ciała w zbroję, to teraz nie musiałyby tak bardzo polegać na Dymitrze. Maksym też zastanowiłby się dwa razy przed zaczepianiem kogoś od siebie silniejszego. Nic straconego – pomyślała – parę miesięcy ostrego treningu i dobrej diety i znów będę w formie. Ta myśl dodała jej otuchy i nowych sił, które włożyła w kontynuowanie marszu. Opuściła już teren blokowisk, a po

prawej stronie drogi pojawiły się pierwsze piętrowe domy, kontrastujące z widocznymi po lewej blokami i sąsiadującą z ulicą świątynią. Zwalniając nieco kroku spozjrzała za siebie, by stwierdzić, że mężczyźni wytrwale podążają za nią w odległości jakichś kilkunastu metrów. Nie czekając na nich, ruszyła dalej, do skrzyżowania, ze środka którego dostrzegła rzekę. Nad jej brzegiem stał spalony supermarket, a na jego parkingu znajdowało się kilka również oddanych na pastwę płomieni pojazdów. Skręt w lewo prowadził ku pnącej się stromo drodze, prawdopodobnie do terenów wiejskich. Prawa droga wiodła do mostu widocznego spomiędzy porastających pobocze i część chodnika drzew i gęstych krzewów.

– Jest rzeka – oznajmiła zbliżającym się mężczyznom. – A dalej most.

– Doskonale – skwitował Dymitr, gestem wskazując, by ruszyli w stronę brzegu.

Mężczyzna poszedł pierwszy, a Maksym i Judyta za nim, tworząc wierzchołki nieco rozciągniętego trójkąta. Sztampowa ekipa, błędny rycerz, dama w opałach i błazen – pomyślała z goryczą Judyta. Dziewczyna odwróciła wzrok od towarzyszy podróży, spoglądając ku dosyć szerokiej rzece. Mając w pamięci nazwy mijanych sklepów i innych punktów usługowych, spytała bardziej siebie niż któregoś z mężczyzn:

– Ciekawe, czy ta rzeka też ma w nazwie „san”?

Nikt jej nie odpowiedział. Maksym wydawał się całkowicie zaaferowany czymś, co dostrzegł na przeciwnym brzegu. Dymitr natomiast ukląkł, zaczynając napełniać pierwszą butelkę, która po zanurzeniu w nurcie rzeki bulgotała zawzięcie. Mężczyzna czekał cierpliwie, aż woda niemal w całości wyprze powietrze, zatrzymując się u szczytu szyjki, nim zakręcił butelkę i sięgnął po kolejną, podaną przez starego, powtarzając tę czynność jeszcze trzy razy.

– To już ostatnia? – spytał stojącego nieopodal Maksyma, który od dłuższego czasu obserwował przeciwny brzeg rzeki.

– Tak, tak – odparł z roztargnieniem stary.

– To daj plecak.

– Mhm.

– No?

– Co?

– No podaj go!

– A, wybac. Myślę o tamtej łące po drugiej stronie rzeki.

– Co z nią?

– Przed chwilą chyba zobaczyłem tam krowę.

– Jesteś pewny?

– Tak – odparł z wahaniem mężczyzna.

– Hmm. W porządku, możemy to sprawdzić. Do wieczora została jeszcze z godzina. Judyta!

Dziewczyna stojąca kilkanaście metrów dalej odwróciła się niechętnie ku mężczyznom, pytając gniewnie:

– Czego?!

– Maksym widział krowę po drugiej stronie rzeki, jesteś za tym, żeby to sprawdzić?

– Rób jak chcesz.

– Nie jestem do końca pewien tej krowy – wtrącił się stary.

– Ty tu rządzisz Dymitr, decyduj.

– To pójdziemy – oznajmił mężczyzna, wciskając do plecaka ostatnią butelkę.

Grupa bez słowa ruszyła w stronę widocznego kilkaset metrów dalej mostu. Na szczęście wsparta na masywnych, betonowych filarach konstrukcja z pomalowanej na zielono stali sprawiała wrażenie solidnej. Idący na czele kolumny Dymitr z uwagą przyglądał się ustawionym w rząd domkom jednorodzinny, stojącym po prawej stronie jezdni, zastanawiając się, który z nich wybrać na miejsce nocnego wypoczynku. Przez moment rozważał możliwość zajrzenia do piętrowego hotelu stojącego naprzeciw mostu, gdy nagle jego uwagę przykuł stojący po lewej stronie drogi czołg, radziecki model T-34, dokładnie taki, jakim jeździła załoga czterech pancernych, której przygody Dymitr z zapartym tchem śledził jako dziecko. Przed oczyma mignęło mu wnętrze jakiegoś pokoju. Dom rodzinny? Wizja już się rozwiła i wiedział, że nie powróci. Trudno. Spojrzał z nostalgią na czołg. Maszyna, najwidoczniej służąca w charakterze pomnika, ustawiona była na dwóch betonowych cokółkach, do których przymocowano gąsienice. Wieżyczkę przekręcono tak, żeby wylot lufy złowieszczo celował prosto w most.

– Krowy! – krzyknął nagle stary, odrywając myśli Dymitra od czołgu.

Na most wkraczało właśnie stadko złożone z kilkunastu czerwono-białych krasul, które eskortował mały oddział ludzi uzbrojonych w pistolety i długie kije. Zbrojnych pasterzy było czterech, każdy noszący dziwne ubrania zszyte z wielu różnobarwnych łat. Jeden z nieznanomych, dobywając broni palnej, wysunął się na przód, wołając:

– Kim jesteście?

– Przyszliśmy tutaj z Rzeszowa – odkrzyknął Dymitr, wchodząc na oczyszczony z samochodów most. – Nie szukamy kłopotów.



– I dobrze! Idźcie pod czołg i dajcie nam przejść, jeśli chcecie porozmawiać, to przyjdźcie jutro z rana na rynek.

– Gdzie on jest?

– Tam, gdzie idziemy. Sanok nie jest duży, znajdziecie rynek bez trudu. To taki wybrukowano na czerwono plac z fontanną, otoczony zabytkowymi kamienicami.

– Domyśliłem się – mruknął Dymitr, cofając się.

Pasterze, popędzając nerwowo bydło, szybko opuścili most, mierząc obcych niezbyt przyjaznymi, chociaż zdradzającymi pewne zainteresowanie spojrzeniami. Nagle jeden z mężczyzn sięgnął do kieszeni i wydobyl stamtąd żółtą bryłkę, którą rzucił w stronę Judyty, tłumacząc:

– To ser!

Dziewczyna złapała cenny podarek, odwdzięczając się szerokim uśmiechem.

– Może być zatruty – ostrzegł bez większego przekonania Maksym.

– Trudno – odparła, łapczywie zatapiając zęby w nabiale.

Sanoczanie oddalili się pośpiesznie, wymieniając między sobą uwagi na temat obcych przybyszów, którzy wciąż stali spokojnie pod czołgiem, aż Dymitr zakomenderował:

– Trzeba zatroszczyć się o nocleg, a rano pójdziemy porozmawiać z tymi ludźmi. Są hojni, a to rzadko spotykane. Chodźmy.

– Mają krowy – powiedział z podziwem Maksym – i ser, którego nie spróbowaliśmy, bo Judyta zżarła wszystko – dodał z dezaprobatą.

Dziewczyna prychnęła pogardliwie, ostentacyjnie oblizując zęby.

– Idziemy – powtórzył władczo Dymitr, ruszając w stronę najbliższego domku.

Stary i dziewczyna poszli za nim, myśląc już tylko o sanockim serze. To miasto mogło im wiele zaoferować, o ile dobrze rozegrają jutrzejszą rozmowę. I nie zrażą czymś do siebie mieszkańców miasta. Niezależnie od siebie, Maksym i Judyta utkwili pełen niepokoju wzrok w plecach lidera ich grupy.

\*\*\*

Huk wystrzału przebudził Dymitra, który zerwał się z zasłanego sfatygowanym kocem łóżka, instynktownie szukając broni. Nim przypomniał sobie, że pistolet oddał jeszcze w Rzeszowie, przez myśl przemknęło mu podejrzenie kradzieży. Obdarzając przepraszającym spojrzeniem budzącego się właśnie Maksyma i Judytę, podszedł ostrożnie do okna i uchylił je lekko, nasłuchując uważnie. Kolejny wystrzał padł kilkanaście

sekund później, tym razem był cichszy, jakby dobiegł gdzieś z oddali. Ulica przed ich domem była pusta, tłumiony przez chmury blask księżyca dawał bardzo niewiele światła, ledwie wyławiając z mroku kontury drzew, linii lamp ulicznych i most, na straży którego stał czołg. Strzały już się nie powtórzyły, zamiast nich słyszać było jakieś niewyraźne nawoływania.

– To chyba nas nie dotyczy – stwierdził Dymitr.

– Ktoś ich zaatakował? – zasugerował Maksym.

– Albo kogoś ścigali – dorzuciła Judyta.

– Stawiałbym właśnie na to – odparł mężczyzna. – Dobra, idźcie lepiej spać, do świtu jeszcze sporo czasu, ja popilnuję okolicy.

– Jak chcesz – zgodził się stary, kładąc się na ustawiony pod ścianą materac.

Dziewczyna również zajęła swoje posłanie, mrużąc coś sennie pod nosem. Dymitr usiadł na podłodze i pomyślał o jedzeniu. Ich racje kurczyły się z dnia na dzień, a od chwili wyjścia z Rzeszowa nie najedli się do syta ani razu. Natomiast mieszkańcy Sanoka sprawiali wrażenie dobrze odżywionych, a nawet nieznacznie otyłych. To miasto musiało być bogate w mleko i wszelkiej maści nabiał.

– A skarbów się strzeże – wyszeptał mężczyzna.

Wiedział, że z miejscowymi będzie musiał rozmawiać bardzo ostrożnie, tego samego musi wymagać od Judyty i starego. Byli tutaj tylko imigrantami, i tak będą musieli się zachowywać. W najlepszym wypadku czeka ich praca ponad siły za marną zapłatę, ale to będzie musiało na razie wystarczyć. Mężczyzna już od dłuższego czasu odczuwał chroniczne przemęczenie i tylko wyobrażał sobie, w jakim stanie musi być odwykła od podróży Judyta i mający już swoje lata Maksym. Musieli zebrać siły i uzupełnić zapasy tak, jak to zrobili w Jaśle. Westchnął cicho, ruszając ku łóżku. Uznał, że czuwanie właściwie nie miało sensu, trójka wygłodzonych przybyszów i tak nie ma szans w starciu ze znającymi teren, uzbrojonymi i dobrze odżywionymi mieszkańcami.

Poza tym, jak na razie, sanoczenie chcieli rozmawiać, co było logicznym wyjściem z obecnej sytuacji. W świecie, w którym medycyna nagle utraciła zdobycze kilku ubiegłych stuleci, i byle zadrapanie pordzewiałym gwoździem mogło doprowadzić do śmierci, nikt nie był chętny do przelewu krwi bez wyraźnego powodu. Poza mną – dodał gorzko w myśli i zwałił się na łóżko. Pozwolił ciężkim powiekom opaść, przestając myśleć o czymkolwiek. Sen był blisko, potem kawałek dalej i dalej, nieustannie ustępując miejsca niechcianym rozmyślaniom. Zaczęło

świtać, gdy wykończony mężczyzna w końcu zdołał zapaść w płytką drzemkę, tylko po to, by niecałą godzinę później zostać zbudzonym przez szturchnięcia Maksyma, proszącego:

– Wstawaj! Przyszli po nas, niby jako eskorta!

Dymitr z trudem zmusił umysł do pracy na zwiększonych obrotach, mrużąc:

– Czego chcą? Ile ich jest?

– Trzech, wszyscy pod bronią. Mamy spakować nasze graty i iść za nimi na rynek, chcą z nami pogadać. Co robimy?

– Bierzemy nasze graty i idziemy z nimi na rynek, żeby pogadać – burknął Dymitr. – I siedź cicho, Judyta też, ja będę mówił.

– Jak chcesz.

Przysłani mężczyźni wydawali się równie zaspani, co Dymitr, chociaż sprawiali wrażenie znacznie bardziej spiętych. Ich ubrania również zsyte były z wielu lat, najwyraźniej był to oficjalny strój każdego mieszkańca miasta. Szybko uformowali rozciągnięty trójkąt, wewnątrz którego utworzył się mniejszy, z Dymitrem na czele. Eskortujący i eskortowani ruszyli leniwie wzdłuż rzeki, w stronę wschodzącego słońca, zostawiając za sobą most.

– Czy jesteśmy aresztowani? – zagadnął Dymitr, zrównując krok z idącym na czele grupy mężczyzną.

– Nie, ale jak spróbujecie uciekać, to tak.

– Na jedno wychodzi.

– Spokojnie, chcemy ustalić kim jesteście.

– To zrozumiałe, ale mieliśmy przyjść do was sami, tak mówili nam spotkani na moście pasterze.

– Wiem, ale w nocy sytuacja się zmieniła. Musimy mieć porządek.

– Ścigaliście kogoś? Słyszałem strzały.

– Nie myśl o tym, to nasze wewnętrzne sprawy, a może będą i wasze, jeśli zdecydujecie się przyłączyć.

– A co...

– Wszystkiego dowiedziecie się na miejscu, dostaniecie przewodnika, on wszystko lepiej wyjaśni. Przekaż to swoim.

– Dobra.

Dymitr zwolnił kroku, po chwili zrównując się z Maksymem i Judytą, na twarzach których wyraźnie wypisane było oczekiwanie.

– Chyba mają jakieś problemy – wyjaśnił szeptem mężczyzna. – Nasza obecność wyraźnie jest im teraz nie na rękę.

– Co z tymi strzałami? – spytał stary.

– Nie chciał mówić, ale chyba jednak kogoś ścigali. Pewnie go dorwali, bo facet, z którym gadałem wydawał się być w raczej dobrym nastroju. Dobra, kończymy szeptać, to może być dla nich podejrzane.

Dziewczyna i stary kiwnęli ze zrozumieniem głowami i nie zadawali więcej pytań, a Dymitr postanowił nie wznawiać rozmowy ze strażnikiem. Szóstka ludzi w milczeniu maszerowała środkiem drogi, stopniowo oddalając się od rzeki. Z umieszczonych na poniekąd domach tablic wynikało, że byli na ulicy Mickiewicza. Domki jednorodzinne wciąż ciągnęły się po prawej stronie, a od głównej ulicy co pewien czas odchodziły kolejne odnogi. Lewa strona porośnięta była chaszczkami i rosnącymi wzdłuż chodnika drzewami, ale po przejściu kilkuset metrów i tutaj pojawiły się budynki mieszkalne. Konwój poruszał się dosyć szybko, a okolica z minuty na minuty coraz bardziej zaczęła przypominać miasto. W oddali widać już było bloki mieszkalne i skrzyżowanie z główną ulicą, pośrodku którego stało kilka wbitych w siebie pojazdów. Droga zaczynała być coraz bardziej stroma, a zabudowa ciśniejsza. Nawet zieleń ustępowała przed rozległymi połaciami swojego betonu. W pewnym momencie Dymitr spojrzął w lewo, ku przypominającym nieco pałacykowi budynkowi, do którego prowadziły wygięte w łuk schody. Na jego balkonie wciąż wisiał, wyblakły i pomięty, wielki afisz zapowiadający dwudziesty drugi festiwal imienia Adama Didura. Prowadzący ich mężczyzna, mimo coraz większej stromizny, przyspieszył, pomrukując coś do siebie. Wszyscy cierpliwie podążali jego śladem, zagłębiając się w wymarłe miasto. Droga do rynku nie zajęła im wiele czasu, chociaż słońce zdążyło już wejść nieco ponad horyzont, zapowiadając ciepły dzień.

Wybrukowany różowawą kostką rynek nie odbiegał od wyobrażeń Dymitra. Był otoczony kamienicami, z ulokowaną w rogu małą, prostokątną fontanną oraz kilkoma zdewastowanymi budkami z jedzeniem i pamiątkami. Jedyne stojący naprzeciw fontanny okaleczony ratusz miejski o różowej elewacji, z którego ktoś wymontował zegar, zakłócał małomiasteczkową harmonię tego miejsca. Właśnie pod ratuszem czekał na nich ubrany „w łąty” mężczyzna w średnim wieku, który rozłożył ręce w teatralnym geście przyjaźni, prosząc:

– Za mną, proszę.

Nie czekając na reakcję adresatów swoich słów, ruszył w stronę najbliższej ławki, na której stał wiklinowy kosz. W jego wnętrzu leżały trzy butelki wypełnione mlekiem i spory kawałek żółtego sera. Dymitr, nie czekając na przyzwolenie, podał dziewczynie i staremu po butelce,

ostentacyjnie wyjmując z pochwy przy pasie nóż, żeby podzielić ser. Z ustami pełnymi nabiału, przepijanego niesamowicie tłustym mlekiem, spytał:

– Jesteśmy tu mile widziani?

– To zależy od was. Możecie odejść w każdej chwili.

– Po takim przyjęciu raczej będziemy skłonni zostać na dłużej. Chcemy odpocząć, od wielu dni jesteśmy w drodze, wędrujemy aż z Krakowa.

– Doprawdy? – wyraźnie zaciekawił się mężczyzna. – Co was zmusiło do podjęcia takiego trudu?

Przeklinając własną głupotę, Dymitr przełknął pośpiesznie ser i już miał odpowiedzieć, gdy Judyta wtrąciła się, tłumacząc:

– Życie tam jest straszne, w innych miastach zresztą też, a na wsiach nikt nie pomaga obcym. Chcieliśmy iść tak daleko na południe, jak to możliwe, w cieplejsze regiony.

– W sensie do cieplejszych krajów? To dosyć... nietypowy pomysł.

– Rzeczywiście – powiedział Dymitr, gromiąc dziewczynę wzrokiem – ale jesteśmy zdesperowani. Dlatego dostosujemy się do waszych reguł, podróż okazała się trudniejsza, niż zakładaliśmy. Spójrz na mnie, mogę ciężko pracować, a mój towarzysz dobrze strzela. Dziewczyna też ma wiele umiejętności. Może na przykład... doić krowy, czy coś takiego.

– Kurwa, szowinizm w natarciu – wymknęło się Judycie.

– Uważaj na słowa! – skarcił ją mężczyzna. – W Sanoku nie mówimy już językiem nienawiści.

– Przepraszam.

– A dojenie krów to ważny obowiązek, może rzeczywiście przypadnie ci w udziale.

Judyta nie odpowiedziała, wbijając wymowne spojrzenie gdzieś w przestrzeń ponad głowami mężczyzn.

– I bądź pewna, że nie spotka cię tutaj nic złego – dodał. – Prowadzimy spokojny i moralny tryb życia, chętnie powitamy was jako nowych członków naszej społeczności. Naturalnie, jeśli się dostosujecie.

– Symbolem waszej społeczności są te ubrania? – zagadnął Dymitr.

– Tak. Oznaczają jedność uzyskaną z wielu elementów, wszyscy je nosimy, kobiety również. Jedność to podstawa, dzięki niej możemy żyć tutaj naprawdę godnie. Przyjeliśmy już kilku obcych, wiemy, jak wygląda sytuacja gdzie indziej. Sanok to stare miasto, bardzo stare. I z wielkimi tradycjami, sam król Władysław Jagiełło brał tu ślub! Jak widzieliście,

hodujemy krowy, uprawiamy też rośliny w ogródkach działkowych, a nawet trochę polujemy. Tutaj nigdy nie będziecie głodni.

– Co się stało z zegarem? – zagadnął nagle Maksym.

Rozmówca wydał wargi odpowiadając pogardliwie:

– Czy to ważne? Nie ma go.

– A biblioteka? – dodała Judyta. – Ktoś zatroszczył się o księgozbiór?

– Cisza – warknął Dymitr, widząc, że mężczyzna, z niewiadomych przyczyn, wydawał się poirytowany tymi pytaniami.

– Musicie się dostosować – ostrzegł rozmówca. – Widzę, że skończyście jeść, chodźcie więc za mną, pokażę wam kwatery. Wszyscy mieszkamy w obrębie historycznego centrum miasta, w kamienicach albo na zamku. Jak się nazywacie?

– Ja jestem Dymitr, to Maksym, to znaczy Maksymilian, i Judyta.

– Jarosław, miło mi. Dziwnie to wyszło, przedstawiliśmy się sobie na koniec rozmowy. Idziemy, idziemy, zaraz nasz dzwonnik zadzwoni na koniec nocy i początek nowego dnia pracy. Wy też dostaniecie zadania, dziś jeszcze proste, przy sprzątaniu, żebyście zebrali siły. Wieczorem spotykamy się tutaj na wspólnych modlitwach, prosimy Boga o wybaczenie za czyny ludzi, które doprowadziły do jęgo gniewu.

Dymitr zacisnął wargi, powstrzymując się od komentarza i posłusznie ruszył za Jarosławem, którego nawet w myśli nie potrafił nazwać „Jarkiem”, pilnując, by jego mała kompania zrobiła to samo. Skoro dzień w Sanoku zaczął się od obfitego śniadania, obietnic, subtelnych ostrzeżeń i sekretów, ciekawe jak się skończy? – pomyślał, zerkając mimowolnie ku otworowi po zegarze w ścianie ratusza.

\*\*\*

Dymitr z wyrazem znudzenia na twarzy zamiatał bruk, głęboko przekonany o całkowitym braku sensowności wykonywanej przez siebie pracy. Po co utrzymywać w czystości rynek w pięć lat po końcu świata? Mycie klatek schodowych, do czego zostali oddelegowani Maksym i Judyta, miało jeszcze sens, ale zamiatanie rynku?! W dodatku od rana nie robił nic innego, zamiótł nawet okoliczne uliczki, a sądząc po wysokości słońca nie minęło nawet południe. Mimo to, pamiętając o słowach Jarosława, który wyraźnie nakazał mu zamiatać tak długo, aż ktoś nie przyniesie mu innego rozkazu, machał ospale zdezelowaną miotłą, wzbijając tumany kurzu. Cóż, kazali zamiatać, to zamiatał. Co pewien czas przerywał jednak pracę, zerkając ku otworowi mieszczącemu

niegdyś zegar. Z niewiadomych przyczyn brak, choćby popsutego, czasomierza wydawał się mężczyźnie szczególnie intrygujący.

– Hej Dymitr! – zakrzyknął ktoś, przerywając mężczyźnie dalsze spekulacje.

Winowajcą okazał się Maksym, który z wyrazem triumfu na twarzy wszedł raźnie na plac rynkowy.

– Gdzie Judyta? – spytał młodszy z mężczyzn, gdy jego towarzysz podszedł bliżej.

– Myje schody.

– A ty...

– Podobno ciągle jej przeszkadzam, więc kazała mi pośpiesznie zejść sobie z oczu. Chociaż użyła tylko jednego słowa, żeby to wszystko wyrazić... I to takiego brzydkiego. Oj, chyba powinienem powiedzieć o tym Jarkowi... Pomóc ci jakoś?

– Tak, masz, zamiataj – odparł beztrąsko Dymitr, wciskając starem miotłę.

– Po co zamiatać bruk?

– To już nie moje zmartwienie, działaj.

– A ty?

– Popatrzę.

Maksym posłusznie zaczął zamiatać, ale po kilkunastu zamachach przerwał, pytając:

– Zastanawiasz się, o co chodzi z tym zaginionym zegarem?

– Hm, to zamiatanie chyba na każdego tak działa...

– Co?

– Tak, zastanawiam się. Ale wolę nie być zbyt wścibski, tobie też to radzę. Musimy zebrać tutaj siły, a skoro ja mogę powstrzymać się od pytań o Babel, to tobie i Judycie nie powinno być ciężko trzymać język za zębami.

– Ci ludzie są dziwni – pożalił się stary.

– Na razie spotkaliśmy tylko pasterzy i Jarosława.

– Mi to wystarczy, wolę nie widzieć reszty.

– Czepiasz się. Żyją tu jak królowie, więc mają chyba prawo do kilku dziwactw. Zresztą cicho! Zamiataj, zamiataj, ktoś idzie.

Do mężczyzn zbliżał się starszy sanoczanin, który maszerował powoli z rękami splecionymi na plecach. Przywodząc na myśl nazistowskiego oficera, pragnącego zbesztać niepokornych więźniów. Nieznajomy przystanął w pewnej odległości od zamiatających „więźniów”, pytając protekcyjnym tonem:

- Jak idzie praca, panowie?
- Zamiatamy – odburknął Maksym.
- Jedną miotłą? Mało ekonomiczne.
- Ja zaraz wracam do pracy przy myciu klatek – wytłumaczył stary. –

Przyszedłem tu tylko na chwilę, do kolegi.

- Do kolegi, aha. No dobrze, dobrze. Dobrze...

Powtarzając pod nosem „dobrze, dobrze...” mężczyzna odszedł paradnym krokiem.

- Szlafekontroler się znalazł – skwitował Maksym. – Masz miotłę, wracam do Judyty, zanim ten gestapowiec tam dopełni. Do potem!

Dymitr odburknął coś niezrozumiale, wracając do zamiatania. Mimo obaw Maksyma dziwny mężczyzna nie opuścił rynku, zamiast tego podszedł do Dymitra, zapewniając:

- Nie martwcie się, za dobrą pracę odpłacamy dobrem. Za zdradę... Cóż, dziś po modlitwach na tym placu będzie miał miejsce proces kogoś, kto odpłacił nam złem. Złapali go dziś w nocy koło mostu.

- Co zrobił?

- Siał szkodliwe poglądy, odrywał ludzi od pracy i rozmyślenia o Bogu. Wielki pan profesor – rzucił z pełną satysfakcją pogardą w głosie. – Tacy nigdy nie potrafią zachować pokory. Ten Jakowski zawsze wydawał mi się podejrzany!

- Jakowski? – spytał najspokojniej jak potrafił Dymitr.
- Jakub Jakowski, fizyk, słyszałeś o nim? – spytał podejrzliwie.
- Nie, chyba nie. Albo kiedyś, przed katastrofą, może w telewizji.
- Dlaczego nazywasz Dzień Gniewu Bożego katastrofą?
- No... Nie przyniósł niczego dobrego, właściwie to była katastrofa.
- Jesteś tego pewien? My tutaj uważamy to za szansę. Ci, którzy zginęli, trafili już przed Sąd Boży, otrzymali odpłatę za swoje uczynki. My, ocalali, mamy szansę na zbawienie. Musimy pokazać naszą wartość, żyć godnie. Sanok to miejsce inne niż wszystkie, przeżyło tutaj ponad tysiąc ludzi! Znasz inne miasto, w którym byłoby tylu ocalałych?

- Nie – odparł zaintrygowany Dymitr. – Więc mieszka tutaj aż tysiąc ludzi?!

- Już nie, część odeszła za tym fałszywym prorokiem, odrzucili swoją szansę. Zabrali ze sobą książki, zapasy, nawet ten zegar. Budują swoją bluźnierczą nową wieżę Babel, ale podzielą los budowniczych poprzedniej!

Oczy mężczyzny błysnęły gniewnie, a zaciśnięte w grymasie wściekłości usta pobiełały. Wkrótce oddalił się, tym razem na dobre,



zostawiając rozmówcę z mętlikiem w głowie. Z natłoku uzyskanych informacji mężczyzna wyłowił najważniejszą, Jakub Jakowski naprawdę istniał i w tej chwili czekał na proces, którego wynik był łatwy do przewidzenia. Nagle odnalezienie Megiddo oraz wznoszonej tam wieży Babel, cokolwiek to znaczyło, przestało być ważne. Cel, za którym Dymitr podążał tak długo poprzez swoje kolejne „wcielenia”, nagle stał się jedynie środkiem. W jakiś sposób wiedział, że dotarł do końca swoich poszukiwań, musiał jeszcze tylko poznać pachnące linczem „szkodliwe poglądy” Jakowskiego. I to zanim tutejsi mieszkańcy usankcjonują wiszący w powietrzu wyrok.

\*\*\*

W wysoko sklepionej, pełnej zabytkowych ikon sali zamkowej panował gwar. Złączone ze sobą, groteskowo kontrastujące z muzealnym wystrojem tego miejsca szkolne ławki tworzyły coś na kształt olbrzymiego stołu, przy którym siedzieli zgromadzeni na kolacji mieszkańcy miasta. Dymitr i Maksym siedzieli wśród innych, wciąż czując na sobie spojrzenia miejscowych, zdradzające zainteresowanie, podejrzliwość lub obojętność. Na szczęście żadne z nich nie było jednoznacznie wrogie, poza nienawistnym wzrokiem Judyty, zmuszonej usługiwać przy stole wraz z innymi przedstawicielkami swojej płci. Kobiety o pogodnych, choć noszących ślady zmęczenia twarzach z wprawą nakładały na talerze kolejne porcje jajecznicy zmieszanej ze świeżym szczypiorkiem. Maksym, po głośnym wyrażeniu uznania z powrotu do „uświęconego tradycją wielu pokoleń patriarchy” zabrał się do jedzenia. Dymitr poszedł w jego ślady, widząc, że inni również zaczynają jeść, gdy tylko na ich talerzach pojawia się wyznaczona porcja. W pomieszczeniu siedziało co najmniej stu mężczyzn, od młodych i sprawnych po prawdziwie stetryczałych staruszków. Przydzielane im porcje różniły się wielkością oraz dodatkami, gdzieś tam widać było nawet kawałki mięsa. Do stojących obok talerzy szklanek nalewano mleko, wodę lub coś, co wyglądało jak sok. Nowi otrzymali miejsca na narożnikach stołu, obok staruszków, chociaż ich porcje były nieco większe.

– Ci w środku stoją chyba najwyżej w miejscowej hierarchii – zgadł Maksym.

– Wszyscy jesteśmy równi – skwitował bez większego przekonania siedzący obok starzec. – Ci, którzy najciężej pracują, fizycznie albo umysłowo, dostają po prostu więcej jedzenia, żeby mieć siły.

– No tak. Każdemu według potrzeb – skwitował Maksym.

– Ciekawe jak skończy się proces tego całego Jakowskiego? – zaczął nieśmiało Dymitr.

– Sprawiedliwie – orzekł z nienawiścią w głosie siedzący obok niego człowiek.

Dymitr dyskretnie wymienił z Maksymem znaczące spojrzenia, powstrzymując się od dalszych komentarzy. Zamiast tego skupił się w pełni na swoim talerzu, który szybko opróżnił i dokładnie oblizał. Sanocka kuchnia była miłą odmianą po głodowych racjach spożywanych w drodze z Rzeszowa, a przecież jak na razie otrzymali tylko najskromniejsze przydziały. Dla kogoś z jego krzepą, w tym mieście nie brakowałoby jedzenia. Łapiąc się na tym, że zaczyna marzyć o dłuższym pobycie, zagadnął leciwego sąsiada:

– Nieźle się tu urządzaście.

– Jedność buduje – odpowiedział frazesem miejscowy. – Pod koniec lata jest jeszcze lepiej z żywnością, a podobno w tym roku będziemy mieć pierwsze żniwa.

– Chciałbym znów spróbować chleba – dodał ktoś.

– Głupi, nam starym przecież nie dadzą. Dobrze, że chociaż karmią dobrze, a przecież nic ważnego nie robimy nawet.

– Może tylko kawałek, na spróbowanie...

– Kiedy będzie sąd Jakowskiego? – spytał nagle Dymitr, darując sobie chwilowo ostrożność.

– Niedługo spotka go sprawiedliwość! – usłyszał w odpowiedzi i poczuł na sobie kilka podejrzliwych spojrzeń.

Złowrogie pomruki siedzących nieopodal ludzi potwierdziły podejrzenia co do losu naukowca. Cokolwiek zrobił ten człowiek, dla lokalnej społeczności był już skreślony. Pozostało mieć tylko nadzieję, że mimo wszystko sanoczenie nie posuną się do wymierzenia najwyższego wymiaru kary. Ustawiony w rogu pomieszczenia gong, również wyglądający na element mieszczącego się niegdyś w zamku muzeum, zabrzmiał donośnie, obwieszczając koniec kolacji dla mężczyzn. Ich miejsce zajęły teraz kobiety, które po zjedzeniu swoich porcji miały za zadanie pozmywać po wszystkich. Dymitr zastanawiał się, jak dalece jeszcze sięgają mizoginistyczne zwyczaje tutejszej społeczności konsekwentnie i z zapalem niszczącej zdobycze równouprawnienia płci. Przezornie nie zdradzając nikomu swoich myśli, wraz z resztą mężczyzn wyszedł na dziedziniec. Ruszył przed siebie z zamiarem dyskretnego wyluskania z tłumu Maksyma i porozmawiania ze starym na osobności, gdy ktoś powstrzymał go, kładąc dłoń na ramieniu.

– Jak minął ci dzień? – spytał swoim flegmatycznym tonem Jarosław. Tak, jak mi zaplanowałeś – pomyślał Dymitr, na głos odpowiadając:  
– Spokojnie. Trochę sprzątań, przenoszenia jakichś pakunków...  
– Nie martw się, otrzymasz przydział pracy odpowiedni dla twojej postury.

– Dziękuję.

– Dla twoich przyjaciół też coś znajdziemy.

– Naturalnie.

– Tak... – mruknął zbity z tropu mężczyzna. – W takim razie do zobaczenia jutro.

– Czy nasze pokoje są już otwarte?

– Spokojnie, wasze rzeczy są bezpieczne. Ktoś przekaże wam klucze zaraz po modlitwach i sądzie.

– Doskonale.

Jarosław skinął głową na znak pożegnania. Dymitr odpowiedział tym samym, szczęśliwy, że ten dziwny człowiek dał mu już spokój. Musiał jak najszybciej znaleźć Maksyma, który zniknął gdzieś w tłumie. Wodząc wzrokiem za twarzą starego, złapał się na tym, że zaczyna przyglądać się bardziej zamkowi, niż ludziom. Kamienna budowla praktycznie w niczym nie odpowiadała potocznemu wyobrażeniu o zamkach. Była to prostokątna bryła pozbawiona wieżyc, blanków i innych, znanych z filmów zamkowych „akcesoriów”. Nad czerwonym, spadzistym dachem wznosiły się cztery ceglane kominy, z których wydobywał się dym.

– Ciekawe ile razy był przerabiany? – spytał bez większego zainteresowania Maksym, który wyrósł nagle tuż obok Dymitra.

– Nie wiem, ale wygląda na solidny.

– I paskudny.

– Myślę, że jego budowniczym bardziej zależało na tym, żeby był wytrzymały, niż ładny. Życie to nie film.

– Fakt. Postapokalipsa na żywo jest nużąca. Może gdyby był prąd...

– Jakby był, to narzekałoby się na coś innego. Chodź.

Mężczyźni oddalili się od tłumu, żeby swobodnie porozmawiać, ale kilka osób ruszyło ich śladem, prowadząc ze sobą głośne, sztucznie brzmiące rozmowy.

– Nie chcę, żebyśmy byli sami – wyszeptał z goryczą Dymitr.

– Zauważ, że tu wszyscy stoją nienaturalnie blisko siebie, zawsze na widoku innych – odpowiedział Maksym, milknąc, gdy grupka zbliżyła się na odległość metra.

Mężczyźni umilkli, odwzajemniając uśmiechy, jakimi obdarzyli ich autochtoni. Nie chcąc niepotrzebnie skupiać na sobie uwagi, co i tak miało miejsce z racji ich ubioru, przestali szeptać. Zamiast tego wdali się w uprzejmą konwersację o niczym z innymi mężczyznami, czekając na dalszy rozwój wypadków. Po pewnym czasie z zamku zaczęły wychodzić zmordowane pracą kobiety, a niedługo potem od strony rynku dobiegł dźwięk dzwonu. Tłum zafalował, energicznie ruszając przed siebie, jak gdyby dzwon miał jakąś magiczną właściwość sprowadzania do siebie wszystkich ludzi, którzy usłyszeli jego donośny ton. Mieszkańcy Sanoka szybko wypełnili rynek, i zastygli w oczekiwaniu. Dzwon wówczas odezwał się po raz drugi, sprawiając, że wszyscy uklękli. Dymitr, gniewnie zaciskając wargi, również ugiął kolana, rozglądając się na boki w daremnym poszukiwaniu Judyty.

– Tak oto kończy się kolejny dzień – dobiegł go doniosły głos Jarosława. – Zjednoczeni pracą, spełnialiśmy dziś powierzone nam obowiązki. Teraz prosimy, jak zawsze, naszego Pana o wybaczenie i dziękujmy mu za to, że pozostawiając nas przy życiu, dał nam szansę pokazania Mu naszej wartości. Panie, pod jakąkolwiek ukrywałeś się postacią, jakimkolwiek wzywaliśmy Cię imieniem w wielkim morzu wyznań, wybac nam nasze grzechy i racz przychylnie spojrzeć na nasze życie, jakie więdziemy w ruinach ziemi, nad którą nie byliśmy godni dłużej panować. Amen!

Gromkie „AMEN” przetoczyło się przez tłum, prawdziwy, liczący setki osób tłum. W tej masie ludzkiej było coś jednocześnie swojskiego i przerażającego. Wspomnienie dawnego życia, zatrute jadem wyraźnego skojarzenia z gawiedzią czekającą na krwawy spektakl. Tymczasem ludzie zaczęli już wstawać z klęczek, lecz nikt nie ruszał się jeszcze z miejsca. Zapanowała atmosfera oczekiwania, a zewsząd rozległy się szepty, spośród których dało się wyłowić pojedyncze słowa: „zdrajca”, „sprawiedliwość”, „herezja”, „Jakowski”.

– Zjednoczeni mieszkańcy Sanoka i wy, przybysze, których gościmy!  
– zaczął Jarosław stojący przed tłumem, wykorzystując fontannę jako trybunę. – Nadszedł czas na sąd!

Dymitr brutalnie przecisnął się do przodu, szybko znajdując się w pierwszym rzędzie naprzeciw rozentuzjzmowanego mówcy, i najwyraźniej również sędziego, obok którego stał starszy mężczyzna z gęstą, brązowo-siwą brodą, ubrany tylko w przetarte, granatowe bokserki.

– Jakubie Jakowski, dziś poznasz nasz werdykt! – zapowiedział Jarosław. – Ja, jako wybrany przez nas wszystkich przedstawiciel, poproszony zostałem o rozstrzygnięcie tej sprawy.

Milczący fizyk stał wyprostowany na baczność, daremnie próbując poluzować wznający się w nadgarstki drut.

– Czy wypierasz się swoich herezji? – zapytał dobrodusznie Jarosław.

– Masz na myśli moją hipotezę, o której nie mogę wspomnieć teraz ani słowem, bo znów będę głodzony?

– Nie trwaj w uporze, wciąż masz szansę być jednym z nas.

– Jestem jednym z was! Urodziłem się w Sanoku i spędziłem tu całą młodość!

– Czy wypierasz się swoich herezji?

– Wiedziałem, że zatrzymanie się tutaj było głupim błędem. Mogłem iść dalej, aż do Megiddo!

Tłum mruknął groźnie.

– Czy wypierasz się swoich herezji?

– Skończmy to.

– Trzykrotnie spytałem cię, w imieniu nas wszystkich, czy porzucasz drogę pychy, a ty zaprzeczyłeś. Brak ci pokory i prawdziwej wiedzy, chociaż szcycisz się tytułem profesora.

– Ludzie! Przecież to nie ma żadnego sensu! Daję wam nadzieję, fakty, naukowe obliczenia! A wy odstawiacie szopkę z hiszpańską inkwizycją!

– Uważaj, co mówisz! – ostrzegł Jarosław. – Nikogo nie interesują twoje szalone teorie.

– Obliczenia, na miłość boską, mam obliczenia! Mam przecież dowody na to, że wciąż jest dla nas, ludzi, szansa!

– Kłamiesz! Ledwie przed momentem mówiłeś o hipotezie, nie masz żadnych dowodów!

– Wystarczy tylko powtórzyć badania, zweryfikować ostatecznie moje twierdzenie, ale ja wiem, że mam rację!

– Gdzie zatem są te obliczenia, pokaż je nam!

– Żebyście je spalili? Nigdy! Dajcie mi odjeść, znajdę miejsce, gdzie dokończę swoje badania.

– On chce iść do Megiddo – krzyknął ktoś z tłumu.

– Zdrajca! Szpieg! – rozbrzmiały inne głosy.

– Spokój! – zarządził Jarosław.

– Dlaczego z taką nienawiścią odrzucacie naukę?! – spytał z rozpaczą w głosie Jakowski, wodząc wzrokiem po twarzach zgromadzonych na

placu ludzi. – Moje twierdzenia można zweryfikować, naukowo potwierdzić, to nie opowieści o staruszku na złotym tronie!

– Błuznierca! – warknęła jakaś staruszka, szczerząc zęby jak wściekły pies.

Jakowski nie powiedział nic więcej, ze zdumieniem obserwując twarz stojącego kilka metrów dalej Dymitra. Zna mnie! – pomyślał Dymitr, z trudem panując nad pokusą rzucenia się na pomoc skrepowanemu naukowcowi. Fizyk odwrócił już wzrok, ale na jego twarzy wciąż widać było wyraz niedowierzania. Drżącym głosem oznajmił:

– Dajcie mi szansę, chcę przemyśleć swoje zachowanie. Wydam wam notatki, chcę spędzić tę noc na modlitwach, zamknijcie mnie znów w ratyszku!

– Nie – oznajmił spokojnie Jarosław, z nieskrywaną podejrzliwością obserwując zmianę zachowania Jakowskiego. – Już raz tak postąpiliśmy, a ty spróbowałeś ucieczki.

– Tym razem...

– Oto werdykt! Możesz odejść, ale – dodał podniesionym głosem, próbując przekrzyknąć pełne niezadowolenia okrzyki ludzi – każdy mieszkaniec ma prawo wymierzyć ci policzek. Oto wola nas wszystkich!

Ktoś stojący obok Dymitra wyrwał się do przodu i podbiegł do więźnia, uderzając go otwartą dłonią w twarz tak energicznie, że nie-szczęśnik zwałił się na bruk. Jarosław przez moment sprawiał wrażenie jakby chciał stanąć w obronie więźnia, ale widok wzburzonego tłumu wymusił na nim nieme przyzwolenie na lincz. Tymczasem Dymitr nie zamierzał czekać, aż Jakowski zostanie skatowany do tego stopnia, że utraci zdolność mowy. Dopadł do leżącego i podniósł go, chwytając pod pachami w taki sposób, by móc wyszeptać mu do ucha:

– Gdzie notatki?

Jakowski wycedził coś ledwo słyszalnie, ponownie przyjmując pozycję wyprostowaną. Dymitr wiedział, że nie było już czasu na powtórzenie pytania, musiał działać. Czując na sobie spojrzenie setek, par oczu wziął potężny zamach i huknął pięścią prosto w skroń bezbronnego naukowca, ponownie powalając go na ziemię. Pewny, iż jeśli nie litościwie zabił, to przynajmniej kompletnie ogłuszył hardego fizyka, wmieszał się w napierający tłum. Wielobarwna masa ludzka stłoczyła się w jednym miejscu, szybko wypływając z siebie trzy niepożądane elementy. Dymitr, Maksym i Judyta znaleźli się nagle poza przypominającą walczące o padlinę sępy ludzką tłuszczą.

– Za mną! – rozkazał Dymitr, dodając ciszej – nad rzekę.

Nagle zniknięcie trójki przybyszów pozostało niemal niezauważone dla zajętych wymierzaniem sprawiedliwości członków zjednoczonej społeczności. Tylko jak zawsze czujny Jarosław odnotował to w świadomości i po chwili namysłu gestem przywołał do siebie kilku stojących najbliższej męzczyzn. W tym czasie „obcy”, nieomal biegnąc, zmierzali w stronę, skąd tego ranka zostali przyprowadzeni na rynek.

– Flufie – powiedział Dymitr.

– Co? – spytał Maksym.

– To właśnie powiedział mi Jakowski, gdy spytałem o notatki. Wypowiedział to najszybciej jak potrafił. Flufie, czyli w lufie, na pewno chodzi o czołg.

– Wracamy po rzeczy? – bez większego przekonania spytała walcząca z zadyszka Judyta.

– Nie, nie wracamy po nic.

– Jak to?! – jęknął stary. – Znów mamy wszystko zostawić?

– Tak, a teraz nie zmieniajcie tego tempa, być może kogoś już za nami wysłali. Ja pobiegnę pierwszy do czołgu.

Męzczyzna przyśpieszył gwałtownie, przechodząc w sprint. Dziewczyna i stary, zgodnie z jego rozkazem, kontynuowali marsz, który nieopatrzenie przerodził się w niezbyt szybki bieg. Zdyszani, dotarli pod czołg kilka minut po swoim liderze, kurczowo ściskającym w dłoni zawinięte w worek foliowy kartki.

– To było w lufie! – oznajmił triumfalnie Dymitr. – To dlatego dziś w nocy Jakowski kręcił się w okolicy, chciał zabrać swoje notatki i uciec!

– Co robimy? – spytała Judyta.

– Właśnie skatowali kogoś, kto to napisał – wyjaśnił z wyższością w głosie Maksym. – To logiczne, że nas spotka to samo. Uciekamy! Dymitr, zostaw to, później poczytasz.

– Tylko zaglądałem – tłumaczył się. – Faktycznie są tam jakieś obliczenia.

– Ktoś idzie od strony miasta! – ostrzegła Judyta.

– Na most! – krzyknął stary.

Grupa rzuciła się do ucieczki, błyskawicznie pokonując most, by stanąć przed dylematem wyboru dalszej drogi. Decyzję podjął Dymitr, ruszając prosto przed siebie. Jezdnia szybko zaczęła piąć się ku górze, zmuszając uciekających do przejścia z biegu w szybki marsz. Mijając stojące po obu stronach drogi jednorodzinne domki, wspinali się coraz wyżej, aż zabudowa stała się rzadsza, a przed nimi otworzyła się mała, zakończona ścianą lasu łąka. Pozbawieni zapasów, w akompaniamencie

coraz głośniejszych okrzyków idących ich śladem ludzi, uciekinierzy wpadli pomiędzy pnie. Zmierzające na spotkanie horyzontu słońce dawało mało światła, którego dostęp blokowały dodatkowo rozłożyste korony drzew. Wybierając drogę na oślep, byle dalej od miasta, rosły mężczyzna, stary i dziewczyna wchodzili coraz głębiej w las, próbując przebić wzrokiem panujący tutaj półmrok.

– Nie zatrzymujemy się – rozkazał stanowczo Dymitr. – Nie zatrzymujemy się!

Trójka ludzi mozolnie kontynuowała swoją morderczą wędrówkę, co chwilę czując na twarzach bolesne uderzenia ledwie widocznych gałązek. Z każdym krokiem zwalniali coraz bardziej, aż nagle, gdzieś niedaleko od nich, rozległo się wycie. Przestraszeni ludzie, instynktownie zbijając się w gromadę, ponownie przyśpieszyli kroku.

\*\*\*

Siedząc okrakiem na grubych konarach kilkanaście metrów nad tonącą w mroku nocy ziemią, uciekinierzy walczyli ze snem. Wataha wilków lub raczej, wedle Maksyma, wygłodniałych psów tłocząca się pod pnem gdzieś się rozpierzchnęła. Pozostał jednak inny wróg, zmęczenie.

– Nie możemy zasnąć – przypomniał, sam nie wiedząc, który już raz Dymitr – bo spadniemy. Do świtu zostało jeszcze ze trzy godziny, wytrzymamy.

– Uhm – odparła sennie Judyta. – Wytrzymamy. Masz tam jaśniej? Siedzisz najwyżej z nas.

– Tak, ale nie widać stąd ziemi.

– Nie o to mi chodzi. Możesz poczytać nam te zapiski Jakowskiego? Niedawno mówiłeś, że poza obliczeniami jest tam jakiś list, ale było za ciemno, żebyś mógł czytać. A teraz chmura już przeszła i świeci księżyc.

– W porządku. Maksym?

– Tak?

– Nic, sprawdzam tylko. Sprawdzajmy się co pewien czas, to nikt nie zaśnie.

Dymitr wydobyl ostrożnie foliowy worek z notatkami i wyłowil odpowiednią kartkę, resztę ukrywając w wewnętrznej kieszeni swojej kurtki. Wsparłszy się wygodnie o pień, wyprostował uzbrojone w notatkę ręce w taki sposób, by wątła kolumna księżycowego światła przebijająca się przez gałęzie padała prosto na nią.

– Zaczynam! – oznajmił z powagą. – Kimkolwiek jesteś, ty, któremu zaufałem...



– Super, z góry założył, że te papiery dotrą do faceta – wtrąciła się Judyta.

– Konstrukcja języka i jego form to odbicie rzeczywistego stanu rzeczy, więc póki co my, mężczyźni, nadal rządzymy – wyrecytował Maksym.

Dymitr odczekał chwilę, by przekonać się, czy spór będzie trwał nadal, ale najwyraźniej obie strony były zbyt zmęczone, żeby kontynuować. Odchrząknął teatralnie i wrócił do przerwanej lektury:

– Kimkolwiek jesteś, ty, któremu zaufałem, miej pełną świadomość, jak cenną rzecz powierzyłem ci w opiekę. Niniejsze obliczenia, dokładne na tyle, na ile pozwoliły mi warunki i sprzęt badawczy, jakim dysponowałem, dotyczą hipotezy, którą postawiłem w jakiś czas po tzw. dniu sądu. Uważam, a potwierdziłem to empirycznie, że katastrofa, jaka spotkała nasz świat, nie ma podłoża mistycznego, lecz jest w pełni możliwe wytłumaczenie jej zajścia w sposób racjonalny, sprawdzalny w toku badań. Nie odwołując się do obliczeń, których wyniki zrozumiałe być mogą jedynie dla kogoś kompetentnego z dziedziny fizyki, ujmę moje wnioski w słowach bardziej przystępnych dla szerszego grona odbiorców. Nie nastąpił żaden dzień sądu bożego, żadna domniemana „siła wyższa” nie skazała naszego gatunku na zagładę! Winę za obecny stan rzeczy ponosi unikalna w dziejach naszej cywilizacji burza słoneczna, której przyczyna nie jest znana. Powstały w wyniku jej przebiegu wiatr słoneczny do tego stopnia spenetrował magnetosferę ziemską, że natychmiastowemu uszkodzeniu uległy wszelkie urządzenia elektryczne wystawione bezpośrednio na jego działanie. Mózgi ludzkie, a w mniejszym stopniu również zwierzęce, zareagowały w podobny sposób, a dobrym przykładem ilustrującym ten fakt jest, znana z życia codziennego, awaria żarówki, przepalonej w wyniku nagłego skoku napięcia.

– Miliardy przepalonych, ludzkich żarówek, oto nowa definicja apokalipsy – powiedział gorko Maksym.

– Tragedia, jakiej doświadczyliśmy – kontynuował Dymitr – nie jest jednak równoznaczna z definitywną zagładą gatunku ludzkiego. Jest nadzieja! Nie jesteśmy ofiarami gniewu boga, przyczyna jest naturalna, nie ma zatem żadnych racjonalnych przesłanek do zaprzestania walki o odnowę naszego świata. Wierzę, że nie jestem jedynym człowiekiem, który doszedł do podobnych wniosków. Gdzieś tam, na świecie, muszą być inni, znacznie zdolniejsi ode mnie ludzie nauki, wyposażeni w znacznie precyzyjniejszy sprzęt niż ten, do którego dałem radę dotrzeć. Istnieją przecież placówki rządowe, zaawansowane laboratoria, nawet na terenie naszego kraju, w każdym większym ośrodku życia

uniwersyteckiego. Za wszelką cenę trzeba zwalczać marazm i zgubne zabobony krepujące ludzkie umysły! Powtarzam, jest nadzieja! Wiara w spełnioną, religijną apokalipsę to jedynie tarcza ochronna ludzkiej psychiki dążącej do wytłumaczenia przyczyny masowej zagłady. Czytelniku! Przekaż moje słowa dalej, nie zatrzymuj ich dla siebie! A jeśli mimo wszystko wierzysz w koncepcję boskiego gniewu, to powołując się na podarowaną przez stwórcę wolną wolę, pozwól ludziom dokonać wyboru tego, w co chcą wierzyć! Jest nadzieja!!! Jakub Jakowski. To wszystko – zakończył Dymitr. – Dalej są już tylko kartki z obliczeniami i objaśnieniami, naukowy bełkot.

– Więc udało ci się – wyszeptał z podziwem Maksym. – Dotarłeś do swojej wieży Babel! Tego szukałeś cały czas, nadziei dla nas wszystkich!

– Jak na razie właściwie nie dotarłem do niczego, siedzimy na gałęziach, w nocy, z watahą jakichś psów, czy tam wilków na karku. Nie wspominając o pogoni z Sanoka. Prawdziwa wieża Babel to Megiddo, musimy tam dotrzeć, przekazać komuś te notatki, jakieś zorganizowanej społeczności. To prawdziwy cel, nie dla mnie, dla nas wszystkich. Cięży teraz na nas wielka odpowiedzialność. Maksym, Judyta, koniec tych waszych pyskówek, ja też będę nad sobą pracował. Musimy wspólnie dać z siebie wszystko, żeby to, co odkrył Jakowski, miało jakąś wartość!

– Ciekawe co się teraz dzieje na świecie? – zamyśliła się Judyta. – Wiecie, w innych krajach, kontynentach. Jeśli to wszystko ma związek ze Słońcem, to może ci na drugiej półkuli, gdzie była noc, mniej dostali w kość?

– Pewnie nigdy się nie dowiemy – wtrącił swoje stary. – Nie jesteśmy żadną nadzieją dla ludzkości. Dymitr ma rację, właściwie nic się nie zmieniło, mamy tylko ważne papiery, które trzeba komuś przekazać. Miną całe lata, zanim nastąpi jakaś zmiana, i pewnie nawet tego nie doczekam. Ale dobrze jest wiedzieć, że teraz chodzi o coś więcej niż nażarcie się i przejście z punktu a do punktu b.

Judyta mruknęła coś w odpowiedzi, ziewając przy tym przeciągle.

– Nie możemy zasnąć – ostrzegł bez entuzjazmu Dymitr – bo spadniemy, pamiętajcie.

– Takie nocowanie na bezpiecznym drzewie przypomina mi scenę z *Parku Jurajskiego* – zaczął Maksym – wiecie, jak ten doktor z dziećmi siedzieli w nocy na drzewie, a potem rano zobaczyli dinozaury z długimi szyjami, jak się pały.

– Ten film widziałam – pochwaliła się Judyta. – Obie części.

– Są trzy – triumfalnie obwieścił stary, dodając szybko: – ale nie martw się, właściwie trójka była taka sobie.

– Byle nie zasnąć – powtórzył Dymitr, czując jak niebezpiecznie ciąży mu powieki.

Słuchając dziwnie spokojnej rozmowy starego i dziewczyny, co pewien czas wtrącał coś od siebie, myśląc już o tym, co czeka ich rano. Znow będą na szlaku, ścigani, bez zapasów, tylko z plikiem kartek, mogących zmienić życie jakiejś grupie ludzi. Muszą jakoś dać radę, wystarczy tylko donieść te opłacone życiem zapiski do Megiddo, do cywilizacji. Nic więcej. Tam się ktoś tym zajmie, a jeśli nie tam, to gdzie indziej. Przecież gdzieś, na wschodzie lub zachodzie, w górach albo nad morzem, musiała istnieć jakaś normalna, racjonalna społeczność, albo chociaż grupa gotowych do działania ludzi. Zawsze gdzieś tacy byli. Nawet w Polsce.

## Rozdział V

Karol niedbałym ruchem dłoni przecesał przeredzoną ponad sześćdziesięcioletnim życiem czuprynę. Dochodziło południe, a już odczuwał wyraźne zmęczenie. Co gorsza, stos zalegających na stylowym biurku papierów nie zwiastował szybkiej przerwy w pracy. Zapowiadał się kolejny, nudny dzień w Megiddo, od rana do wieczora wypełniony przeglądaniem niezdarne sporządzanych raportów i wydawaniem stosownych dyrektyw. Właściwie Dzień Sądu nie zmienił wiele w życiu Karola, które wciąż biegło w otoczeniu papierów, niezmiennie przyspawane do łańcucha decyzyjnego. Wprawdzie teraz stanowił jego drugie ogniwo, ale wciąż musiał liczyć się ze zdaniem i wolą „tego na górze”. Raport za raportem, stempel za stemplem, od białego rana, po zmierzch, a nawet i dłużej. Przed czy po końcu świata, to nie miało znaczenia, jego życiem niezmiennie rządził ten sam biurokratyczny schemat.

– Ciekawe – wymruczał nagle mężczyzna, z zainteresowaniem przeglądając dokument oznaczony jako priorytetowy.

Tego ranka patrol schwytał trójkę wymizerowanych ludzi, dwóch mężczyzn i dziewczynę, podających się za uciekinierów z Sanoka. Przez kilka chwil Karol, swoim zwyczajem, stukał palcem wskazującym w policzek, ważąc w myśli konsekwencje możliwych do podjęcia decyzji. Nagle palec zamarł w połowie drogi do skóry, a dłoń pomknęła ku jednej z szuflad, by sprawnym ruchem wydobyć zeń już ostemplowany, pusty blankiet. Wieczne pióro szybko pokrywało papier rzędem drobnych, starannie wykaligrafowanych liter, a w międzyczasie prawa dłoń szarpnęła za sznurek. Gdzieś za drzwiami rozległ się dzwonek, na dźwięk którego do pomieszczenia natychmiast wpadł młody mężczyzna z głęboko wrytym na twarzy wyrazem wiernopoddańczego posłuszeństwa.

– Dostarcz to do aresztu – rozkazał Karol – a przed wyjściem poproś kogoś w sekretariacie, żeby zaparzył mi miętę.

Sekretarz bez słowa przyjął pismo i wyszedł, z przesadnym pietyzmem zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że jego zwierzchnik nienawidził głośnych dźwięków, a utrata najlepszej w całym Megiddo pracy sekretarza Naczelnego Nadzorczy z powodu trzaśnięcia drzwiami byłaby niewybaczalną głupotą.

– Zaparz szefowi miętę – warknął wzniośle, mijając stolik przyjmującej petycje klientów sekretarki.

Wiedząc, że jego rozkaz zostanie natychmiast wykonany, opuścił budynek administracyjny w kojącym poczuciu dobrze spełnionego

obowiązku, śpiesząc do pobliskiego aresztu. W marszu zerknął na otrzymany dokument składający się tylko z jednego zdania „Schwytaną tej nocy trójkę ludzi przyprowadzić, pod eskortą, do mnie w trybie natychmiastowym!”.

\*\*\*

Dymitr od dłuższego czasu wpatrywał się tępo w zakratowane okno małego pokoiku, do którego wsadzono ich przed paroma godzinami. Maksym i Judyta drzemali, leżąc pośrodku wyłożonej ciemnym parkietem podłogi, mrużąc coś naprzemiennie przez sen. Mężczyzna westchnął żałościwie, odwracając się od okna. Megiddo nie było tym, czego się spodziewał. Poza drewnianą wieżę, na której umieszczono wywieziony z sanockiego ratusza zegar, nie było tutaj żadnej wzniesionej po katastrofie budowli. Zaadaptowano jedynie już stojące domy, które z niewiadomych przyczyn pomalowano na różne, krzykliwe kolory. Ten, do którego ich doprowadzono, był jaskrawoczerwony i zajęty przez miejscowe służby porządkowe, albo rodzaj wojska. Nie wiadomo dokładnie, kim byli ci uzbrojeni, ubrani w pozbawione naszywek dawne mundury policyjne ludzie. W drzwiach szczerknął klucz i po chwili na progu stanął jeden z „wojskowych”, rozkazując władczym, lecz pozbawianym wrogości głosem:

– Wstawać! Idziecie spotkać się z Naczelnym Nadzorcą.

Dymitr bez słowa ruszył powoli w stronę wyjścia, pomagając rozespanej dwójce towarzyszy podnieść się z podłogi. Na korytarzu czekała już na nich eskorta złożona z kilku uzbrojonych w krótką broń mundurowych. Grupa ruszyła nieśpiesznym marszem. i po chwili znalazła się na zewnątrz, zmierzając w stronę położonego kilkaset metrów dalej dwupiętrowego, pomalowanego w czarno-czerwone pasy domu o zakratowanych oknach. Przed wejściem do budynku stało dwóch rostrych, uzbrojonych w przypominające nieco kałasznikowy karabiny maszynowe strażników, którzy wymienili pozdrowienia z eskortującymi więźniów kolegami. Na masywnych drzwiach wejściowych widniał starannie wykaligrafowany napis „Administracja”. Wnętrze rzeczywiście przypominało urząd. Każdy mijany pokój posiadał swój numer, a na biurkach stały wykonane z blachy tabliczki z podpisami w rodzaju „Zaopatrzenie”, „Zatrudnienie”, „Przydziały”. Niektóre przejścia zostały zamurwane tak, iż by dojść do schodów prowadzących na drugie piętro, należało wcześniej przejść wszystkie pomieszczenia na parterze. Pokoje na

piętrach również przebudowane zostały w ten sposób, żeby wymusić przechodzenie ich po kolei, co Maksym skomentował słowami:

– Zupełnie jakby człowiek wszedł w paszczę biurostwora i wędrował jego jelitami, aż do...

– Zamknij się – upominała starego Judyta.

Dymitr chciał już włączyć się do rozmowy, ale nagle cały kordon zatrzymał się tuż przed drzwiami na których widniał napis „Naczelny Nadzorca”. Jeden ze strażników z niezbyt pewną miną zapukał energicznie, wołając:

– Przeprowadziliśmy więźniów!

Wychodzący ze ściany sznurek podpięty do sporych rozmiarów wiszącego nad drzwiami dzwonka naprężył się, wprawiając instrument w ruch. Grupa weszła do środka, wymuszając na więźniach, by stanęli w szeregu naprzeciw załadowanego papierami biurka, nad którym pochylał się starszy mężczyzna o niezbyt przyjaznej fizjonomii popijający z kubka jakiś ziołowy napar o intensywnej, swojskiej woni.

– Witamy w Megiddo! – zaczął Karol, podnosząc się z miejsca, by ruszyć w stronę obcych. – Jestem Karol. Czy mogę poznać wasze imiona?

– A co jeśli powiemy, że nie? – spytał Maksym.

– Jestem Dymitr, a to Judyta i Maksymilian.

– Maksym – sprostował stary. – Wołę skrótem.

– Maksym i Maksymilian to dwa różne imiona – zauważył Karol.

– Wiem.

– Zabawne, nikt już teraz nie używa nazwisk, nie wiem dlaczego.

– Na pewno ma to jakieś socjopsychologiczne uzasadnienie – odparł Maksym.

– Nie chcemy sprawiać kłopotów – wtrącił się Dymitr. – Szukamy tylko schronienia. Byliśmy w Sanoku, ale...

– Rozumiem – uciął Karol. – Myślę, że straż nie będzie nam już potrzebna, nie jesteście przecież więźniami. To wszystko – zwrócił się do mundurowych – dziękuję panowie.

Mężczyźni zasalutowali, z ulgą opuszczając pomieszczenie. Dymitr zauważył, że od chwili wejścia do biura Naczelnego Nadzorcy każdy z nich sprawiał wrażenie spiętego. Najwyraźniej Karol musiał być również zwierzchnikiem lokalnych służb porządkowych. Kimkolwiek był ten człowiek, prawdopodobnie w tym miejscu jego słowo było prawem.

– Sanok – zaczął Naczelny Nadzorca. – Pochodzę stamtąd, podobnie jak większość mieszkańców Megiddo. Ale jest u nas miejsce również dla

przybyszów z innych rejonów. Nie pytamy, skąd ktoś jest i dlaczego trafił tutaj, ważne jest tylko to, czy potrafi się dostosować.

– Rozumiemy – przytaknął Dymitr.

– W Sanoku widzieliście dużo dobrze uzbrojonych ludzi, pewnie nawet nie weszliście do właściwego miasta w obawie przed rządzącymi tam fanatykami, prawda? – raczej stwierdził, niż spytał Karol.

– Tak – wtrącił się Maksym. – Tak właśnie było.

Karol obdarzył rozmówcę pełnym aprobaty uśmiechem, zapewniając:

– Rozumiem waszą sytuację. Każdy tutaj WIE, co dzieje się w Sanoku. Jak niebezpieczne jest to miejsce. W przeciwieństwie do Megiddo. TRZEBA to podkreślać. My żyjemy tutaj spokojnie, w godnych warunkach, wysilając się w realizowaniu wizji – zaczął recytować – naszego duchowego przewodnika, Architekta. Wznosząc solidarnie nową wieżę Babel, stawiamy Bogu wyzwanie, którego nie może zignorować.

Dymitr poruszył się niespokojnie, powstrzymując się przed wystrzeżeniem salwą pytań dotyczących wieży.

– Wróćcie teraz do budynku naszej straży publicznej. Spędzicie resztę dnia w pomieszczeniu przejściowym, taką mamy procedurę wobec potencjalnych nowych członków naszej społeczności. Dostaniecie obiad, podwójną porcję jako rekompensatę za stracone śniadanie i kolację, oraz obszerne materiały informacyjne dotyczące Megiddo. Wieczorem podejmiecie decyzję, czy chcecie tutaj zostać. W takim wypadku czeka was dwutygodniowy okres próbny przed oficjalnym przyjęciem do naszej społeczności i wyrobieniem stosownych dokumentów, czegoś w rodzaju dowodów osobistych. W tym czasie posługiwalibyście się dokumentami czasowymi. To wszystko.

Karol szarpnął za zwisający z sufitu sznur. Nim przebrzmiał dźwięk dzwonka do środka wszedł już młody mężczyzna, który towarzyszył Dymitrowi i jego grupie w drodze z aresztu.

– Sekretarzu, zainicjuj dla tych ludzi tryb wprowadzający. To wszystko. I dziękuję za miętę.

Urzędnik ruszył w stronę drzwi, gestem nakazując, by przybysze ruszyli za nim. Gdy wyszli na korytarz przystanął na moment, by zmierzyć pełnym czystej nienawiści spojrzeniem Maksyma, który wychodził jako ostatni i solidnie trzasnął za sobą drzwiami. Służbista, wciąż milcząc, ruszył ku schodom, odtwarzając w myśli przebieg stosownej procedury. Po raz pierwszy od dwóch lat w Megiddo pojawił się ktoś nowy, należało więc wszystko dokładnie załatwić, bo na pewno będą mu patrzeć na ręce. Szczególnie po tym, jak ten stary idiota trzasnął

drzwiami. Trzaśnięcie drzwiami! Taki afront wobec szefa! Ach! Zły dzień, zły dzień – powtarzał w myśli spanikowany sekretarz – a zapowiadał się tak pięknie!

\*\*\*

W „pomieszczeniu gościnnym” czas płynął nieznośnie powoli, chociaż, wyposażony w kanapę i kilka foteli oraz masywny stół, pokój dawał pewne poczucie stabilizacji. Ciepły posiłek również podniósł morale grupy, ale świadomość, że za uchylonymi drzwiami znajdował się uzbrojony strażnik przypominała im, w jakim położeniu się znaleźli. Niezależnie od uspokajających słów Karola, byli po prostu więźniami. Co gorsza, do kolacji zostało jeszcze kilka godzin, a w tych okolicznościach swobodna rozmowa nie wchodziła w grę, zatem jedyną możliwością wypełnienia wolnego czasu było mozolne studiowanie dostarczonej im broszury, jak określono zszyty grubą nicią, wyświechtany maszynopis. Dokument wzbudził szczególne zainteresowanie Maksyma, który z podziwem stwierdził:

– Że też im się chciało! Prawdziwy przewodnik, sympatyczna propagitka!

– Co tam znów wyczytałeś? – spytała bez większego zainteresowania Judyta.

– A na przykład to, dlaczego domy tutaj są pomalowane w różne kolory. Żółte budynki są związane z nauką, między innymi mają tutaj bibliotekę ze zbiorami zabranymi z Sanoka. Pomarańczowy to rozrywka. O! Jest nawet jakiś bar! He he, nazwali go Jubilat. No dobra, czarny to administracja, czerwony służby porządkowe. Różowy... Dom schadzek. Ha!

– Pokaż to – wtrącił się Dymitr.

– Zaraz. Myślę, że do wieczora musimy to pilnie przestudiować, tutaj jest wszystko, zasady panujące w mieście, opis życia, zwyczajów i tym podobne. Ogólnie ostra propaganda, ale sporo można się dowiedzieć. Na przykład każdy dostaje jakby przydział mieszkaniowy blisko przydzielonego miejsca pracy. Mają pralnię, kuchnię, jakieś proste punkty usługowe. To naprawdę najlepiej zorganizowana społeczność, jaką widziałem od czasu katastrofy. Na koniec jest nawet mini rozdział o wieży.

– Daj – powtórzył mężczyzna.

– Już, już.

– Maksym...

– Dobra, łap.



Stary rzucił broszurą w stronę rozmówcy, zwracając się przy tym do Judyty:

– Pójdziemy potem zwiedzić dom schadzek?

– Lepiej chodźmy do tej tamy, którą mijaliśmy, chętnie popatrzę, jak uczysz się latać.

– Swoją drogą, ciekawe ile jeszcze wytrzyma – zastanowił się Dymitr, wertując broszurę. – Na pewno po pięciu latach bez konserwacji jej konstrukcja jakoś osłabła.

– I tak założyli to swoje niby miasto przy zalewie, więc w razie czego fala zaleje opuszczoną wioskę na dole, a nie te tereny – stwierdził stary.

– Chociaż podobno to zarybiony akwen, więc straciliby dobre łowisko.

– Ciekawe, co tu hodują? – zastanowiła się dziewczyna.

– Pisali, że pstrągi. Może nawet dostaniemy jednego na kolację – rozmarzył się Maksym.

– Naprawdę ją budują – oznajmił bez związku z tematem Dymitr, dodając po chwili w ramach wyjaśnienia – wieżę. Babel. W pobliżu jest kamieniołom, obok którego wznoszona jest wieża. Ten cały Architekt wyprowadził wszystkich chętnych ludzi z Sanoka właśnie w tym celu, żeby rzucić Bogu wyzwanie, na które ten będzie musiał odpowiedzieć.

– Ego ma facet niezłe – skwitował stary. – Ciekawe jak idzie budowa w takich warunkach?

– Nie napisali. Przewidywanych rozmiarów też nie, chyba po prostu chodzi o samą budowę. W każdym razie przekonamy się o tym już niedługo. Zostajemy tutaj – dodał na wypadek, gdyby pozostały co do tego jakiegokolwiek wątpliwości.

– To dobrze – powiedziała sennie Judyta. – Prześpię się na kanapie, obudźcie mnie na kolację, jeśli bym do tego czasu nie wstała.

Mężczyźni jednocześnie burknęli niewyraźne „mhm”, przysiadając się do stołu, by wspólnie czytać broszurę. W tym obskurnym zeszyciku było coś, co przyciągało ich uwagę, i nie była to jedynie treść. Ktoś wykonał go już po katastrofie, by starannie opisać funkcjonowanie nowej społeczności. Mimo oczywistego wydzwisku propagandowego, z przedstawianych faktów wyłaniał się obraz Megiddo jako miejsca, gdzie wartości i styl życia „starego świata” wciąż były kultywowane. Po ciężkim dniu pracy można było iść do knajpy, poczytać książkę albo obejrzeć organizowane co pewien czas przedstawienia teatralne. Działał nawet mały zespół muzyczny. Zegar odliczał czas, a inżynierowie i inni ludzie nauki dbali o stały wzrost poziomu życia. Posługiwano się nawet kalendarzem, który w żaden sposób nie uwzględniał dnia katastrofy, zupełnie

jakby nigdy nie miała ona miejsca. Podobno korzystano też z prostych silników parowych, a we wspólnych łaźniach w wyznaczonych godzinach puszczano ciepłą wodę. Prócz ryb hodowano trzodę chlewną, bydło, ptactwo, w planach była również uprawa roli. Chemicy wytwarzali środki czystości, a...

– Dosyć! – warknął Dymitr i gwałtownie zamknął broszurę, ciskając ją w kąt pokoju.

Bolesna tęsknota za tym wszystkim, co utraciła ludzkość, nieomal doprowadziła go do wybuchu ślepej furii. Czuł napływające do oczu łzy radości, czytając o tym, że będzie mógł namydlić się pod strumieniem ciepłej wody, a w tym czasie cały świat był jednym wielkim cmentarzyskiem. Zupełnie jakby ktoś wyłupił mu oko, odciął wszystkie kończyny, wyrwał język i przebił bębrenki w uszach, pozwalając jedynie wpatrywać się w fotografię przedstawiającą go w czasach przed okaleczeniem. Wędrując wśród ruin cywilizacji, w nieustającej walce o przetrwanie łatwo można było zapomnieć o wszystkim, poza potrzebą napełnienia brzucha. Megiddo natomiast przypominało o poniesionej stracie, w zamian oferując trzy posiłki dziennie, namiastkę starego życia oraz dziwaczy cel do zrealizowania. Nic więcej. Żadnej nadziei na przyszłość, aż do dziś. Teraz pojawił się on. Dymitr z dzieciinną satysfakcją pomyślał o posiadanych notatkach, oczyma wyobraźni kreując się na nowego Prometeusza, który przyniósł zdruzgotanej ludzkości isierkę nadziei. Zerknął ukradkiem w stronę Maksyma. Stary ukrył twarz w trzęsących dłoniach i najwyraźniej również doświadczył tego samego poczucia straty, jakie przed momentem przytłoczyło jego towarzysza.

– Będzie dobrze – obiecał Dymitr, klepiąc przyjaciela po ramieniu.  
– Widzisz, jak tu wszystko jest dobrze zorganizowane. To – wyszeptał – dobra podstawa do obudowy. Zadomowimy się tutaj, pokażemy komu trzeba notatki, będzie dobrze. Będzie dobrze, na pewno – powtórzył, jakby te słowa miały jakąś magiczną moc i należało je wypowiedzieć jak zaklęcie.

Maksym skinął zdecydowanie głową, ruszając w stronę broszury, którą podniósł z podłogi. Na szczęście była cała. Obaj mężczyźni wrócili do przerwanej lektury, czując jakby obcowali z nową ewangelią, która zamiast profetycznych wizji lepszego jutra opisywała to, co z tych pokrzepiających wizji już się spełniło. Żaden z nich nie chciał jeszcze myśleć o tym, w jakim stopniu rzeczywistość różniła się od tego, co na jej temat napisano w sporządzonych przez władców tego miejsca „materiałach informacyjnych”. Na zawiedzione nadzieje przyjdzie

jeszcze stosowna pora, tymczasem obaj skwapliwie pozwolili sobie na dawno zapomniany luksus – marzenia.

Megiddo nie rozczarowało trójki swoich nowych, tymczasowych, mieszkańców tak bardzo, jak się tego skrycie obawiali. Wszystkie miejsca, zwyczaje i udogodnienia opisane w broszurze rzeczywiście znajdowały potwierdzenie w rzeczywistości, chociaż ich skala była mniejsza. Czytając opis tego miejsca ktoś mógłby śmiało założyć, że dotyczy on życia co najmniej kilkutyśięcnej społeczności, podczas gdy rzeczywistość liczbą mieszkańców wahała się w okolicy pięciuset. Podczas pierwszych dwóch dni, nowi pozostawali pod ścisłą opieką przydzielonego im urzędnika, który oprowadzał ich po budynkach „użytku cywilnego” i udzielał wszelkich niezbędnych, jego zdaniem, informacji. Otrzymali również poświadczoną pieczęcią Karola czasowe dokumenty z ich rysopisami, uprawniające do pobierania posiłków oraz innych świadczeń. Maszyna biurokratyczna miała się tutaj świetnie, a każdy aspekt życia był dokładnie określony przez stosowną ustawę. Nawet dom schadzek, który niezmiennie intrygował Maksyma, podlegał tym normom. Każdy chętny do uprawiania miłości był zobligowany bezpłatnie zarezerwować pokój na określonej godzinę, z której pierwsza była darmowa, a każda kolejna kosztowała nieco punktów. Punkty były w Megiddo niczym innym, jak pieniędzmi, chociaż nigdzie nie padało to słowo, a wszelkie rozliczenia były dokonywane w stosownych zeszytach, więc nikt nie otrzymywał do ręki żadnego symbolu „punktów”, chociaż mógł na bieżąco sprawdzać ich poziom. We właściwym biurze, rzecz jasna. Gąszcz przepisów był mimo wszystko czynnikiem zespalającym to miejsce w jedną, sprawnie funkcjonującą maszynę, do której teraz należało umiejętnie wprowadzić nowe tryby. Trójka przybyszów szybko uzyskała swój przydział pracy. Maksym trafił na pastwisko w charakterze „młodszego pastusza bydła rogatego”, natomiast Judyta skierowana została do kuchni, co przyjęła z jawną pogardą. Dymitr, na własne życzenie, otrzymał przydział jako pracownik fizyczny w kamieniołomach. Rankiem, trzeciego dnia po oficjalnym przeprowadzeniu się do różnych budynków mieszkalnych, co równoznaczne było z – być może celowym – roz biciem jedności ich grupy, cała trójka wyruszyła do pracy. W piątek, dwudziestego czwartego maja, oficjalnie rozpoczęło się ich nowe życie w Megiddo.

\*\*\*

Niemіłosierny żar od samego rana dawał się mocno we znaki pokrytym pyłem, muskularnym mężczyznom. Złany potem Dymitr

wytrwale uderzał masywnym młotem w osadzony w litej skale klin wykonany z kilku stopionych ze sobą prętów zbrojeniowych. Charakterystyczny trzask pękającej skały sprawił, że mężczyzna uśmiechnął się szeroko, podziwiając jak wielka bryła kamienia, w otoczeniu kilku mniejszych, spada z łoskotem na ziemię. Jego zadanie było skończone, dalsza obróbka dostarczanych przez robotników skał należała do kamieniarzy. Nie wiedział, dlaczego Architekt nakazał właśnie ten sposób pozyskania budulca, zamiast wykorzystać cegły lub inne materiały budowlane, które zapewne można było znaleźć w okolicy, lub w ostateczności pozyskać z już istniejących budynków. Jednak już te pierwsze kilka godzin pracy w tym miejscu nauczyły go, że zadawanie pytań nie jest mile widziane. Ocierając pot z czoła, ruszył w stronę skupiska wypełnionych wodą beczek, ustawionego w pewnej odległości od miejsca pracy. Podniósł jeden z leżących na ziemi blaszanych kubków i zachłannie wlał do przesuszzonego gardła porcję życiodajnego płynu. Powtórzył tę czynność jeszcze dwa razy, nim ruszył do swojego stanowiska, pamiętając o radzie, której rankiem udzielili mu inni robotnicy, gdy tylko ich opasły brygadzysta Andrzej z mentalnością nadzorcy niewolników oddalił się na jakiś czas. Nie pracować za ciężko, nie zawyżać innym normy, uważać gdzie leżą skały. To wszystko.

– Ty tam! – zagrzmiał za plecami mężczyzny piskliwy, nieprzyjemny ton Andrzeja. – Jak ci tam było?

– Dymitr.

– Ta, Dymitr. Nowy. Widzę, że masz przerwę.

– Poszedłem napić się wody.

– I masz do tego pełne prawo, dobrze sobie radzisz, masz krzepę! Chodź, pomożesz z załadunkiem.

Dymitr jęknął w duchu, posłusznie idąc za swoim szefem w stronę prostego dźwigu budowlanego. Z maszyny wymontowano silnik i zastąpiono go kołowrotkiem sprzężonym ze zwijarką metalowej linki zwieńczonej hakami, do którego podczepiono małą sieć rybacką, szczelnie wypełnioną odłamkami większych skał. Nieopodal stała przyczepa samochodowa, do której zaprzężono krępego konia. Koń stał spokojnie, najwyraźniej dobrze zaznajomiony z procedurą załadunku.

– No więc tak – tłumaczył protekcyjnym tonem brygadzysta Andrzej – ty kręcisz korbą, woźnica podstawia przyczepę, potem delikatnie opuszczasz. Jasne?

– Kołowrotek ma korby po obu stronach, mam wciągać sam?

– Poradzisz sobie, silny jesteś!

- Nie na tyle.
- No już, wciągaj!

Dymitr, widząc, że opór nie ma najmniejszego sensu, zajął pozycję przy korbie, wyciągając mięśnie w morderczym wysiłku. Pierwszy etap załadunku przebiegł nadzwyczaj sprawnie, sieć ze skałami uniosła się nad ziemię, a przyczepa szybko znalazła się tuż pod nią. Wtedy właśnie nadwyrężone siły mężczyzny zawiodły, puścił korbę, odskakując do tyłu, by uniknąć strzaskania rąk, nad którymi na pewien czas utracił jakąkolwiek kontrolę. Były po prostu przepelnionymi bólem kawałkami zwisającego po bokach tułowia mięsa. Tymczasem ładunek z ogłuszającym hukiem zwałił się wprost na przyczepę z wysokości dwóch metrów, naturalnie łamiąc jej zawieszenie. Spłoszony koń wyrwał do przodu, z trudem ciągnąc za sobą pozbawioną kół skrzynię. Woźnica natychmiast skoczył za nim, wszelkimi znanymi sobie metodami próbując uspokoić zwierzę. A Andrzej oszalał. Jego twarz poczerwieniała, a wielki brzuch dygotał, jak ciśniecia o podłogę galareta.

- CO TY, KURWA, ZROBIŁEŚ?! - wrzeszczał, z niewiadomych przyczyn energicznie przebierając z nogi na nogę. - Przyczepa poszła w drzazgi!

- ANDRZEJ! - rozległ się czyjś pełen nienawiści krzyk.

Do przerażonego brygadzysty i rozcierającego ramiona Dymitra podbiegł jakiś mężczyzna, którego zachowanie sugerowało, że to on sprawował pieczę nad pracą w kamieniołomach.

- Panie kierowniku... - zaczął niepewnie Andrzej - ten nowy...

- Cierpliwie znoś swoją niekompetencję od kiedy tylko jakimś cudem zostałeś brygadzystą! To, że cię ludzie nienawidzą, to trudno, opóźnienia też rozumiem. Ale w ciągu pół roku DRUGI RAZ rozwalić przyczepę?! Tego już nie rozumiem! Najpierw, kretynie, dałeś za słabych, teraz tylko jednego.

- Silny...

- Widzę, że silny! Dwóch takich i załadunek szedłby jak ta lala, DWÓCH! Koniec z tobą, w trybie natychmiastowym zwalniam cię z obowiązków, bierz młot i idź łupać, a twoją brygadą czasowo zajmie się Tomek. A ty - zwrócił się do Dymitra - idź do punktu medycznego i zostań tam do przerwy obiadowej, potem wracasz do pracy! I nie przejmuj się - dodał łagodniejszym tonem. - Nie twoja wina, nikt by tego nie utrzymał. Cud, żeś to w ogóle sam wciągnął.

Kierownik obrzucił zniszczoną przyczepę ostatnim, smutnym spojrzeniem i odszedł. Dymitr popatrzył w ślad za nim, przenosząc na chwilę

wzrok ku Andrzejowi. Mężczyzna miał lzy w oczach i sprawiał wrażenie, jakby nie do końca zrozumiał to, że właśnie utracił swoje ukochane stanowisko. Milcząc, ruszył ospale w stronę stoku, skąd dobiegły go szyderstwa i wyzwiska ze strony byłych podwładnych. Tymczasem rozległ się donośny dźwięk małego dzwonu zawieszonego na zrujnowanej, betonowej konstrukcji, wchodzącej niegdyś w skład infrastruktury kamieniołomu, na długo przed katastrofą. Wszyscy robotnicy westchnęli z ulgą. Dobrze znali ten sygnał, do błogosławionego obiadu zostało jeszcze dwie godziny.

\*\*\*

Ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały do wnętrza obszernego, pomalowanego na pomarańczowo domu. W piątkowy, pogodny wieczór bar Jubilat pełen był ludzi, gotowych zamieniać swoje ciężko zarobione punkty na wszelkiej maści samogon lub dania niedostępne w standardowej ofercie wyżywienia dostarczanego przez władze. Wyczerpany Dymitr siedział z głową opartą na dłoni, drugą ręką chaotycznie wystukując na blacie drewnianej ławy jakiś dziwaczny rytm. Był zły na Maksyma, który namówił go na wizytę w tym miejscu, i na siebie, że posłuchał. Siedząca obok nich Judyta również wyglądała na lekko znudzoną, lecz jej spojrzenie zdradzało znacznie większe zainteresowanie tym miejscem, niż chciałaby to przyznać. Każdy z pokoi w parterowym domu urządzone zostały w innym stylu i wyposażony w prawdziwą ladę barową, przez co Jubilat można było traktować raczej jako kompleks barowy, niż pojedynczy lokal. Siedząc w jego wnętrzu, naprawdę można było zapomnieć o tym wszystkim, co zostało za progiem. Zupełnie jakby świat nigdy się nie skończył. Po prostu nadszedł koniec kolejnego tygodnia pracy, co oznaczało początek beztróskiego weekendu. Grupa zajmowała obecnie salę wystylizowaną na wnętrze średniowiecznej karczmy, przy czym ktoś, kto projektował to miejsce miał raczej mocno mgliste pojęcie, czym właściwie były wieki średnie. Chociaż, patrząc na niektóre stojące w kątach eksponaty, można było dojść do wniosku, że nieznany dekorator i tak zadał sobie na tyle trudu, by obrabować jakieś muzeum.

– Szkoda, że nie mamy jeszcze żadnych punktów – poskarżył się Maksym.

– Tym bardziej nie widzę sensu siedzenia tutaj. Jedyne, co możemy dostać, to woda. Jestem zmęczony, cały dzień tyrałem przy skałach jak niewolnik.

– Już to mówiłeś. Poza tym możesz sobie wyobrażać, że jesteś Spartakusem, wyczekującym okazji do zwrócenia ludziom wolności.

– Zabawne... Lepiej powiedz, jak spisały się twoje łaciate przyjaciółki?

– Krowy są super! A poza tym nie mają lat, to rasa simentalska – dodał ze znanstwem stary.

Judyta uśmiechnęła się pod nosem, słuchając niedbałej rozmowy mężczyzn, zwłaszcza że w pewnym momencie Dymitr nieświadomie wykonał ręką gest, jakby chciał podnieść kufel. Przypominając sobie gdzie jest, spochmurniał, z żalem kładąc dłoń na pustym blacie. Czy tak właśnie wyglądało ich życie przed katastrofą? Zabawa od piątku do niedzieli, potem kilka dni harówki i ponownie chwila wytchnienia?

– Hej! Judyta – zagadnął Dymitr – a jak tobie minął dzień?

– W porządku. Tylko przypomniało mi się, jak matka ciągle mi mówiła, że mam się uczyć, bo inaczej skończę przy garach. W szkole zawsze miałam średnią grubo powyżej czterech, a i tak zmywam gary. Więc ostatecznie wyszło na moje, lepiej by było, gdybym wtedy po prostu żyła po swojemu.

– Właściwie już za tydzień dostaniemy pierwsze punkty, będzie można się napić – powiedział bez związku z tematem Maksym. – Jeszcze tylko tydzień...

– Przez ten weekend będzie trzeba odwiedzić bibliotekę – dodał Dymitr. – Dyskretnie podpytać bibliotekarza o to, czy jest tu ktoś, kto dobrze zna się na fizyce.

Judyta, czując się zignorowana, mruknęła z niezadowoleniem. W tej samej chwili słysząc, jak ktoś przystaje za jej plecami.

– Hej! Znajdzie się dla mnie miejsce?

Nie czekając na odpowiedź, do ich stolika przysiadła się blondynka o przyjaznej, pociągłej twarzy. Kobieta wyglądała na nie więcej niż trzydzieści lat, chociaż drobne kurze łapki w kącikach oczu sugerowały, że mogła być znacznie starsza, niż chciała to pokazać światu. Dymitr nie zdążył dobrze przyjrzeć się jej figurze, lecz tę niewątpliwą stratę zrekompensował mu widok głębokiego dekoltu w prostej, błękitnej bluzce nieznanym jej.

– Jestem Ewa. Znajoma Judyty.

Dziewczyna niedbale spojrzała na twarz intruza, potwierdzając:

– Rzeczywiście, poznałyśmy się dziś w kuchni.

– Witajcie w Megiddo – z uśmiechem zwróciła się do wszystkich, przez moment zatrzymując spojrzenie na Dymitrze.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech, leniwie drapiąc się przy tym po karku w taki sposób, by wyeksponować wystający spod rękawa koszulki nabrzmiały biceps. Ewa natychmiast podjęła grę, ostentacyjnie poprawiając przez bluzkę ułożenie stanika, przepraszająco tłumacząc:

– Jestem już dziś z kimś umówiona, z koleżanką – dodała pośpiesznie – więc muszę zniknąć, chciałam się tylko przywitać z Judytą. Mam nadzieję, że jeszcze na siebie wpadniemy.

Mężczyźni ochoczo przytaknęli, niezbyt dyskretnie odprowadzając Ewę pełnymi aprobaty spojrzzeniami. Gdy ponownie zwrócili wzrok na swój stolik, przywitał ich pełen pogardy wyraz twarzy Judyty.

– Też jesteś ładna – powiedział uspokajająco stary, poklepując głowę dziewczyny.

– Maksym, czy ja jestem krową, żeby mnie klepać?

– Nie. One mają większe wymiona.

– Ja się zbieram – wtrącił się Dymitr. – Naprawdę muszę odpocząć.

– Idę z tobą – zdecydowała Judyta, żegnając starego nienawistnym spojrzeniem.

– Ja zostaję – mruknął Maksym. – Może ktoś coś postawi.

Gdy został sam, mężczyzna westchnął ciężko, patrząc z żalem na sąsiednie stoliki, na których stały podawane w wysokich szklankach drinki, lub małe kieliszki.

– Trzymaj – powiedział ktoś, kto właśnie przysiadł się do jego stolika, kładąc na nim dwie masywne szklany wypełnione niemal po brzegi mętnawym płynem.

Ostry, cierpki zapach samogonu przez moment całkowicie przykuł uwagę starego.

– Na zdrowie! – zaszalował nieznajomy o niezapadającej w pamięć, przeciętnej twarzy.

Mężczyźni wstrzymali oddechy i jednocześnie upili spore łyki, krzywiąc się przy przełykaniu specyfiku. Wydechając powietrze, pozwolili sobie na pojedyncze kaszlnięcia.

– Ty jesteś Maksym – stwierdził nieznajomy. – Wyglądasz mi na rozgarniętego człowieka.

– Ehe.

– To ścierwo – powiedział wskazując niedbale na szklankę – jest najostrzejsze z wszystkiego, co tu mają. Pomyślałem, że ci podejdzie.

– Miałaś rację.

– Potraktuj to jako prezent powitalny.

– Od kogo?



– Naszego drogiego Naczelnego Nadzorcy.  
– Ten cały Karol, tak?  
– Ten cały Karol, dokładnie. Ma oko do ludzi.  
– I co, myślisz, że nadawałbym się na urzędnika?  
– Służba publiczna ma różne formy.  
– To znaczy?  
– Podobno bardzo rozrywkowy z ciebie facet, wesoło sypiesz pieprzonymi anegdotkami, jak magik kartami z rękawa. Gładko wpasowujesz się w grupę, chociaż jesteś tu nowy, kolego.

Maksym przypomniał sobie swobodne pogawędki z innymi pastorzami, jakie odbył w tym dniu, zastanawiając się, skąd siedzący naprzeciw niego mężczyzna wie o ich treści. Nagle upił spory łyk gorzały i z uśmiechem spytał:

– Macie tu dobry przepływ informacji, co? Pewnie to bardzo ważne przy utrzymywaniu ogólnego porządku, wiedzieć, kto, gdzie, jak i dlaczego?

– Słuchaj, nie myśl o tym teraz. Napij się.

– Chętnie.

– Gdybyś chciał kiedyś pogadać o tym, jak jeszcze, poza pasieniem krów, możesz się przydać społeczności Megiddo, to idź do Karola. Lubi ludzi wychodzących z inicjatywą.

– Kontrola podstawą zaufania. By wszystkim żyło się lepiej.

Nieznajomy przestał się uśmiechać, radząc:

– Przemysł to sobie na spokojnie, nie każdy od razu wzbudza zainteresowanie Naczelnego Nadzorcy. Miłego wieczoru.

Maksym skłonił się rozmówcy, który bez słowa odszedł od stolika. Wyszczekany szpicel – pomyślał z pogardą stary. Nie kupią go sobie za szklankę gorzały, jak jakąś dziwkę, o nie! Znał dobrze swoją wartość. Jeśli rzeczywiście zdecyduje zostać sprzedaną szmatą na usługach Karola, to Naczelnny Nadzorca będzie musiał się poważnie zastanowić, czy stać go na te usługi. Jednak póki co nie miał w planach kariery kapusia. Pociągając solidny łyk, zerkał już łapczywie na prawie pełną szklankę pozostawioną przez niechcianego gościa. Weekend w Megiddo zaczynał się naprawdę obiecująco!

\*\*\*

Dźwięk dzwonu obwieścił długo wyczekiwany koniec dnia pracy w kamieniołomach. Złany potem Dymitr z satysfakcją stwierdził, że zostało mu jeszcze sporo sił. Solidne, regularne posiłki i dwudniowy,

beztroski wypoczynek dobrze wpływały na jego organizm. Starannie ogolony, ubrany w znoszone, drelichowe ubranie robocze nie wyróżniał się niczym, prócz postury, pośród innych robotników. Nie zwracał też na siebie niepotrzebnej uwagi, chociaż z tym na szczęście nie miał problemu. Wprawdzie był „nowy”, ale zainteresowanie wszystkich skierowane było na zdegradowanego Andrzeja. Wyczerpany mężczyzna na długo przed końcem zmiany leżał wśród skał, z trudem łapiąc oddech. Jego wielkie, pokryte skalnym pyłem ciało z pewnej odległości przypominało głaz. Z tego, co zdołał ustalić Dymitr, nieszczęsny były brygadzi- sta miał pracować w kamieniołomach jeszcze przez trzy miesiące, bez prawa do złożenia podania o zmianę przydziału. Miał to być rodzaj kary za zniszczoną przyczepę. Niektórzy robili nawet zakłady, czy Andrzej wytrzyma ten kwartał, nie próbując przyspieszyć czasu przeniesienia. Spekulowano też o tym, gdzie mógłby trafić później. Najczęstszym przypuszczeniem była praca w specjalnej pralni, zajmującej się czyszczeniem chust służących w latrynach w charakterze papieru toaletowego. Dymitr złapał się na tym, że też rozmyślał nad tym zagadnieniem. Może mnie tu nie być za trzy miesiące – strofował się w myślach – albo nie będziesz już pamiętał Andrzeja. Życie w Megiddo zaczynało go niebezpiecznie urzekać swoją kojącą rutyną, dobrym jedzeniem i poczuciem stabilizacji. Przez głowę przebiegła mu nawet myśl porzucenia sprawy obliczeń Jakowskiego, ale świadomość nieuchronnej utraty pamięci przypominała o niemożności podjęcia normalnego życia. Miał do zrealizowania swój cel i nic ani nikt nie mogło mu w tym przeszkodzić.

Poniedziałkowe późne popołudnie toczyło się swoim utartym rytmem. We wspólnej jadalni, ulokowanej w małej sali gimnastycznej pobliskiej szkoły, panował spory ruch. Od niemal godziny w stołówce trwało wydawanie kolacji dla tych mieszkańców Megiddo, którzy skończyli pracę w godzinach od piętnastej do siedemnastej. Judyta, zadowolony z faktu, że w tym tygodniu jej harmonogram pracy nie zakładał na szczęście wydawania posiłków, siedziała przy szkolnej ławie ustawionej nieopodal okna, naprzeciw rozbawionego czymś Maksyma. Z wyraźnym niezadowoleniem przyglądała się solidnej porcji omlotu z kawałkami żółtego sera, jaką otrzymał, porównując ją z, mniejszą niemal o połowę, zawartością swojego talerza. W końcu nie wytrzymała, pytając oskarżycielsko:

– Dlaczego masz taki duży przydział?!

– To – odpowiedział stary, przełykając kolejną porcję – dlatego, że ciężko pracuję.

- Pasąc krowy?
- To odpowiedzialne zadanie.
- Na pewno. Siedzieć cały dzień i patrzeć się na bydło, też mi robota. Równie dobrze mógłbyś siedzieć w domu przed lustrem.
- Nie narzekaj, też masz dobrą robotę, przynajmniej możesz sobie podjadać.
- Jasne, bo praca w kuchni to bułka z masłem. Tyram w tym ukropie nie gorzej, niż Dymitr. A poza tym już z grubsza orientuję się w przydzielach, i to na pewno nie jest pasterski. Skądś załatwiłeś sobie dodatkową porcję, tak jak z tym bimbrem, który przytargałeś w sobotę.
- Mało go było.
- Już o tym mówiłeś, przy okazji tłumaczenia, dlaczego dla mnie nie starczyło.
- Dobra, nie ekscytuj się tak.
- Ty... O! - zawołała, zerkając ponad ramieniem rozmówcy. - Hej, Dymitr! Chodź tu!

Mężczyzna zbliżył się i usiadł ciężko przy stoliku, kładąc na blat talerz z, jak szybko oceniła Judyta, co najmniej potrójną porcją. Wymruczał coś na przywitanie i łapczywie rzucił się na posiłek. Dopiero po zaspokojeniu pierwszego głodu, otworzył usta w celu innym, niż połknięcie kolejnego kęsa, pytając:

- Długo czekacie?
- Niezbyt - odparła Judyta, dodając oskarżycielsko: - Maksym zdobył skądś więcej jedzenia.
- Wyrobiłeś sobie jakieś kontakty?
- Powiedzmy - odparł niechętnie stary.

Przeklął się w myśli za lekkomyślne afiszowanie się możliwościami, jakie stwarzał mu flirt z tutejszymi służbami bezpieczeństwa. Ci ludzie powoli zaczynali na niego naciskać, a on zbyt łatwo przyjmował kolejne prezenty, nie dając nic w zamian. Póki co, stwarzał jeszcze pozory niezdecydowania, które należało przełamać drobnymi upominkami, ale prędzej czy później będzie musiał definitywnie odmówić nawiązania współpracy.

- Hej! - upomniał starego Dymitr. - Słuchasz, co mówię?
- Zamyśliłem się.
- To słuchaj z łaski swojej, jestem zbyt zmęczony, żeby powtarzać w kółko to samo. Judyta dowiedziała się, że tutejszy bibliotekarz to emerytowany wykładowca Uniwersytetu Krośnieńskiego. Fizyk! Jutro pojedziemy do niego tuż przed zamknięciem biblioteki.

– I co, pokażemy mu notatki?  
– Nie wiem. Chcę go poznać.  
– Wiec dlaczego nie pójdziesz sam?  
– Myślałem, że chcecie być przy tym.  
– Ja chętnie – wtrąciła się dziewczyna.  
– Mam robotę do wieczora – burknął Maksym. – Tylko dziś wyjątkowo wyszedłem wcześniej, bo mieliśmy się tutaj spotkać.  
– Będzie trzeba ustalić jakiś stały termin spotkań – stwierdził Dymitr.  
– Przedyskutujemy to jutro. O której schodzisz z pastwiska?  
– Coś koło dwudziestej.  
– Ja też kończę mniej więcej wtedy – wtrąciła się dziewczyna. – A akurat jutro biblioteka jest czynna do dwudziestej pierwszej. A właśnie – mruknęła z niezadowolaniem – Ewa spytała mnie dziś, czy miałbyś ochotę przejść się z nią po okolicy dziś wieczorem.  
– Nie wiem, zmęczony jestem. O której by chciała iść?  
– Ma dyżur do dwudziestej pierwszej, razem ze mną. W ogóle to moja przerwa już się pewnie skończyła, specjalnie czekałam na ciebie – dodała z wyrzutem, pośpiesznie wyjaśniając: – żeby ustalić co z tą biblioteką.  
– Dzięki. Powiedz jej... Niech zaczeka po pracy, przyjdę. Przyda się poznać okolice.  
– Dobra, jak tam sobie chcesz – powiedziała, wzruszając ramionami.  
Dziewczyna zerknęła w stronę stojącego pod ścianą, antycznego zegara i, chwytając pusty talerz, wstała, wyjaśniając pośpiesznie:  
– Już prawie dziesięć minut po czasie, muszę wracać do roboty. Nie zapomnijcie odnieść talerzy, bo inaczej musimy je zbierać. Cześć!  
Mężczyźni, z ustami wypełnionymi po brzegi jedzeniem, odmruknęli coś niewyraźnie. Maksym, który skończył jeść jako pierwszy, skinął głową na pożegnanie i beztrosko odszedł, zostawiając talerz na blacie. Osamotniony Dymitr uśmiechnął się pod nosem, odtwarzając w myślach przebieg spotkania. Zwyczajnie zjedli wspólnie kolację, gawędząc o mniej lub bardziej ważnych sprawach, ustalając plany na rozpoczynający się tydzień. Magia Megiddo raz jeszcze uderzyła z pełną mocą w umysł mężczyzny, który zaciekle bronił się przed uczuciem stabilizacji, powtarzając sobie w myśli niczym mantrę: – To wszystko przecież nic nie znaczy, absolutnie nic. Zapomnę o Megiddo, Maksymie, Judycie, namiastce normalności. Przekazać odpowiedniej osobie notatki Jakowskiego, dać ludziom nadzieję. To moje zadanie, odwalić całą czarną robotę. I zapomnieć. Nic więcej. Zerknął na pusty talerz, po którym od pewnego czasu gmerał bez celu sztucem.

– Nic więcej – powtórzył szeptem, wstając od stołu.

Ruszył ku wyjściu, lecz stanął w pół kroku i zawrócił, by zabrać talerze. Przed oczyma wyobraźni stanął mu pełen aprobaty wyraz twarzy Judyty. Uśmiechnął się do tej wizji i odniósł brudne naczynia do specjalnego stolika. Jednak gdy opuścił salę, zdążył już skierować swoje myśli ku innej kobiecie.

– Ewa, Ewa, Ewa – powtórzył półgłosem, badając brzmienie tego imienia. – Niech będzie i Ewa – mruknął z satysfakcją. – Czemu nie?

\*\*\*

Ostatnie promienie zachodzącego słońca z trudem przedzierały się przez wybujałe korony drzew i gęste zarośla sąsiadujące z niszczejącą, asfaltową drogą. Ukryta w tym zacienionym, zielonym gąszczu para półnagich, zroszonych potem ludzi w ciszy kompletowała swoje ubrania, podnosząc z ziemi kolejne części rozrzuconej garderoby. Dymitr ubrał się jako pierwszy i wsparty o pień drzewa obserwował wolne, pełne niewyszukanej gracji ruchy Ewy. Kobieta podniosła właśnie sfatygowany stanik, w którym zamknęła swoje ciężkie piersi, by następnie sięgnąć po nieco sponiewieraną bluzkę. Mężczyzna wprawdzie miał sobie za złe, że przy rozbieraniu partnerki nie wykazał większej uwagi, ale niedawna sytuacja nie sprzyjała zachowaniu rozwagi. O ile przez pierwszy kwadrans wspólnego, krajoznawczego, spaceru nie był jeszcze pewien, czego właściwie oczekuje Ewa, o tyle po oddaleniu się od głównych zabudowań Megiddo nie miał już żadnych wątpliwości. Z tempa narzuconego przez kobietę łatwo można było odczytać jej intencje. Chciała szybkiego, mocnego seksu i właśnie to jej ofiarował, chociaż jego nadwątlone całodziennym wysiłkiem fizycznym ciało odmówiło posłuszeństwa szybciej, niż to planował.

– Było świetnie, naprawdę – powiedziała uspokajająco Ewa, widząc malującą się na twarzy partnera niepewność. – Kochałeś się już z kimś w Megiddo?

– Nie.

– To dobrze. Właściwie troszeczkę na to właśnie liczyłam. Wiesz, od razu wpadłeś mi w oko, ale miałam pewne obawy.

– Jakże?

– Bałam się, że jesteś typem, który od razu w nowym miejscu zacznie... Sprawdzać towar. Z twoją aparycją dużo nie trzeba, żeby zdobyć kochankę. Takie czasy, mięśnie są w cenie, bądźmy szczerzy. Ale

ja zawsze lubiłam dużych facetów. W każdym razie nie chciałam być po prostu panienką od szybkiego numerku.

Dymitr spojrział wymownie w stronę pnia, na którym kilka minut temu rozmówczyni oddała mu się ochoczo. Kobieta podchwyciła jego wzrok i na moment straciła nieco z pewności siebie, tłumacząc:

– Dziś naprawdę chodziło mi tylko o spacer, poznanie się. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Chyba miałam po prostu dosyć tych wszystkich adoratorów, którzy wyraźnie liczyli tylko na godzinkę w domu schadzek. Pomyślałam, że ja też mogę spróbować. A ... – machnęła lekceważąco ręką, nie dokańczając myśli.

– Wychodzi na to, że ja zostałam panienką od szybkiego numerku. Po prostu miałaś na mnie ochotę, a ja dałem ci to, czego chciałaś. Muskuły i twardy kutas, cały ja.

– Nie, Dymitr! Nie widzę tylko tego. Judyta w pracy prawie cały czas o tobie opowiadała, a przynajmniej do momentu, kiedy zaczęłam okazywać za duże zainteresowanie. Wiem, że jesteś po prostu dobrym człowiekiem, nawet jeśli tak o sobie nie myślisz. Nie chcę, żebyś uważał naszą znajomość jedynie za pretekst do rżnięcia się w lesie albo domu schadzek!

Mężczyzna przyjrzał się uważnie nikinącej w gęstniejącym mroku, twarzy rozmówczyni. Ta dziwna kobieta praktycznie zaciągnęła go w krzaki, żeby kopulować dziko jak kotka w rui, a teraz prosiła, żeby nie patrzył na ich relacje tylko z perspektywy przygodnego seksu. Do tego próbowała tworzyć jakąś jego wyidealizowaną wersję w oparciu o zasłyszane opowieści. Na moment przeniósł wzrok niżej, na falujące, jędrne piersi, które niedawno trzymał w twardym uścisku swoich dłoni. Wspomnienie sztywnych sutków wtłoczonych pomiędzy jego palce sprawiło, że przez moment miał ochotę jeszcze raz oprzeć Ewę o najbliższy pień i z dziką furją wypełnić ją sobą. Zamiast tego oznajmił, siląc się na spokojny ton:

– Może jest nam potrzeby nowy start? Nie mówię o prostym zapomnieniu o tym, czego dziś doświadczyliśmy. Ledwie się znamy, najpierw popracujmy nad tym. Jeśli będziemy czuć do siebie coś więcej, niż pociąg fizyczny, wtedy zobaczymy co z tego wyniknie. W najgorszym wypadku znów zafundujemy sobie ostrą przejażdżkę i zakończymy znajomość. Zgoda?

– Tak – odparła z entuzjazmem kobieta.

– Lepiej się ubierz, ochłodziło się – zaproponował, z trudem powstrzymując się przed pokusą zaproponowania poźegnalnego seksu.

- Ewa zapięła guziki swojej bluzki i z pogodnym uśmiechem spytała:
- Nie obrazisz się, jeśli wrócę teraz sama?
  - Nie – odparł, nieco zdezorientowany – w porządku.
  - Zobaczymy się jutro?
  - Nie – odparł pośpiesznie, przypominając sobie o konieczności odwiedzenia biblioteki. – Jutro nie dam rady. Może w środę?
  - Środa mi pasuje. Może dojdziemy do zapory, bo w końcu miałam ci ją dziś pokazać.
  - Nie żałuję – odparł z rubasznym uśmiechem.
  - Hej! – kobieta przez moment przybrała groźną minę, by zaraz wybuchnąć śmiechem, prosząc nieco poważniejszym tonem: – Odezwij się przed środą. I proszę, nie mów nikomu o naszym małym wybryku.
  - Jak chcesz.
  - Dziękuję. I dobranoc.
  - Dobranoc.

Kobieta ruszyła w drogę powrotną, podczas gdy mężczyzna puścił na moment wodze fantazji, idąc jezdnią w stronę skrytej za drzewami zapory. Może rzeczywiście z Ewą miał szansę na coś więcej niż przygodny seks? Do tej pory nie myślał wiele o kobietach, wielki cel, odnalezienie wieży Babel, był zawsze ponad to. Powstrzymywał się też od zbyt-niego spoufalania z Judytą, wobec której czuł się do pewnego stopnia winny. W innym wypadku, gdyby dziewczyna nie MUSIAŁA pośpiesznie opuścić Krakowa, a wyruszyłaby z nimi z własnej woli, już dawno próbowałby zacieśnić stosunki z rezolutną nastolatką. Zresztą teraz nie miało już znaczenia, zdecydował się na budowę czegoś trwalszego z Ewą. Tumanie! – warknął do siebie w myślach. – Na ile trwałego? Do ostatecznego ataku kasującego pamięć? Dobry nastrój natychmiast ustąpił miejsca frustracji. Popełnił błąd, dając swojej kochance złudną nadzieję na coś więcej, niż obopólne zaspokojenie potrzeb. Nie był przecież dobrym człowiekiem z opowieści Judyty, wprost przeciwnie. Przed oczyma stała mu twarz innej Ewy, którą bez wahania pozbawił życia w Krakowie, nie tak dawno temu. Gdyby jej nie zabił, pewnie by się z nią przespał. A potem ruszył zwyczajnie dalej, szukając swojej wieży Babel tylko po to, żeby po kilku miesiącach znów obudzić się w jakimś pokoju i spotkać gotowego udzielić niezbędnych wyjaśnień Maksyma.

A teraz, gdy dotarł do kresu swoich poszukiwań, właściwie nic nie uległo zmianie. Nadal czekała go przecież perspektywa utraty wszelkich wspomnień. Może nawet znów wyruszy na poszukiwania wieży Babel, nie wiedząc nawet, że odniósł już sukces?! Wprawdzie mógłbym zapisać

gdzieś swoje dotychczasowe odkrycia, ale czy uwierzyłby potem w treść takiego listu do samego siebie? Coś podpowiadało mu, że nie. Notatka, którą sporządził przed laty, była tylko wyjątkiem od reguły. A w dodatku teraz i tak już jej nie potrzebował. Chłodny powiew nocnego powietrza znad zalewu oprzytomnił nieco rozgorączkowanego mężczyznę, który bacznie rozejrzał się po okolicy. Niepostrzeżenie dotarł nad zapórę, która od dziesięcioleci trzymała w ryzach setki ton wody.

Była znacznie mniejsza, niż to sobie wyobrażał, lecz i tak widok rozległego, sztucznego jeziora robił imponujące wrażenie. Gęstniejący z minuty na minutę mrok nie pozwalał dostrzec przeciwległego końca zalewu, co rodziło uzasadnione obawy co do drogi powrotnej. Mimo to, postanowił zostać w tym miejscu jeszcze przez jakiś czas. Miło było patrzeć na dzieło rąk ludzkich, które wciąż spełniało swój cel, pomimo niszczącego upływu czasu. Dymitr wszedł na grzbiet zapory, opierając się na murku, poniżej którego zaczynał się stromy, wyłożony betonowymi płytami stok niknący w wodzie. Jej poziom był stanowczo za wysoki, od miejsca, w którym stał do tafli jeziora dzieliło go ledwie kilka metrów. Myśl dotyczącą niszczącego wpływu takiego ciśnienia na śluzy przerwał ciężki, wykluczający Ewę, odgłos kroków. Intruz, niezwykle sprawnie, zważywszy na jego monstrualną tuszę, zbliżył się do miejsca, w którym stał Dymitr, wołając pijackim, zaczepnym tonem:

– Mało ci?

– Czego chcesz, Andrzej? – spytał, nieświadomie przybierając bojową postawę.

– Widziałem was – oznajmił intruz. – Ciebie i Ewę, wszystko widziałem!

Dymitr wzdrygnął się na myśl, co też mógł robić jego rozmówca podczas swoich obserwacji. Zachował jednak dla siebie te przemyślenia, nie chcąc niepotrzebnie drażnić masywnego, pijanego, byłego brygadzystę, który kontynuował swój wywód:

– Ewka wie, jak się zakręcić. Raz prawie była moja. Tak... Mogłem ją mieć. Mogłem! Wtedy, jak dostałem awans na brygadzystę. Przychodziłem do niej, jak kretyń, z kwiatami, starałem się, punkty odstępowałem. A ona i tak poszła się pieprzyć z jakimś tumanem, takim jak ty, zwykłym robolem.

– Zamknij się.

– Co?

– Zamknij ryj – powtórzył spokojnie Dymitr, czując przyjemny skok adrenaliny. – Nie mam ochoty słuchać twojego narzekania.



– Uważaj...

– Chcesz walczyć? W takim razie wybacz, ale ja pasuję. Nie znam zasad sumo.

Andrzej zacisnął pięści, stając w, jego zdaniem, bojowej postawie, z niezdarnie postawioną gardą. Dymitr przez moment ocenił możliwości przeciwnika i postąpił kilka kroków w bok, oddalając się od murku. Mając za plecami wolną przestrzeń, swobodnie przybrał prawidłową pozycję bokserską, której imitację zaprezentował mu jego przeciwnik. Mężczyźni zmierzli się spojrzeniami, w których nie było cienia niezdecydowania. Konfrontacja była nieunikniona. Andrzej wyrwał do przodu jako pierwszy i wyprowadził cios świadczący, że wbrew pozorom, wie co nieco o walkach na gołe pięści. Napierając na przeciwnika masą swojego ciała, z trudem zdołał uniknąć pierwszych dwóch potężnych ciosów, odpowiadając kilkoma celnymi uderzeniami wymierzonymi w tułów. Dymitr pozwolił napastnikowi na jeszcze kilka ataków, wychodząc z defensywy, gdy tylko przeciwnik przestał kontrolować swój oddech. Łupiąc zamasyżycie z prawej wymusił wysoką gardę, by zaraz potem trzasnąć od dołu lewą, prosto w skryty za fałdą tłuszczu żołądek. Andrzej skuli się, całkowicie zaprzestając obrony. Zgięty w pół, drobnymi kroczkami wycofywał się, aż poczuł jak łydkami trafia na niską, metalową barierkę. Jęcząc z bólu, niezdarnie spróbował na niej przysiąść, za bardzo przechylając się przy tym do tyłu. Nieubłagane prawa fizyki pociągnęły, bardziej zdumionego niż przestraszonego, Andrzeja w kilkunastometrową przepaść rozpościerającą się po drugiej stronie zapory. Dymitr podbiegł do barierki i spojrzał w dół, by ostatecznie rozwiać wszelkie złudzenia co do szans na przeżycie przeciwnika. Tłumiąc pierwsze oznaki paniki, obejrzał dokładnie swoje pięści, na których nie dostrzegł widocznych śladów stoczonej niedawno walki.

– Sam spaść – powiedział na głos Dymitr. – Tym razem to nie ja.

Nikt nie musiał wiedzieć – pomyślał, oddalając się pośpiesznie. – Nikt. Jedyne, co mógł sobie zarzucić, to niepotrzebne przeciąganie pojedynku. Mógł od razu ogłuszyć Andrzeja ciosem w szczękę albo silnym kopnięciem. To by wystarczyło. Niepotrzebnie dawał mu fory. Przecież nie zamierzał zabijać, to miała być zwykła bijatyka, przyjemne zakończenie dnia. Ostry seks i mordobicie, wszystko czego mi potrzeba do szczęścia, co? – pomyślał z irytacją. – A, i jeszcze podarowanie ludzkości nadziei na przyszłość, najlepsza wymówka do skrajnego relatywizmu moralnego. Gdzieś z głębi zakamarków umysłu Dymitra wypełzły strzępy przeszłości, dylematy sprzed lat. Już kiedyś rozważał podobne kwestie, jeszcze

przed katastrofą. Próbował się zmienić, żyć w społeczeństwie, nie krzywdzić ludzi bez powodu. I chyba prawie mu się udało. A potem nastąpił koniec świata, wady stały się zaletami. Nie było potrzeby adaptować się do nowego, złowrogiego środowiska, miał już wszelkie cechy potrzebne do przetrwania w świecie po końcu świata.

– Pieprzony Mad Max ze mnie – mruknął pod nosem, przedrzeźniając ton Maksyma.

Mimowolnie na ustach mężczyzny wykwitł uśmiech. Tym właśnie był? Łotrem ze szczytnym celem, współczesnym Conanem, o którym przecież każdy chce usłyszeć, ale nikt nie chciałby zaryzykować spotkania twarzą w twarz? Bezimiennym, który tymczasowo posługiwał się imieniem Dymitr? Pozbawionym tożsamości Zbawicielem ludzkości, z rękami umazanymi aż po łokcie krwią niewiernych? Nie. Był sobą – zdecydował. Cokolwiek to oznaczało.

## Rozdział VI

Dlaczego zawsze problemy piętrzą się przed obiadem? To jedno, spośród wszystkich innych pytań krążących w głowie Karola, przykuło na dłużej jego uwagę. Dlaczego wszelkie możliwe problemy w Megiddo miały miejsce tuż przed przerwą obiadową, albo pod koniec dnia pracy? Zawsze! Spojrzał na roztrzaskane ciało Andrzeja, jakby to nieboszczyk był winny zakłócenia nienaruszalnego porządku dnia Naczelnego Nadzorcy.

– Podsumujmy to sobie – powiedział na głos, kierując słowa do stojącego obok urzędnika. – Wczoraj Andrzej był w pracy, potem upił się w Jubilacie i zniknął. A przed godziną znalazł go patrol, tak?

– Dokładnie.

– Co robił patrol przy zaporze?

– Z ich wstępnych zeznań wynika, że planowali spożyć alkohol.

– Na służbie?

– Zasadniczo... Tak.

– Później się tym zajmiemy. Najpierw sprawy ważniejsze. Chociaż niewiele tu do roboty. Pijany, otyły mężczyzna spadł w nocy z dużej wysokości. Zapakować go i pochować. W takiej temperaturze zaraz zacznie nam gnić. Transportem zajmą się strażnicy z patrolu. Potem przyślij ich do mnie. Jasne?

– Absolutnie, Naczelnny Nadzorco.

– Idę na obiad.

Karol oddalił się sprężystym krokiem od truchła, które zaczynało już wydawać specyficzny, słodkawy fetor. Wbrew temu, co gładko wzmógł podwładnemu, sprawa tej śmierci była bardziej skomplikowana. Na piąstkach trupa wyraźnie widać było opuchliznę, która w żaden sposób nie mogła powstać od upadku. Andrzej walczył z kimś przed śmiercią i ten ktoś musiał w jakiś sposób, celowy lub nie, doprowadzić do upadku swojego przeciwnika. Denat, mimo swojej tuszy, znał się na bijatyce i już nie raz sprawiał kłopoty, szczególnie po wypiciu kilku głębszych. Wprawdzie zeszlóroczny awans na brygadzystę wyraźnie go utemperował, ale najwyraźniej degradacja uwolniła stare przyzwyczajenia. Z Andrzejem lepiej było nie zaczynać, każdy w Megiddo to wiedział. Karol uśmiechnął się nieprzyjemnie. Istotnie, każdy w Megiddo o tym wiedział. Tylko ktoś obcy lekkomyślnie zaryzykowałby starcie. A skoro je wygrał, to musiał być naprawdę silny. Nowy członek społeczności

dysponujący znaczną tężyzną fizyczną. Naczelný Nadzorca znał kogoś, kto doskonale pasował do tego opisu.

Dymitr od rana dawał z siebie wszystko, przelewając całą nagromadzoną w nocy frustrację w rozłupywanie skał. Raz musiał nawet, upomniany przez kolegów, zwolnić tempo. Teraz, gdy przerwa obiadowa była już kwestią minut, raczej stwarzał pozory, niż rzeczywiście pracował. To też było niepisany zwyczajem, przynajmniej w brygadzie, do której należał. Ich nowy brygadzieta, niejaki Tomek, spisywał się całkiem nieźle, chociaż ewidentnie nie zaakceptował jeszcze myśli, że dotychczasowi koledzy są teraz jego podwładnymi, których pracę musi stale nadzorować.

– Ciekawe, gdzie Andrzej? – z niepokojem w głosie spytał ktoś stojący nieopodal Dymitra, wyrażając w ten sposób myśl, która najwyraźniej dręczyła wszystkich od rana.

– Może za mocno go przycisnęliśmy? – wtrącił się inny robotnik.

– Albo dostał jednak zmianę przydziału pracy? – wtrącił swoje Dymitr.

– Pewnie tak – podchwycił robotnik, który pierwszy zadał pytanie o los byłego brygadziety.

– W sumie nie był z niego zły chłop, tak prywatnie – dorzucił Tomek, który niespodziewanie wyrósł za plecami pracujących.

– Niby tak, panie brygadzieta.

– Nie zgrywaj się, Staszek. Wiesz, że to tylko tak tymczasowo. Jaki tam ze mnie brygadzieta.

– Potrafisz zająć po cichu człowieka od tyłu, to dobre w tym fachu. Człowiek zwolni na moment tempo, żeby nabrać oddechu, a tu taki Tomek zza pleców krzyknie: do roboty!

– Dobra, dobra. Pracuj!

– A nie mówiłem! Jesteś stworzony do tej roboty.

Tomek chciał zaprotestować, ale jego głos utonął wśród tradycyjnego, radosnego okrzyku, który następował zawsze po usłyszeniu dzwonu zwiastującego przerwę obiadową. Mężczyźni z ulgą rzucili swoje narzędzia pracy, ustawiając się kilkunastoosobowymi brygadami w pary, niczym rozentuzjasmowane dzieci gotowe wyruszyć na szkolną wycieczkę. Dymitr przez krótką chwilę miał nieprzyjemne wrażenie bycia obserwowanym przez niektórych kolegów. Gdzieś za sobą usłyszał fragment rozmowy o Andrzeju. Zdecydowanie odrzucił od siebie paranoidalne myśli, przywołując z pamięci chwile rozkoszy zaznanych z Ewą wczorajszego wieczora. Ale nieugięty umysł szybko skierował rozmyślenia mężczyzny na to, co wydarzyło się niedługo po stosunku.

Niepotrzebna kłótnia, krótka bójka, tragiczny wypadek, głupia śmierć. Jedynym pocieszeniem w tej kłopotliwej sytuacji był fakt, że właściwie nikt nie miał podstaw, żeby połączyć go z tym wydarzeniem.

Karol, ze starannie skrytym niezadowoleniem, przyglądał się rozmówcy, krótko ściętemu mężczyźnie o niezwykle jasnych, błękitnych oczach, które przywodziły na myśl wilcze ślepią psów husky. Naczelný Nadzorca zganiał się w myśli za to, że pozwolił sobie zapomnieć, jak błyskotliwy potrafił być Architekt.

– A więc – powtórzył spokojnie twórca Megiddo – naprawdę tego nie zauważyłeś?

– Niestety. Byłem trochę rozkojarzony.

– Rozumiem, masz przecież wiele obowiązków, z których – co jak wiesz, zawsze podkreślam – wywiązujesz się wzorowo, Karolu. Dobrze, że postanowiłem obejrzeć ciało biednego Andrzeja przed pochówkiem. Inaczej pewnie nikt nie zwróciłby uwagi na tę opuchliznę. Jak myślisz, z kim mógł walczyć?

– Z kimś na tyle lekkomyślnym, żeby w ogóle próbować starcia, zamiast zwyczajnie uciec. Andrzej nie jest dobrym sprinterem – zaryzykował żart.

– Teraz nie jest już nawet człowiekiem, tylko ochłapem mięsa. Zresztą wszyscy tym dla niego jesteśmy, ochłapami mięsa, biologicznymi maszynami.

Karol przez moment miał nadzieję, że Architekt skończy wątek Andrzeja, wpadając w jeden ze swoich stanów niekontrolowanej, werbalnej agresji skierowanej pod adresem Boga. Jednak mężczyzna uciął ten temat słowami:

– No, zobaczymy jeszcze, jak bardzo będzie pewny swego, kiedy ukończymy naszą nową wieżę Babel. A wracając do Andrzeja, to przynajmniej ci rację. To musiał być ktoś bardzo lekkomyślny albo zwyczajnie nie poinformowany. Nasz Andrzej, na pierwszy rzut oka, nie wyglądał na groźnego przeciwnika. Ktoś, ktoś obcy, mógłby tego nie wiedzieć. Sprowadź mi tego... Dymitra, tak? To ten barczysty mężczyzna, jeden z trójki nowych z zeszłego tygodnia.

– Myślisz...

– Nie wiem, po prostu chcę go widzieć. Wymyśl jakiś wiarygodny pretekst, nie chcę, żeby moje podejrzenia, jeśli okażą się fałszywe, zszargały mu opinię.

– Może w takim razie sam go przesłucham?

– Karol...

– Sprawa z tymi podejrzanymi obtarciami na pięściach była moim błędem – skłamał bez zająknięcia – ale teraz jestem już w pełni skupiony.

– Dobrze.

– Mam zrobić to teraz?

– Chcesz zwlekać?

– Mógłbym porozmawiać z nim na osobności, nieoficjalnie.

– O! Zależy ci na jego reputacji?

– To źle?

– Nie. Po prostu – wybaczyć, że to powiem – zwykle nie przywiązujesz większej wagi do czynnika ludzkiego.

– Moim zadaniem jest nadzór nad funkcjonowaniem Megiddo.

– I wywiązujesz się z tego znakomicie.

– Dlatego wolę nie zrażać Dymitra, może okazać się dla nas cennym nabytkiem. Bardzo dobrze radzi sobie w kamieniołomach.

– Ach tak – odparł Architekt, który wyraźnie zmienił swoje nastawienie. – Skoro dobrze radzi sobie w pracy na rzecz wznoszenia naszej wieży, to masz rację, Karolu, masz całkowitą rację. Nie można go zrażać. Żadnych oskarżeń. Może nawet nie warto poruszać tej sprawy.

– Dymitr pracuje prawie jak maszyna, wieża dużo zyskuje na jego zaangażowaniu – drażył temat Naczelnego Nadzorcy.

– W takim razie... Właściwie dlaczego zakładamy, że te otarcia to wynik walki? Przecież Andrzej był pijany, mógł po prostu wyżyc się na jakimś pniu.

– Myślę, że tak właśnie było, Architekcie.

– No cóż, w takim razie nie wracajmy więcej do tej przykrej sprawy. To wszystko, możesz odejść.

Karol skłonił się i pośpiesznie opuścił pokój na piętrze małego domu z widokiem na plac budowy wieży, który zajmował Architekt. Ten pilnie strzeżony, otoczony zasiekami z drutu kolczastego budynek z miesiąca na miesiąc coraz bardziej przypominał bunkier. Przesadna troska o własne bezpieczeństwo i obsesyjna wręcz troska o zachowanie prawidłowego tempa wznoszenia wieży były wymownym świadectwem tego, jak bardzo zmienił się Architekt od czasu opuszczenia Sanoka. I nie była to zmiana na dobre, chociaż pogłębiająca się izolacja Architekta stwarzała jego zastępcy możliwość sprawowania niemal niekontrolowanego nadzoru nad społecznością Megiddo. Karol pozwolił sobie na przełotny, triumfalny uśmiech. Podejrzenia co do roli Dymitra w tragicznym losie Andrzeja na szczęście nie musiały ujrzeć światła dziennego. A to nareszcie dawało Naczelnemu Nadzorcy cenną kartę przetargową

w targu z kimś, kto uparcie próbował ugrać dla siebie jak najwięcej, nie dając nic w zamian.

\*\*\*

Maksym już od dłuższego czasu z wyraźnym zainteresowaniem zerkał na Judytę, wspartą o ścianę pełniącą funkcję biblioteki parterowego domu.

– Nie masz stanika – zawyrokował triumfalnie.

Dziewczyna odruchowo poprawiła przylegającą do ciała czarną koszulkę, tłumacząc:

– Przyszłam prosto z pracy, a jakbyś nie wiedział w kuchni jest piekielnie gorąco.

– Więc uwolniłaś swoje orki.

– Jesteś chyba ze trzy razy starszy ode mnie, a czasami zachowujesz się jak dzieciak – jęknęła z dezaprobatą.

– Oj tam. Wpuść mnie do swojej zatoki, to udowodnię, że jestem dorosły, chociaż oczywiście znajdę też czas na zabawę z orkami.

– Przykro mi, będziesz musiał zająć się własnym waleniem. I gdzie, do cholery, jest Dymitr? Skończyliśmy jeść w tym samym czasie, miał tylko odnieść naczynia i iść za nami.

– Pewnie gada z Ewą.

– Wspaniale.

– Zazdrosna?

– Zmęczona. Załatwmy szybko sprawę z bibliotekarzem, chcę odpocząć.

– Wedle życzenia, Dymitr właśnie idzie. Twoja koleżanka chyba poprawiła mu nastrój, patrz, jak się skubany uśmiecha. Może dostał loda na deser...

– Zamknij się już – burknęła.

Dymitr, nie fatygując się wyjaśnieniami powodu spóźnienia, ruszył bezpośrednio ku drzwiom, władczym gestem dłoni przywołując dziewczynę i starego do siebie. Trójka tymczasowych mieszkańców Megiddo przekroczyła próg biblioteki, natychmiast doznając rozczarowania. Naprzeciw wejścia, pośrodku małego korytarza stało masywne, wyglądające na zabytkowe biurko całkowicie blokujące przejście. W tej placówce nie praktykowano wolnego dostępu do półek. Za biurkiem siedział leciwy Władysław Kramer, który idealnie odzwierciedlał stereotypowe wyobrażenie o emerytowanym wykładowcy uniwersyteckim. Tęgi, z niedbale przystrzyżoną brodą i lśniącym plackiem łysiny

wystającym spośród płataniny włosów, których nie skalał dotyk grzebienia. Bibliotekarz z serdecznym uśmiechem przywitał gości, zerkając przy tym na stojący na antycznym blacie zegar o złotej tarczy.

– Za pół godziny biblioteka kończy pracę – poinformował. – Czego potrzebują?

– Informacji – zaczął śmiało Dymitr.

– Jakich?

– Podobno jest pan fizykiem.

– W istocie, w istocie – odparł Kramer, z ukontentowaniem zanużając dłoń w gęstwinie siwej brody. – Interesuje ich fizyka? Jaki dział?

– Promieniowanie.

– Mogę im polecić kilka ciekawych lektur.

– Chodziłoby raczej o teoretyczne sprawdzenie pewnej hipotezy. Przejrzenie obliczeń, sprawdzenie ich poprawności.

– O – mruknął z wyraźnym zainteresowaniem fizyk.

– To praca niejakiego Jakuba Jakowskiego.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie na swoim krześle, obsesyjnie czesząc rozcapierzonymi placami brodę.

– Profesor Jakowski – wymruczał. – Fantastyczny badacz, wielki człowiek. Tak... Skąd mają te obliczenia? Spotkali go?

– Tak, w Sanoku.

Słyszając nazwę miasta, bibliotekarz nerwowo obrócił się za siebie, jakby podejrzewając, że prowadzona z nim rozmowa może być jakąś prowokacją. Podejrzliwość, która zajęła miejsce zaintrygowania, zagościła również w jego tonie, gdy spytał:

– Byliście w Sanoku?

– Przelotnie. Odbył się tam sąd, o ile można tak to nazwać, nad Jakowskim. Został skazany właśnie za stworzenie tej hipotezy. Niestety, prawdopodobnie nie żyje.

Maksym dźgnął Judytę w bok i wyszeptał:

– Świetnie, nie ma to jak zachęcać kogoś do współpracy opowieściami o śmierci poprzedniej osoby, która zajmowała się tą sprawą.

Stojący kilka kroków dalej Dymitr najwyraźniej usłyszał tę uwagę, bo pośpiesznie zapewnił wyraźnie skonsternowanego rozmówcę:

– Oczywiście do niczego nie zmuszamy.

Fizyk obrzucił krytycznym spojrzeniem muskularnego mężczyznę.

– Wszystko w pełnej tajemnicy – dodał pośpiesznie Dymitr.

– W Megiddo tajemnice nie są mile widziane – stwierdził sucho bibliotekarz – i ciężko ich dochować.



– Po prostu pomyśleliśmy, że warto by było, żeby jakiś fachowiec rzucił okiem na te obliczenia – wciął się Maksym. – Dla nas są całkiem niezrozumiałe, równie dobrze te kartki mogą posłużyć za opał.

– O nie! – zaprotestował gwałtownie fizyk.

– W czasie naszej podróży już kilka razy byliśmy bliscy użycia tych cyferek w charakterze podpałki – zełgał gładko stary.

– To przecież ostatnia praca naukowa profesora Jakowskiego – jęknął Kramer.

– Czy w takim razie zechce pan rzucić na nie okiem? – spytał Dymitr, z ulgą zerkając na zadowolonego z siebie Maksyma.

– Tak, tak. Naturalnie. Ktoś jeszcze wie o tej hipotezie?

– Nikt. Najpierw chcieliśmy upewnić się co do jej poprawności.

– Dobrze, dobrze. Niech tak zostanie – zażądał trwożnie naukowiec.

Dymitr skinął głową, i z lekkim wahaniem wydobyl z kieszeni plik kartek, wręczając go podekscytowanemu fizykowi, który natychmiast schował go do szuflady. Nerwowy ruch towarzyszący tej czynności przywodził na myśl zachowanie przyjmującego łapówkę urzędnika, w każdej chwili spodziewającego się wejścia przełożonego. Gdy tylko notatki trafiły do bezpiecznego wnętrza antycznego mebla, bibliotekarz natychmiast odzyskał spokój ducha i spytał uprzejmie:

– Czy życzą sobie jeszcze czegoś? Jako tymczasowi mieszkańcy mogą korzystać z naszej biblioteki za przedłożeniem dokumentów czasowego pobytu.

– Obejdzie się – odparł, ostrzej niż zamierzał, Dymitr.

– Jest tu jakiś katalog? – spytała Judyta.

– Tak, mogę przynieść, ale znam dobrze jego zawartość, proszę podać tytuł lub autora. – Kramer spojrział wymownie na zegar.

– Właściwie nie miałam na myśli niczego konkretnego, chciałam tylko przejrzeć – pośpieszyła z wyjaśnieniami speszona dziewczyna – ale to może innym razem.

– Jest coś Strugackich? Albo ogólnie z radzieckiej fantastyki naukowej? – zagaił z nadzieją w głosie Maksym.

– Strugaccy niestety pożyczeni. Ale została *Galaktyka*, tom pierwszy. To zbiór opowiadań, jest tam coś Bułyczowa i Strugackich.

– Zna pan cały katalog na pamięć? – zagadnęła z podziwem Judyta.

– Nie cały – przyznał z żalem bibliotekarz.

– Świetnie. Może się zgłoszę po Galaktykę w weekend – oznajmił Maksym.

– Godziny otwarcia wiszą na drzwiach – poinformował Kramer, ostentacyjnie zerkając na zegar.

– Dziękujemy za pomoc, dobranoc – uciął dalsze rozmowy Dymitr, obracając się energicznie w stronę wyjścia.

Dziewczyna i stary zostali wypchnięci przez swojego muskularnego towarzysza na zewnątrz, gdzie poinformował ich poważnym tonem:

– Z zachowania Kramera wynika, że mają tutaj coś w rodzaju służb bezpieczeństwa. Trzeba uważać z kim i o czym się gada, może nam, jako nowym, przydzielili jakichś szpiclów.

– Tobą zainteresowała się Ewa – zauważyła Judyta.

– Fakt – przyznał mężczyzna, próbując odpędzić natrętną myśl, że ta atrakcyjna kobieta szuka jego towarzystwa jedynie po to, by zadośćuczynić jakimś rozkazom. – Po prostu uważajmy. Kiedy Kramer zobaczy, co wpadło mu w ręce, może być przestraszony, ale wątpię, żeby komuś o tym doniósł. Wygląda na takiego, który nie lubi robić sobie kłopotów. Poza tym właściwie nie robimy nic nielegalnego. Chyba.

– Jeśli ktoś będzie mnie chciał zwerbować do jakiejś lokalnej bezpieki, natychmiast wam to zgłoszę – zażartował Maksym, uważnie obserwując reakcję słuchaczy na to oświadczenie.

Słowa starego nie wywołały żadnego zainteresowania, poza litościwym uśmiechem Judyty. Uspokojony, dodał:

– Dymitr ma rację. Nie robimy niczego nielegalnego.

– Mimo to warto uważać – dodał Dymitr. – No nic, zobaczymy, jak się ta cała sprawa rozwinie. W czwartek wieczorem znów przyjdziemy do biblioteki.

– Dlaczego nie jutro? – spytała Judyta.

– Za wcześnie. Poza tym... Jestem już umówiony na wieczór z Ewą.

– Seksowny szpieg – wtrącił Maksym, ale umilkł pod groźnym spojrzeniem towarzysza, który rozkazał:

– Lepiej już stąd chodźmy. Stercząc tak pod drzwiami biblioteki zwracamy na siebie uwagę.

Grupa ruszyła przed siebie, rozglądając się nerwowo na boki, co dla każdego postronnego obserwatora byłoby znacznie bardziej podejrzane, niż zwyczajna rozmowa, jaką przed momentem prowadzili. Na szczęście żaden z przebywających w pobliżu mieszkańców Megiddo nie zwrócił większej uwagi na zachowanie nowych członków społeczności. Jedynie wsparty o ścianę jednego z domów mężczyzna o trudnej do zapamiętania, przeciętnej twarzy uśmiechnął się ironicznie, dyskretnie notując

coś w kieszonkowym notatniku, który po chwili zamknął z cichym kłapięciem. Na dziś jego praca była skończona.

\*\*\*

Maksym z niepokojem śledził spokojne, wystudiowane ruchy Karola pozornie całkowicie pochłoniętego wypełnianiem jakiegoś dokumentu. Naczelný Nadzorca co pewien czas zerkał niedbale sponad swojego biurka w stronę mężczyzny, dając tym znać petentowi, że wie o jego obecności. W końcu odłożył dokument, pytając niezobowiązująco:

– Łady poranek, nie uważasz?

– W istocie – odparł Maksym, przybierając pozę znudzonego arystokraty.

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego zostałeś wezwany?

– Zakładam, że oficjalny powód – możliwość zmiany mojego przydziału pracy – nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością?

– Z moich raportów wynika, że jesteś inteligentnym człowiekiem z lekką manierą gitowca. Siedziałeś? – widząc wyraźną niechęć na twarzy rozmówcy, mężczyzna spytał, bardziej przyjacielskim tonem: – Chcesz po prostu paść krowy?

– A co, jeśli powiem, że tak?

– Nie uwierzę w to. Znam dobrze takich, jak ty. Lubicie wygody.

– Tacy, jak ja...

– Nie traćmy czasu na jałowe dyskusje, chcesz dla mnie pracować w charakterze informatora, czy nie?

– Nie.

– Jesteś pewien? Wiedzę w tobie wielki potencjał.

– Zostanę przy krowach.

– Nawet jeśli grozi ci sąd za współudział w morderstwie?

Maksym poruszył się niespokojnie, przez moment mierząc siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyznę nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Błefujesz – stwierdził kategorycznie.

– O, twój przyjaciel o niczym ci nie powiedział? Ciężko mi w to uwierzyć.

– Chodzi ci o śmierć tego grubasa?

– Tak, mam na myśli Andrzeja. Zanim udzielisz mi ostatecznej odpowiedzi na moją ofertę, spytaj Dymitra o śmierć tego człowieka. Obserwuj uważnie jego reakcję. Wiem, że potrafisz wyciągać trafne wnioski.

– Dlaczego właśnie na mnie tak bardzo ci zależy?

– Jesteś tu nowy, poza podejrzeniami. I, bądźmy szczerzy, masz świetne zadatki na kapusia.

– Chyba powinienem uznać to za komplement.

– Co robiliście wczoraj w bibliotece tuż przed zamknięciem?! – warknął niespodziewanie Karol.

– Przeglądaliśmy tylko katalog – odparł, niezbity z tropu, stary. – Przecież jesteśmy tu nowi, wszędzie staramy się chodzić razem.

– Nie wiem, w co pogrywacie, ale nie pozwolę w Megiddo na żadną szkodliwą działalność!

– Zapamiętam.

– No dobrze. Po prostu pogadaj ze swoim kumplem o Andrzeju i podejmij szybko decyzję. Koniec z upominkami, bierzesz, co ci dają albo żyjesz po swoimemu. W biedzie, bo nic poza pasieniem krów albo pracą przy szambie tutaj nie dostaniesz. Jasne?

– Masz manierę klawisza.

– Nie rób sobie niepotrzebnych problemów, człowieku.

– Nawet nie wiesz, ile razy słyszałem to zdanie.

– Czekam do piątku na twoją odpowiedź, inaczej moja oferta przestanie być aktualna.

– Mogę już iść?

Karol, milcząc, wskazał wymownie na drzwi. Ten stary cap naprawdę ma potencjał – pomyślał Naczelný Nadzorca, gdy Maksym opuścił biuro. Niestety, kwestia jego współpracy wciąż pozostała otwarta. Mimo to dzisiejsza rozmowa przyniosła Karolowi pewne korzyści. Zdołał wyczytać z twarzy rozmówcy, pomimo jego opanowania, że sprawa wizyty w bibliotece miała jakieś drugie dno. Na kontrolną rozmowę z Kramerem było jeszcze za wcześnie, lecz rzecz definitywnie wymagała sprawdzenia. Dalsze rozmyślenia mężczyzny przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazał.

Na progu pojawił się skruszony urzędnik, pytając:

– Nie przeszkadzam?

– Powiedzmy.

– Architekt prosi do siebie w wolnej chwili.

– Coś pilnego?

– Podobno niezbyt.

– A jednak kogoś tutaj przysłali. No dobrze, posłaniec czeka na odpowiedź?

– Tak.

– Przekaż mu, że będę tam w przeciągu kwadransa. To wszystko.

Urzędnik wycofał się z terytorium szefa, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Karol pozwolił sobie na pełen irytacji uśmiešek. Już po raz drugi w tym tygodniu Architekt zawracał mu czymś głowę. Czy ten człowiek nie może spokojnie zostać w swoim świecie złudzeń – pomyślał z goryczą – i rzucać kolejne wyzwania Bogu, pozwalając mi spełniać obowiązki? Niestety, słowo Architekta wciąż pozostawało w Megiddo prawem. Naczelný Nadzorca nie myślał już więcej o sprawie nagłego wezwania, zwałół się niechętnie z fotela i ruszył ku wyjściu. W końcu co innego mógł zrobić?

Starannie dopracowywana przez lata maska obojętności z trudem skrywała emocje targające wnętrzem Karola. Był wieczór, gdy nareszcie opuścił siedzibę Architekta. Zwierzchnik, jak miał to w zwyczaju przynajmniej raz na kilka miesięcy, godzinami zasypywał go dziesiątkami szczegółowych pytań o organizację życia i pracy w Megiddo. Zupełnie, jakby podczas tego morderczego maratonu próbował nadgonić okres czasu, podczas którego niemal zupełnie nie obchodziły go zagadnienia administracyjne. Naczelný Nadzorca uważał się za ofiarę własnej maszyny propagandowej, tworząc z Architekta symbol walki z przeciwnościami losu i wolą mściwego Boga.

Karol poczuł falę niekontrolowanej wściekłości na myśl o wieży Babel. Ta kretyńska budowa dawno już straciła swój wymiar symboliczny, stając się hamulcem dalszego postępu. Pochłaniane przez nią środki oraz siła robocza starczyłyby do naprawdę gwałtownego podniesienia standardu życia wszystkich mieszkańców w czasie krótszym niż rok. Ale tego przecież nikt mu wprost nie powie – pomstował w myślach Karol – nawet ja. Maszerujący mężczyzna minął spacerującą parę, nie siląc się na żadne pozdrowienie. Dopiero po przejściu kilku metrów stanął, by spojrzeć za siebie i potwierdzić, czy aby przypadkiem nie minął właśnie Dymitra. Istotnie, to był on. Muskularny, domniemany zabójca Andrzeja szedł wolnym krokiem w towarzystwie jakiejś kobiety. Naczelný Nadzorca błyskawicznie dopasował w pamięci twarz blondynki do posiadanych informacji. To nie była jedna z jego dziewczyn, więc butny Maksym wciąż pozostawał jedynym pewnym źródłem informacji o przybyszach i ich zamiarach. Naturalnie zawsze można było przycisnąć Kramera, ale stary fizyk znów mógłby poskarżyć się Architektowi na metody pracy Naczelnego Nadzorcy. A to oznaczałoby kolejne marnotrawstwo czasu. Karol podjął przerwany marsz, z żalem obierając za cel swoje biuro. Wciąż miał do załatwienia kilka dosyć istotnych administracyjnych

spraw, które od rana zdążyły już zapewne stać się jeszcze istotniejsze. Ktoś musiał je rozstrzygnąć. Najwyraźniej czekała go noc studiowania rozporządzeń. Ale ktoś musiał się tym zająć.

– Jak nie ja, to kto? Jak nie teraz, to kiedy? – mruknął pod nosem z ironicznym uśmiechem.

\*\*\*

Ewa, po raz kolejny tego wieczora, zerknęła dyskretnie na Dymitra. Sprawiał wrażenie zatopionego we własnych myślach, które, jak podejrzewała, nie miały z nią wiele wspólnego.

– Właśnie minęliśmy Naczelnego Nadzorcę – zagaiła.

– Mhm.

– Ciężki dzień w pracy?

– Jak zawsze.

– Pewnie macie tam nieciekawą atmosferę, co? Wiesz, po śmierci Andrzeja.

– Tak.

– Szkoda, że nie organizują tradycyjnych pogrzebów.

– Dlaczego?

– Architekt tak zdecydował – odpowiedziała, wyraźnie zadowolona, że w końcu udało jej się czymś przykuć uwagę mężczyzny. – Powiedział kiedyś, że widzieliśmy wystarczająco dużo śmierci i nie ma sensu zwracać na nią sobie głowy.

– Hmm.

– Martwisz się czymś?

– Nie – odparł, z lekką nutą podejrzliwości w głosie.

– O czym myślisz? – spytała, nie dając się łatwo zbyć, Ewa.

Dymitr zacisnął gniewnie szczękę. Nienawidził, gdy ktoś w ten sposób próbował dostać się do jego umysłu.

– Swoje myśli lubię zostawiać dla siebie – odparł, ostrożnie dobierając słowa. – Nie bierz tego do siebie, po prostu nie mam w zwyczaju się nimi dzielić.

– W porządku, przepraszam za moje wścibstwo – odparła sarkastycznie.

Rezygnując z dalszych prób nawiązania konwersacji, zwiększyła nieco dystans pomiędzy towarzyszem spaceru. Mężczyzna przez pewien czas szedł w milczeniu, wymuszając na niej dosyć forsowne tempo marszu. Nagle, jakby uświadamiając sobie, gdzie jest, zwolnił i spytał:

– Idziemy w jakimś konkretnym kierunku?

– Nie, po prostu spacerujemy.  
– Może pójdziemy w stronę placu budowy więzy?  
– Skoro tego chcesz.  
– Możemy iść tam, gdzie wskażesz – zreflektował się.  
– Jeśli koniecznie musisz mieć jakiś cel, to niech będzie plac budowy.  
Nie możesz po prostu spacerować gdzie oczy poniosą, prawda?

– Odzwyczałem się od czynności pozbawionych sensu.

– Sensem spaceru jest spacerowanie, a nie dotarcie z punku a do b i z powrotem.

– To raczej bezcelowe, nie uważasz?

– Przecież właśnie ci powiedziałam, jaki jest cel spaceru.

– Ale pójdziemy na plac budowy? – upewnił się.

– Tak, pójdziemy na plac budowy. Zadowolony?

– Nie denerwuj się.

– To raczej ty jesteś dziś jakiś rozdrażniony.

– Mam parę spraw na głowie.

– Jakich? Och, to nieważne – dodała szybko, widząc gniewny wyraz twarzy rozmówcy. – Słuchaj, nie chcę cię wypytywać, czy coś takiego. Po prostu jestem ciekawa twoich myśli, problemów, planów. Możemy po prostu iść obok siebie, ale nie na tym polega budowanie więzi z drugim człowiekiem, Dymitr. Powinniśmy się cieszyć swoim towarzystwem, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś nadal był w pracy i wypełniał swoje obowiązki.

– Żle...

– Nie przerywaj mi. Zrozum, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, naprawdę. Nie myśl, że poczuję się w jakikolwiek sposób wykorzystana, jeśli nie będziesz miał ochoty na rozwijanie naszej znajomości. To ja nalegałam na seks, i nie uważam się za pokrzywdzoną.

Dymitr wyobraził sobie, co by było, gdyby teraz rzeczywiście stwierdził, że nie widzi sensu w kolejnych spotkaniach. Uśmiechnął się do tej wizji, zapewniając:

– Spędzam z tobą czas, bo chcę. Mogę być szorstki w obyciu, ale wszystko sprowadza się właśnie do tego.

Ewa wyglądała na usatysfakcjonowaną tą odpowiedzią, podczas gdy Dymitr westchnął ciężko w duchu. Marnowanie czasu na bezcelowe łązenie po okolicy było dalekie od tego, co chciał robić. Ale mimo wszystko wolał nie dokładać do bagażu zmartwień gniewu zranionej kobiety. A był niemal absolutnie pewien, że wbrew temu, co twierdziła jego towarzyszka, ich seks miał znaczenie i w zasadzie stanowił swego

rodzaju niezmiennie skuteczną pułapkę emocjonalną. Gdyby teraz, już po stosunku, bezceremonialnie zerwał znajomość, wyszedłby na hedonistycznego drania. A to uruchomiłoby lawinę wzajemnych ostrzeżeń pomiędzy kobietami, wskutek czego zwracałyby na niego uwagę jedynie te, którym zależałoby wyłącznie na jego ciele. Ostatecznie to nie byłoby takie złe – pomyślał. – Przynajmniej wszystko byłoby jasne, bez żadnych dwuznaczności. O ile jego szowinistyczna teoria była prawdziwa.

– Myślę, że w weekend będę lepszym towarzystwem – oznajmił potulnie.

Ewa zbliżyła się nieco, obdarzając go znaczącym uśmiechem. Splatając dłonie za plecami, wyeksponowała biust, zalotnie pytając:

– Ile czasu spędzimy na tym placu budowy?

– Wystarczająco dużo – wypalił bez namysłu Dymitr.

Przez krótką chwilę pomysł spółkowania w miejscu, do którego dążył przez tak wiele lat i wcieleń, wydał mu się niemal bluźnierczy, ale szybko odrzucił te myśli. Ostatecznie wieża Babel była tylko środkiem, nie celem. Zakończył swoją odyseję w chwili odnalezienia notatek Jakowskiego.

Teraz, przed podjęciem kolejnego wyzwania, mógł sobie pozwolić na chwilę zapomnienia. Śmierć Andrzeja najwyraźniej została uznana za nieszczęśliwy wypadek, a kolejne spotkanie z Kramerem miało odbyć się dopiero jutro. Dziś był czas na przyjemności. Ewa z zadowoleniem zauważyła wyraźną zmianę w zachowaniu mężczyzny. Nie miała złudzeń co do jego intencji, ale pogodziła się już z myślą, że przez pewien czas jedynie jej ciało będzie miało dla niego znaczenie. Zresztą i ona w pierwszej kolejności zwróciła uwagę na cielesność kochanka. Mając pełną kontrolę nad swoim życiem, potrzebowała jakiegoś elementu nie wchodzącego w skład starannie ułożonej maszyny społecznej Megiddo. Dymitr, kłębowisko mięśni, który w gwałtowny, niemalże brutalny sposób zaspokajał swoje potrzeby, był nadzwyczaj atrakcyjną używką.

– O czym myślisz? – spytał niespodziewanie mężczyzna, uśmiechając się zawadiacko.

– Pokażę ci, jak dojdziemy – mruknęła, wyraźnie akcentując ostatnie słowo.

Milcząca para przyśpieszyła kroku, a ich przyćmione rosnącym pożądaniem umysły w pełni skupiły się na wydawaniu kolejnym organom dyrektyw. Czas na myślenie już minął, teraz liczyło się jak najszybsze wtłoczenie w żyły odpowiednich hormonów. I nic więcej.



Czwartkowy wieczór przyniósł Megiddo załamanie pogody. Stojący nieopodal wejścia do biblioteki Maksym z niepokojem zerkał ku burzowemu niebu. Ciemne, nieomal czarne chmury zwiastowały nadciągającą nawałnicę. Wzbierający na sile wiatr wyluskiwał z uwięzi kolejne kosmyki siwych włosów, które smagały starego po twarzy. Ze stoickim spokojem rozsuptał krępujący je sznurek, pozwalając tańczyć przetłuszczonym kudłom na wietrze. Kiedy wyłowił spojrzeniem zbliżającego się Dymitra, pozwolił sobie na przelotny, pogardliwy uśmiešek. Umieśniony, cierpiący na amnezję mężczyzna z uporem maniaka podążający za swoim celem był prawdziwym dzieckiem szczęścia. Pod względem fizycznym i psychicznym był idealnie przystosowany do życia w świecie po końcu świata. Maksym, mimo chęci, wciąż nie potrafił wyzbyć się pewnych ludzkich odruchów, których desperacko pragnął się nauczyć Dymitr. Dobrze, że to wszystko nie potrwa już długo – mruknął do siebie stary, ze smutkiem oglądając pukiel siwych włosów, który schwycił.

– Dlaczego nie wchodzisz? – spytał rzeczowo Dymitr, stając obok domniemanego przyjaciela.

– A Judyta?

– Dziś wypadła jej jakaś robota.

– Cudny zwrot.

– Że niby co? – mruknął zadziornie mężczyzna.

– Spokojnie! Nie ironizuję. Po prostu ciesz się, mnie ta sytuacja. Ktoś miał przyjść, ale coś mu wypadło w pracy i nie może. Jak w starym świecie.

Dymitr wzruszył ramionami, bez słowa wchodząc do biblioteki.

– Zaczekam tu – oznajmił Maksym.

To oświadczenie również skwitowane zostało jedynie wzruszeniem ramion. Stary mężczyzna odgarnął niedbale włosy, które natychmiast zostały ponownie rozwiane przez wiatr. Był dziś wyjątkowo zmęczony, a co gorsza zaczynało się to, czego skrycie obawiał się po przybyciu do Megiddo. Strach przed stagnacją. Był tu dopiero kilka dni, a już zaczynał odczuwać jakiś wewnętrzny niepokój. Owszem, dobrze było czasem zatrzymać się gdzieś, nawet na dłuższy czas. Ale sama perspektywa „przebywania gdzieś na stałe” go przerażała. Kiedyś, przed katastrofą, gasił ten lęk bijatykami, alkoholem i przelotnymi romansami. Czasem potrzebował czegoś mocniejszego, chemii albo rabunku. A mimo to, z własnej woli przesiedział prawie pół życia w jednym miejscu, przywiązany do dzieci. Żona w zasadzie też była w porządku, chociaż jej sarnie,

łękliwe oczy doprowadzały go czasem do furii. I ta jej dziwna duma z samego faktu posiadania męża. Nigdy nie traktowała go jako osobę, Maksymiliana, był po prostu jej mężem. Nawet zwracała się do niego w ten sposób. Mężu, mężusiu, mój mężu, nieprzerwany cykl odmian formy, do której go próbowała wtłoczyć. Czasem pożyczła mu pieniądze na wódkę, czasem on kupował jej futra warte dwie jej wypłaty. I jakoś się żyło, z dzieciakami na karku, z kumplami u boku, z solidnym nożem w wewnętrznej kieszonce katany.

– Jakoś się żyło – mruknął, gdy pierwsza kropla uderzyła go w czoło.

Lekka mżawka szybko przybrała na sile, by wkrótce przeistoczyć się w nawał ciężkich, zimnych kropli. Maksym schronił się we wnętrzu biblioteki, trafiając w sam środek rozmowy poirytowanego Dymitra i wyraźnie przestraszonego Kramera, obiecującego:

– Przeprowadzę więcej testów, porozmawiam z kilkoma znajomymi inżynierami. Może zrobią mi jakąś prymitywną komorę pęcherzykową, zrobię pomiary...

– Powiedziałeś, że to wszystko prawda.

– Obliczenia są poprawne, tak. Ale dane wyjściowe... Muszę sam przeprowadzić eksperymenty. Nie można iść do Architekta z niepotwierdzoną hipotezą zaprzeczającą udział Boga w zagładzie ludzkości.

– Rozumiem, że takie wiadomości mogą tu sporo zamieszać. W końcu całe to budowanie wieży to jakby wyzwanie dla Boga, czy jak to sobie tłumaczycie.

– Dymitr! – wtrącił się niechętnie Maksym. – Facet ma rację. Niech zrobi te swoje dodatkowe testy, czy czego tam potrzebuje. Poczekajmy.

– Ile? Tydzień? Dwa? Miesiąc?

Stary poczuł nieprzyjemny dreszcz, gdy rozmówca zmierzył go pełnym agresji spojrzeniem. No tak, ataki i kasacja pamięci – pomyślał, uspokajając:

– Na pewno zajmie to rozsądną ilość czasu. Prawda? – spytał Kramer.

– Najrozsądniejsze byłyby dokładne pomiary co kwartał, powiedzmy przez rok.

– Czekamy, aż oficjalnie przyjmą nas do społeczności, potem działamy – rozkazał Dymitr, z trudem hamując złość. – To wszystko – zakończył, ruszając ku wyjściu.

Maksym podążył w ślad z nim, zostawiając przerażonego Kramera z wyrazem bezsilnego protestu na twarzy. Mężczyźni śmiało weszli w kurtynę deszczu, dyskutując zawzięcie.

– Nie mówię, żeby pozwalać mu robić badania miesiącami – tłumaczył Maksym – ale dwa, trzy tygodnie to nie wieczność! Jeśli nawet dostaniesz w tym czasie ataku, to nie tego, odbierającego pamięć.

– Skąd ta pewność?!

– Nie możemy wywracać do góry nogami życia tutaj!

– Bo co?

– Nie bądź dzieckiem, Dymitr! To najlepiej zorganizowana społeczność jaką widziałem od Dnia Sądu!

– KATASTROFY!

– Dobra, wiem! Tych ludzi coś łączy, ta kretyńska wieża ma znaczenie. To symbol! Nie odbierzesz im tego, po prostu wymachując jakimiś niezrozumiałymi równaniami! Ktoś od nich, jakiś specjalista, jak Kramer, musi powiedzieć: tak, to prawda, nauka to potwierdza!

– Ludzie uwierzą, to da im nadzieję.

– Gówno da! Patrz jak tu się żyje, rutynowo i wygodnie! Ludzie się nie zmienili, jest nas po prostu mniej na świecie. Tylko jednostki zamieniają stabilność, nawet podszytą absurdem budowania jakiejś nowej wieży Babel, na niepewną nadzieję.

– Nagle zostałeś socjologiem?

– Nie trzeba być geniuszem, żeby na to wpaść. Nikt nie pójdzie za twoją wizją, nie masz tu żadnego autorytetu.

Dymitr zatrzymał się, pytając gniewnie:

– Bo co? Jestem tylko mięśniakiem, a takich w ważnych sprawach się nie słucha?

– Przykro mi, ale tak się sprawy mają. Pamiętasz, co mówił hipnotyzer? Jakowski wziął cię jako ochroniarza, nigdy nie miałeś być nikim więcej. Mimo amnezji odnalazłeś Jakowskiego, zabrałeś papiery i oddałeś w odpowiednie ręce, zrobiłeś swoje! Po co się tym martwisz? Zwyczajnie naciesz się życiem tutaj, zanim wszystko zapomnisz! Nie jesteś bohaterem, nikt z nas nie jest! To nie film! Jesteśmy w Polsce po końcu świata, siedź na dupie i pilnuj własnych spraw!

– Tym niby jestem? Doręczycielem?! Po tym wszystkim co przeszedłem...

– Co niby przeszedłeś? No? Nie pamiętasz tego! Ja dokładnie zapamiętałem wszystko, przed i po spotkaniu z tobą. Nie liczymy się! Nasze życia nie mają żadnego znaczenia dla nikogo poza nami samymi! Niech nadzieją dla świata zajmuje się Judyta, ona ma całe życie przed sobą! Ja jestem już stary, a ty nie zachowasz wspomnień. Nie prowokuj Architekta...

Maksym zdążył tylko zarejestrować kątem oka jakiś ruch, zanim pięść Dymitra z hukiem powaliła go na ziemię. Mężczyzna stał nad swoją ofiarą, ze zdumieniem przyglądając się krwi, którą strugi deszczu szybko zmywały z jego dłoni. Oszołomiony Maksym delikatnie pocierał rozbity nos, jednocześnie zaczesując do tyłu zlepione błotem, mokre włosy.

– Ciężko ci się opanować, co? – spytał z pogardą.

– Maksym...

– Zabiłeś tego całego Andrzeja, prawda?

– Co? Skąd...

– Spokojnie, sam na to wpadłem. Nikt cię nie podejrzewa. Myślałeś kiedyś o tym, kim byłeś przed katastrofą? Wiesz, co ja myślę? Byłeś nikim, po prostu kolejnym tępym osiłkiem z jakiegoś blokowiska. Mogłeś być bardziej odczytany, czy jakoś tam obyty z kulturą niż tui kumple, ale jesteś z tej samej, zepsutej gliny. Tutaj możesz być sobie dotkniętym klątwą niepamięci Dymitrem, nowym Prometeuszem niosącym ludziom nadzieję i prawdę, ale w normalnym społeczeństwie byłeś śmieciem, wektorem przenoszącym dalej patologię swojego otoczenia. Poza siłą nie masz niczego, żadnej tożsamości, żadnej przyszłości. Potrafisz tylko przeżyć. A nawet twoja tężyzna jest nic niewarta, gdy dostajesz ataku i zaczynasz robić pod siebie. Sprzątałem twoje gówna, a ty masz czelność bić mnie, MNIE, jedynego człowieka, którego mógłbyś nazwać przyjacielem? Ale ty pewnie nigdy nie miałeś przyjaciół, tylko kumpli. Ziomów.

Dymitr nie odpowiedział. Stał nieruchomo przed Maksymem, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni i pozbawioną wyrazu twarzą przypominającą maskę. A mimo to stary zdołał coś w niej dostrzec. Stojący pośród szalejącej nawałnicy, w gęstniejącym mroku, przypominający antyczny posąg Dymitr płakał. Nie wydawał przy tym żadnego dźwięku, kontrolował też wszystkie mięśnie, nawet oddech. A mimo to potok łez wypływał z kącików jego oczu, natychmiast kryjąc się wśród spadających z nieba kropel. Było coś prawdziwie nieludzkiego w tej statycznej rozpacz.

– Przepraszam, że cię uderzyłem – wysapał. – Przepraszam.

– W porządku, bywało ze mną gorzej. Chcę ci tylko pomóc, jak zawsze – uspokoił załamanego olbrzyma Maksym. – Chodź, nie stójmy na deszczu.

Mężczyźni ruszyli energicznym krokiem przed siebie, nie mówiąc już ani słowa. No i najsilniejsza gałąź pękła – pomyślał z goryczą stary. – Trzeba będzie porąbać na opał, żeby się drewno nie zmarnowało.

Wiedział, że już nie odbuduje relacji ze swoim dotychczasowym obrońcą. I nie chodziło tylko o zwykłe rozbicie nosa. Wypowiedział na głos to, czego nie dopuszczał do tej pory do świadomości. Zawsze gorąco wierzył w moc sprawczą słowa, myśli wypowiedziane stawały się częścią realnego świata, zmieniały go. Dymitr oczywiście zapomni kiedyś o tym wszystkim, ale on będzie pamiętał. Własnoręcznie zwałił z piedestału swojego opiekuńczego boga, zbrukał go prawdą. Bardziej niż fizycznej ochrony ze strony siłacza potrzebował jego mitu, archetypu pozbawionego tożsamości bohatera wypełniającego swoje przeznaczenie.

– Zardoz, czyli niestety zwykły wizzard of Oz – mruknął pod nosem.

– Co?

– Nic. Kontempluję bolesną prawdę ukrytą w kiczu filmowym.

Mężczyźni wkroczyli do Jubilata w chwili, gdy ulewa, choć wydawało się to niemożliwe, przybrała jeszcze na sile. Tego wieczora nie mieli już ochoty na żadne rozmowy. A jedyną nadzieją, którą obecnie żywili była gorąca wiara w to, że ktoś litościwy postawi im kolejkę. Tak na rozgrzewkę, na zapomnienie.

\*\*\*

Piątkowy poranek zastał Naczelnego Nadzorcę przytłoczonego nawałem obowiązków. Stosy dokumentów wymagających jego decyzji spiętrzyły się na biurku. Karol przetaił twarz, zastanawiając się, czy znów nabrała niezdrowej, ziemistej barwy, jak to czasem bywało po kolejnej z rzędu nocy spędzonej nad papierami. Ziewając, poczuł nieprzyjemne strzyknięcie w szczęce, które zignorował. Zwłókł się z fotela wykonując serię niezdarnych ruchów symulujących poranne ćwiczenia i podszedł do okna. Spojrzał na panoramę Megiddo, by dostrzec wszechobecne błoto, powracające po każdej ulewie. Oczyma wyobraźni, nie po raz pierwszy ujrzał to miejsce po zaprzestaniu budowy wieży i użyciu całej siły roboczej do wprowadzenia koniecznych zmian. Ostrożne pukanie oddaliło przyjemny wiraż, wciągając mężczyznę w tryby codzienności.

– Wejść! – warknął.

Do środka wpłynął służący urzędnik, trzymając w rękach zgięty w pół dokument. Położył przesyłkę na biurku i pośpiesznie oddalił się do swojej strefy. Karol sprawdził sygnaturę przesyłki, w zmęczonym umyśle odnajdując jej znaczenie. Wiadomość była pilna. Przebiegł wzrokiem po kilku liniijkach tekstu, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Maksymilianie, myślę, że to początek pięknej współpracy – mruknął pod nosem.

Włożył meldunek do masywnej, stosownej dla tajnych współpracowników szufladki i pokrzepiony myślą o kolejnym triumfie wrócił do pracy.

## Rozdział VII

Judyta z triumfalnym uśmiechem przyglądała się swojej, dosyć niewyraźnej, czarno-białej fotografii przyklejonej do tekturowej książeczki. Dwutygodniowy okres próbny pobytu przybyszów w Megiddo minął nadspodziewanie szybko. Wartki nurt rutyny pochłonął obu mężczyzn i nastolatkę, a biurokratyczna machina oficjalnie włączyła ich do społeczności. Siedząc w Jubilacie w poniedziałkowy wieczór, cała trójka po raz pierwszy mogła zamówić coś na własny koszt, chociaż ceny niespecjalnie do tego zachęcały. Mimo to Maksym kończył kolejną szklankę samogonu, podczas gdy Dymitr siedział bez ruchu wpatrzony bezmyślnie w przestrzeń:

– Wszystko w porządku? – zagadnęła go dziewczyna. – Chodzisz jakiś struty już od zeszłego tygodnia.

– Wszystko w porządku.

– Na pewno? Może... Coś nie tak z Ewą?

– Jest dobrze – zapewnił gniewnie mężczyzna.

Chwilę potem jęknął żałośnie, widząc zbliżającą się do stolika Ewę. Lekko wstawiona kobieta była wyraźnie zdenerwowana i wszystko wskazywało na to, że lada moment zamierza dać upust emocjom.

– Cześć – warknęła, siadając ciężko naprzeciw Dymitra, który niemiarko kiwnął głową na znak powitania.

– Więc jesteście już obywatelami Megiddo?

– Dwa tygodnie szybko zleciały – odparła niepewnie Judyta.

– A owszem – potwierdziła Ewa – bardzo szybko. Ani się człowiek obejrzy, a już jest czyjąś darmową dziwką.

– Ewa, daj spokój – poprosił Dymitr. – Nie dziś.

– Bo co? Znów masz jakieś ważne sprawy, o których nie chcesz mówić? Właśnie widzę, jak je załatwiasz!

– Daj mi spokój...

– Myślałam, że coś uzgodniliśmy! Nasze dwa ostatnie spotkania wyglądały dokładnie tak samo, seks i do widzenia!

Wspomnienie o stosunku odciągnęło uwagę starego od alkoholu. Tonem lekko bełkotliwym, ale sugerującym, że jest o wiele mniej pijany, niż na to wygląda, spytał:

– A co w tym złego? Sama mu dałaś.

– Nie wtrącaj się, menelu! – ostrzegła.

– Dobra, w porządku – Maksym uniósł ręce w obronnym geście – załatwianie swoje sprawy sami. Ja tylko zauważam bezpodstawność twoich oskarżeń.

Dałaś mu dupy przy pierwszej okazji, a chcesz rznąć wielką hrabinę. A zamiast tego jesteś po prostu rżnięta.

Ewa podniosła kufel Judyty, gotowa wylać jego zawartość na twarz Maksyma, ale Dymitr błyskawicznie sięgnął przez blat stołu, boleśnie chwytając ją za nadgarstek.

– Odłóż – rozkazał. – To drogi drink, a sam za niego płaciłem.

– O! – mruknęła, posłusznie odstawiając naczynie i rozmasowując zaczerwienioną skórę – Więc teraz stawiasz drinki tej gówniarze? Jak za starych czasów, co? Pewnie przed Dniem Sądu tak wyglądał twój co drugi wieczór, drink dla młodocianej cichodajki, ostre ruchanie, a potem szybko pod kołderkę, bo na siódmą do pracy, tak?!

– Nie chce mi się z tobą gadać – burknął Dymitr.

– Aha ha ha! KLASYKA – wydarł się radośnie Maksym.

– Przemyśl to sobie – rozkazała władczo wściekła Ewa, mierząc Dymitra pełnym obrzydzenia spojrzeniem – i przyjdź do mnie jeśli NAPRAWDĘ będziesz chciał czegoś więcej, niż poruchać.

Maksym komicznie pomachał na pożegnanie obiema dłońmi, uspokajając Dymitra:

– Nie martw się, poszumi, poszumi i przestanie.

Judyta zmierzyła pełnym politowania spojrzeniem obu mężczyzn, pytając:

– Zadowoleni z siebie?

– Tak, nader – zameldował Maksym.

– To dobrze, że chociaż wy. Podlegam w kuchni Ewie i zgadnijcie, na kim zacznie się od jutra wyżywać? Fakt, nie lubię suki, ale dlatego mam płacić za wasze zachowanie. A twoje w szczególności, Dymitr.

– Niczego jej nie obiecywałem. Poza tym przecież właśnie taki jestem, nie? Gburowaty mięśniak rżnący swoją suczkę, nic więcej.

– Przestań – poprosiła łagodniej dziewczyna. – Daleko ci jeszcze do poniekórych sukinsynów, których na co dzień spotykałam w Krakowie.

Mężczyzna mruknął coś napastliwie pod nosem, a na głos obwieszczając:

– Przycisnąłem dziś Kramera.

– W jaki sposób? – spytał zaniepokojony Maksym.

– Zdziwisz się, bo słowami. Miał dosyć czasu, od kiedy dostał moje notatki. Ciągłe się miga, a ten jego plan wybudowania jakiejś komory pęcherzykowej do przeprowadzenia badań też nie wypalił. Więc dostał ultimatum. Jutro wieczorem pójdziemy wszyscy do Architekta, porozmawiamy z nim o odkryciu Jakowskiego, a Kramer nas poprze.



- Albo? – zapytała Judyta.
- Albo połamię mu nogi.
- Dymitr!
- Myślisz, że tak to rozwiążesz? – spytał kpiąco Maksym. – Siłowo?
- Dokładnie – prychnął i bez słowa wstał od stolika, idąc ku wyjściu.
- Naprawdę sobie poszedł – stwierdziła zaskoczona Judyta.
- Dzięki, nie zauważyłbym.
- To nie czas na twój denny sarkazm. Musimy coś zrobić!
- Niby co? Pójdziemy rano do biblioteki i przeprosimy Kramera? Powiemy, że kolega tylko żartował? A co, jeśli bibliotekarz jednak odmówi? Naprawdę myślisz, że Dymitr nie połamię mu nóg?
- W zeszłym tygodniu to nie była krowa, on rozwalił ci nos, prawda?
- Taa...
- O co wam poszło?
- Byłem zbyt szczery.
- Nie chcesz, to nie mów – mruknęła, upijając spory łyk mlecznego, podobno zawierającego alkohol koktajlu.
- Chodzi o to, co działanie Dymitra znaczy dla nas. Co jeśli Architekt wpadnie w szal? Ten facet buduje przecież wieżę do nieba, wygraża Bogu pięścią. To oczywiste, że jest świrem, więc logiczna argumentacja niespecjalnie może go zainteresować.
- Więc co proponujesz?
- Ewakuację, Judytko, pośpieszną ewakuację. Jutro poczekamy, aż Dymitr skończy pracę i jakoś przekonamy go, żeby porozmawiał jeszcze raz z Kramerem. Niech da mu kilka dni do namysłu. W tym czasie zdążymy się spakować i zebrać zapasy. Mam dostęp do wędzarni, mogę ukraść mnóstwo wędzonych serów.
- I co, po prostu uciekniemy?
- Tak.
- Nie możemy zostawić Dymitra!
- Do niczego nie zmuszam, chcesz, to zostań. Ale ja nie mam zamiaru spokojnie czekać na rozwój wypadków. Dlatego jutro razem ze mną poprosisz Dymitra o podarowanie Kramerowi jeszcze kilku dni do namysłu. Nie masz prawa decydować za mnie.
- Dobra.
- Zatem wszystko ustalone! – oznajmił raźnie stary, jednym pociągnięciem kończąc swój samogon. – Idę.
- Gdzie?
- Załatwić kilka spraw. Cześć.

Nie czekając na odpowiedź dziewczyny, Maksym pośpiesznie opuścił Jubilat, kierując się w stronę budynku administracyjnego. Wbrew temu, co powiedział, nie miał najmniejszego zamiaru opuszczać Megiddo. A przynajmniej nie na razie. Jeśli kiedyś najdzie go ochota do porzucenia tego miejsca, to zrobi to bezzwłocznie, ale na swoich warunkach. Zameldował się u pełniącego wartę strażnika i po chwili znalazł w gabinecie Karola. W migotliwym blasku lampy naftowej twarz Naczelnego Nadzorcy wydawała się nienaturalnie stara. Mężczyzna pozdrowił gościa niedbałym skinieniem głowy, wskazując stojące pod ścianą krzesło.

– Coś nowego? – spytał matowym tonem.

– Czy ty kiedykolwiek wychodzisz z tego biura?

– Streszczaj się. Coś się ruszyło w sprawie tych obliczeń? Bo wątpię, żebyś pofatygował się tutaj osobiście, w dodatku o tej porze, z innej przyczyny.

– Niestety, ruszyło. I posypało na amen. Dymitr stracił cierpliwość, chce jutro wieczorem iść z Kramerem do Architekta.

– To dla was wyrok śmierci – skwitował.

– Jesteś pewny?

– Absolutnie.

– A więc?

– Jutro rano porozmawiam z Kramerem. Mogę dla niego sprowadzić jakąś aparaturę.

– Skąd?

– Nie interesuj się. Zresztą to ja muszę być tym, który będzie rozmawiał z Architektem. Inaczej nic z tego nie wyjdzie.

– A co ze mną?

– To znaczy?

– Mam nadzieję, że pokierujesz wydarzeniami tak, żeby nasza współpraca nie wyszła na jaw.

– Nie współpracujemy my ze sobą, tylko ty z systemem, który jakimś cudem trzyma ten cały cyrk w ryzach. Zapamiętaj to.

– Zaczynasz wierzyć we własną propagandę?

– Masz jeszcze coś do zameldowania?

– Nie.

– Żegnam.

Maksym opuścił gabinet Karola, który przez chwilę próbował wrócić do przerwanych obowiązków. Nic z tego – stwierdził kategorycznie. – Na dziś koniec pracy. Wiedział, że teraz nie byłby w stanie skupić się na niczym innym, poza myślą o rozmowie z Architektem. Kiedy dzień po nawiązaniu

współpracy Maksym wyjawiał mu prawdziwy powód przybycia swojej grupy do Megiddo, Naczelný Nadzorca był wniebowzięty. Wreszcie jego wysiłki miały jakiś cel, rasa ludzka nie była skazana na zagładę! Dopiero później pojął, że właściwie uzyskane dane nie zmieniałyby wiele w życiu mieszkańców Megiddo.

Ich społeczność była zbyt mała, by na szerszą skalę prowadzić badania naukowe. Skoro zagłada miała naturalne przyczyny, to niezbędne byłoby powołać sztab naukowców, fizyków i biologów, którzy opracowaliby plan sztucznego zapłodnienia kobiet. A nie znali nawet właściwej przyczyny bezpłodności. Czy promieniowanie uszkodziło narządy rozrodcze? Chodziło o spermę? A może zapłodnione zarodki nie mogły zagnieżdżyć się w macicy? To przecież nie mógł być problem nie do rozwiązania dla specjalistów!

– Nie, to niemożliwe – mruknął pod nosem. – Nie, dopóki...

Budujemy wieżę – dokończył w myślach. Architekt, samozwańczy antagonistą Boga, nie zarzuciłby swojego projektu. A gdyby przekonać go, że to właśnie stopniowa odbudowa rodzaju ludzkiego stanowi nową wieżę Babel? Ten argument mógłby zadziałać, w teorii. Karol westchnął, zabierając ze stołu lampę i ruszając ku wyjściu. Póki co musiał przespać się z tym problemem, koniec końców sprawa nie była aż tak nagląca. Architekt dowie się o wszystkim w stosownym czasie, nie prędeż.

\*\*\*

Wartownik ziewnął przeciągle, zerkając żałośnie ku stojącemu kilka metrów dalej koledze. Zapowiadała się kolejna, jak zawsze spokojna noc na warcie przy domostwie Architekta. Uśmiechnął się w duchu, wiedząc, że nie ma powodów do narzekań. Trafił lepiej niż bardzo dobrze. Celebując błogim uśmiechem pomyślne zrządzenie losu, które skierowało go na to stanowisko, zamarł nagle w nerwowym oczekiwaniu. Dobiegł go wyraźny odgłos kroków, o tej porze niechybny zwiastun kłopotów.

– Kto idzie?! – warknął.

– Władysław Kramer, bibliotekarz – odparł starczy głos. – Proszę pilnie o posłuch u Architekta.

– W środku nocy?

– Sprawa naprawdę jest pilna – odparł mężczyzna, wchodząc w krąg światła bijący od ustawionych po obu stronach drogi koksowników.

– Czego dotyczy?

– Całego Megiddo!

Strażnicy wymienili się znaczącymi spojrzeniami, po czym jeden z nich podbiegł do drugiej pary żołnierzy patrolujących wewnętrzny obszar wokół budynku, oddzielony od reszty świata solidnymi zasiekami. Po chwili wrócił, prosząc Kramera:

– Zaczekasz tutaj, wiadomość zaraz zostanie przekazana straży wewnątrz domu i zarządca zdecyduje, czy budzić Architekta.

– Dobrze, dobrze.

– Wyglądasz na przestraszonego, o co właściwie chodzi?

– Mogę o tym mówić tylko z Architektem. Tylko!

– W porządku. O, idzie już posłaniec z domu.

Młody mężczyzna ubrany w coś, co wyglądało na niezamierzoną parodię stroju lokaja, oznajmił poważnie:

– Architekt został obudzony, proszę za mną panie Kramer.

Fizyk pożegnał wyniosłym skinieniem głowy strażników, podążając za młodzieńcem. Poczul ulgę, w końcu zrobił to, co powinien uczynić w dniu, kiedy otrzymał te przekłete notatki.

Architekt zawsze był dla niego dobry, nawet kiedy kilka miesięcy temu wszyscy przebąkaliwali o nieprzydatności starego wykładowcy akademickiego w społeczności, gdzie najważniejsza, wbrew propagandzie, była ciężka, fizyczna praca. Nie trafił wtedy, jak inne stare osoby, do pralni chust, którymi podcierano się w latrynach. Nadal był blisko książek, cząstki starego świata. Zachował swoją godność. A ta nie pozwalała mu zostawić grózb jakiegoś troglodyty bez odpowiedzi. Ten bydlak chciał połamać mu nogi? Ha! Zobaczymy, jak będzie śpiewał, kiedy stanie twarzą w twarz z furią Architekta. Kramer przystanął w małym, gustownym pokoiku wypełnionym antykami, w którym zaczęto zapalać rozstawione naprzeciw wysokich, ściennych luster świece. Wkrótce w pomieszczeniu zrobiło się jasno i przytulnie. Szczególnie, gdy Kramer zajął miejsce na skórzanym fotelu, w którym zwykł siadać w okresach, kiedy Architekt życzył sobie przyjmować gości. Władca Megiddo wszedł właśnie do środka i gestem nakazał, by nocny intruz nie podnosił się. Zajął miejsce naprzeciw bibliotekarza, siadając w bliźniaczym fotelu. Po chwili wahania, zdradzającym pewne poirytowanie głosem, spytał:

– Z czym do mnie przyszedłeś, Władysławie?

– Obawiam się, że muszę wyznać ci coś, co może zdyskredytować mnie w twoich oczach.

– Należysz do niewielkiej grupy ludzi, którym wciąż mogę tu ufać. Co takiego zrobiłeś, że miałbym usunąć cię z tego grona?

– Te trzy obce osoby, które nas odwiedziły...

– Teraz są już obywatelami Megiddo, nie nazywaj ich obcymi.  
– Tak, tak – poprawił się szybko fizyk. – W każdym razie tuż po swoim przybyciu, kiedy byli jeszcze obcy, odwiedzili mnie. Przekazali mi niezwykle notatki profesora Jakuba Jakowskiego, którego prawdopodobnie zabito w Sanoku. To był wielki uczoney!  
– Do rzeczy, nie sypiam zbyt dobrze ostatnimi czasy, chciałbym jak najszybciej udać się na spoczynek.  
– Obawiam się... Informacje zawarte w tych notatkach... Mogą wyniknąć z nich pewne problemy związane z ukończeniem wieży.  
– Opowiadaj! Mów wszystko co wiesz! – zakrzyknął histerycznie Architekt, z oblicza którego znikły najmniejsze nawet ślady zmęczenia.  
Zmierzył przy tym rozmówcę badawczym, wyczekującym spojrzeniem błękitnych, nienaturalnie lśniących oczu. Kramer przypomniał sobie zasłyszaną niegdyś opinię dotyczącą nietypowej barwy tęczyówek i ogólnego wyrazu oczu Architekta. Człowiek, który przed Dniem Sądu przez wiele lat był leśniczym, powiedział, że w ten sposób patrzyły wilki tuż przed atakiem. Wilk w owczej skórze – pomyślał nagle Kramer. Czując na sobie ciężkie, zwierzęce spojrzenie rozmówcy, odchrząknął i zaczął opowiadać. Słowa wypływały z jego ust nieprzerwanym strumieniem. Szybko poczuł nieprzyjemną suchość w gardle, ale pomimo tego nie skończył mówić, dopóki nie doszedł do ostatniej groźby Dymitra. Wspomniał nawet o swoich próbach stworzenia prostej aparatury badawczej. Bez zająknięcia wymienił nazwiska inżynierów, z którymi się kontaktował. Wyrzucił z siebie wszystko, co do ostatniej sylaby. I wtedy poczuł się prawdziwie wolny, rozgrzeszony, czysty. Dopóki nie ujrzał wyrazu, jaki przybrała twarz Architekta. Wtedy ponownie, tym razem doszczętnie, pochłonął go paraliżujący strach.

\*\*\*

Judyta pozwoliła sobie na niekontrolowane ziewnięcie, przerywając na chwilę pucowanie podanego jej talerza. Niestety, tempo natychmiast wymusiło na niej ponowną koncentrację. Pośpiesznie wytarła trzymane w ręku naczynie, odłożyła je na bok i sięgnęła po kolejne. Poranne zmywanie było jedną z najgorszych prac w kuchni, wymagało bowiem naprawdę sporo wysiłku, a niedawno przebudzony organizm dopiero nabierał właściwych obrotów. Poza tym dziś zostało jej przydzielone szczególnie dużo obowiązków. Zastanawiała się, czy było to konsekwencją oficjalnego przyłączenia do społeczności, czy efektem złej woli Ewy. Na razie nie miała czasu tego roztrząsać. Szybko, acz dokładnie,

wytarła kolejny talerz, słysząc gdzieś za sobą rytmiczny stukot czyichś kroków. Kątem oka dostrzegła, że jedna ze współpracownic wskazuje na nią, mówiąc ściszym, nie pozbawionym satysfakcji, głosem:

– Tam jest.

Uzbrojeni strażnicy podeszli bliżej, pytając:

– Ty jesteś Judyta?

– A co, jeśli powiem, że nie?

– Idziesz z nami.

– Dlaczego?

– Rozkaz Architekta – odparł jeden z mężczyzn tonem sugerującym, że to wyjaśnienie powinno być w pełni satysfakcjonujące.

Judyta bezceremonialnie wrzuciła już osuszony talerz do miski z brudną wodą, posyłając wścieklej współpracownicy pogardliwy uśmiezek. Kobieta natychmiast wyciągnęła naczynie, zachowując się tak, jakby ponowny kontakt z brudem mógł sprawić, że zostanie w jakiś sposób uszkodzone. Tymczasem wszystkie kobiety w kuchni na moment zaprzestały pracy, obserwując odchodzącą w asyście strażników dziewczynę. Kilka z nich zerknęło w stronę Ewy, która wzruszyła ramionami na znak, że nie wie o tej sprawie więcej, niż one. Na kilka minut w pomieszczeniu zapanował harmider, który wydatnie podsycił każdy kolejny pomysł co do powodu uwięzienia „nowej”. Wokalna burza ucichła niemal tak szybko, jak się rozpętała, i wkrótce wszelkie rozmowy zdominował klekot mytych naczyń. Dalsze spekulacje musiały zaczekać do zakończenia najpilniejszych prac. W Megiddo nigdy nie należało zakłócać ustalonego porządku rzeczy, nawet jeśli chodziło o zmywanie. To było niewłaściwe. I groźne.

Judyta została doprowadzona do pomieszczenia, w którym spędziła swój pierwszy dzień po przybyciu z Sanoka. Na miejscu był już przyprószony skalnym pyłem Dymitr i wymizerowany, sprawiający wrażenie wciąż pijanego Maksym. Stary uśmiechnął się do dziewczyny, zagadując:

– Powrót do przeszłości, co? Znow tutaj jesteśmy.

– Dokładnie to samo pomysłałam.

Dymitr nie włączył się do konwersacji, siedział jedynie nieruchomo wpatrzony w ścianę, sprawiając wrażenie jakby potrafił przeniknąć ją wzrokiem i obserwował coś, co działo się po drugiej stronie. Bezruch, w połączeniu z resztkami skruszonych skał pokrywającymi robocze ubranie upodabniał go do posągu. To nienaturalne wrażenie zniknęło, gdy przekręcił głowę w stronę otwieranych właśnie drzwi. W progu stał

Karol, z miną wyraźnie świadcząca, że obecna sytuacja nie rozgrywa się po jego myśli.

– Zostaliście tutaj wezwani na rozkaz Architekta – zaczął służbowym tonem – który chciałby porozmawiać z tobą, Dymitrze, na temat pewnych... szkodliwych nauk, które podobno ze sobą przynieśliście. Zostaniesz niezwłocznie eskortowany do jego domu.

– Dlaczego nie zaprowadzono mnie tam od razu?

– Bo wolałem, żeby wasza trójka najpierw spotkała się ze mną. Szczepnie radzę wam mówić i robić wszystko, żeby zadowolić Architekta. Ciężko realizować swoje plany, będąc martwym.

– Wiesz, o co chodzi, prawda? – spytał Dymitr. – Rozumiesz, co oznaczają te notatki – dodał z wyraźną satysfakcją.

– Wola Architekta to nadrzędne prawo naszej społeczności – wyrecytował lekceważąco Naczelný Nadzorca. – Muszę być jej podporządkowany. Straże! – krzyknął, wychodząc na korytarz. – Możecie zabrać więźnia.

Dymitr posłusznie udał się za uzbrojonymi mężczyznami, strzepując uprzednio nieco pyłu z ubrania z siłą zdecydowanie większą, niż wymagała tego owa czynność. Judyta odprowadziła go spojrzeniem, pytając jednocześnie Karola:

– Co z nami? Mamy tu po prostu siedzieć, dopóki nie zapadną jakiejś decyzje?

– Na to wygląda.

– Jak zawsze, poza marginesem wydarzeń – burknęła. – Dostanę coś do jedzenia? Pracuję w kuchni, nie zdążyłam zjeść pełnego śniadania, najpierw musimy wydawać posiłki...

– Wiem – przerwał jej mężczyzna. – Sam zajmowałem się zorganizowaniem stołówki. Zresztą jak wszystkiego tutaj. Poza tą... wieżą. Dostaniesz posiłek, zadbam o to. Tymczasem bądźcie cierpliwi. I miejcie nadzieję, że wasz przyjaciel okaże się rozsądnym, zdolnym do kompromisu człowiekiem.

Ponury wyraz twarzy dziewczyny i starego odpowiedział Karolowi, że szanse na eskalację konfliktu właśnie wzrosły. Mężczyzna opuścił areszt, rozkazując jednemu z wartowników przynieść więźniom obfite śniadanie. Nagle poczuł się prawdziwie bezsilny, a to uczucie nie towarzyszyło mu często. Z nienawiścią pomyślał o Architekcie, który próbował dopasować realny świat do wyidealizowanej wizji, jaką zbudował w swojej głowie. Nowa wieża Babel? Nawet po końcu świata nad tym projektem wznosił się wyraźny odór szaleństwa.

Wracając do swojego gabinetu, zastanawiał się, ile można by było do tej pory osiągnąć, gdyby wszyscy zostali w Sanoku. Skoro tutaj udało mu się osiągnąć tak wiele, to jak wiele mógłby zdziałać z kilkoma dodatkowymi setkami ludzi? Ja, Karol Wielki – pomyślał z rozbawieniem. To były tylko dziecinne marzenia, ale mimo wszystko dodawały mu otuchy. Szczególnie teraz, gdy nadzieja na normalizację została brutalnie wyrwana na światło dzienne zanim zdążyła zapuścić korzenie. Cokolwiek mogło się wydarzyć w najbliższej przyszłości, nie zależało już od niego. O wszystkim zdecyduje konfrontacja dwóch ludzi ślepo wierzących w swoje ideały. A życie nauczyło Karola, że w takich konfliktach najbezpieczniej jest stać z boku i cierpliwie czekać na rozwój wydarzeń. Ostatecznie któraś ze stron zawsze zwyciężała, a wtedy wykończony zmaganiem triumfator chętnie przyjmował pomocną dłoń ofiarnego Naczelnego Nadzorca.

\*\*\*

Droga do domu – czy raczej twierdzy, jak pomyślał Dymitr – Architekta nie zajęła wiele czasu. Po minięciu kilku posterunków został wprowadzony do bogato urządzonego pokoju. Bezceremonialnie rozsiadł się w jednym z identycznych, skórzanych foteli, spoglądając na drzwi, z których wyszedł władca Megiddo. Ku zdumieniu swojego „gościa” odprawił straż i zajął miejsce w drugim fotelu, z uśmiechem zauważając:

– Siedzisz w tym samym miejscu, z którego wczorajszej nocy Kramer wyznał mi o zarazie, która przywlokłeś do Megiddo.

– Chodzi ci o prawdę?

– A co to jest prawda? Czy tak powinienem spytać? To byłoby wygodne, ja w roli Piłata, a ty...

– Darujmy sobie ten cyrk. Czego ode mnie chcesz? W jaki sposób złamałem prawo?

Mężczyźni zmierzili się wzrokiem, oceniając swojego adwersarza. Dymitr pozwolił sobie na lekki uśmiezek, podczas gdy Architekt nie poruszył ani jednym mięśniem twarzy. Wywołało to nieprzyjemny efekt przywodzący na myśl różne szalone pomysły, na przykład podejrzenie, że ciało mężczyzny jest tylko naczyniem dla jakiejś złowrogiej woli.

– Chociażby tym – przerwał ciszę władca Megiddo – że groziłeś niešťczęsnemu Kramerowi.

– Ma na to jakichś świadków?



– Nie. I nie będą potrzebni, bo wiesz doskonale, że w grę wchodzi coś innego, większego. Chcesz przeszkodzić w tym, do czego dążymy. A na to nie mogę pozwolić.

– Chodzi o budowę wieży?

– Budowa to tylko fizyczny wymiar Babel. Nie jestem naiwny, wiem, co myślą o tym ludzie, nie uszły mnie knowania Karola, jego pożądanie władzy. To nieuniknione problemy. Mimo to wieża wciąż się wznosi, a nasza społeczność żyje coraz dostatniej. Nie tracimy naszego człowieczeństwa, wciąż od ludzkich zwierząt oddziela nas gruba linia cywilizacji.

– Czytałem broszurę. Rzucasz tym wyzwanie Bogu, który zgotował dla ludzi inny los.

– To duże uproszczenie, Dymitrze.

– Ale zawiera w sobie podsumowanie tego wszystkiego, co tutaj robicie. Tylko że to nie ma sensu. To nie Bóg nas zniszczył, to natura, wybuchy na Słońcu. Nic więcej. Tutaj, w Megiddo, wszystko jest doskonale zorganizowane. W takim miejscu można zacząć odbudowę całej cywilizacji! Zebrać naukowców, niech wymyślą...

– Podkarpacka osada nadzieją dla całego świata? To rzeczywiście ma sens.

– Nie drwij z tego, czego nie rozumiesz!

– I kto to mówi? Ty sam nawet nie byłeś w stanie pojąć tych notatek stworzonych przez zgorzkniały umysł naukowca, któremu odebrano jego zabawki. To wszystko jest abstrakcją, rzędem cyfr na papierze.

– Kramer mówił, że można potwierdzić te wyniki eksperymentami, to wymaga czasu, ale...

– Nadal niczego nie rozumiesz. Obliczenia prawdopodobnie są prawdziwe i rzeczywiście nasz gatunek zgładziło jakieś kosmiczne promieniowanie. To nie jest przecież ważne. Apokalipsa jest skutkiem, nie przyczyną. Dlaczego, jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, Słońce zabiło nas akurat teraz? Co jest tego źródłem?

– Zakładam, że obwiniasz Boga. Ostatecznie zdecydowanie lepiej jest być zniszczonym przez wyższą inteligencję, niż kaprys natury.

– Więc wybierasz wiarę w ślepe zrzędzenie losu?

– Wierzę w fakty. Te notatki wyraźnie...

– Nawet nie jesteś w stanie samodzielnie zrozumieć tych notatek! – wtrącił się gniewnie Architekt, dodając jednak pojednawczo: – ani ja. Po prostu przyniosłeś je tutaj jak kurier, nie myśląc o konsekwencjach.

– Boisz się, że ludzie przestaną wznosić twoją wieżę? Może i masz rację, ale co z tego? Nie męczy cię ta cała szopka? Macie niepowtarzalną szansę zbudować coś realnego, trwałego! Naprawdę chcesz dalej wnosić nową wieżę Babel? I nazywać jakąś opustoszałą wioskę Megiddo, a siebie Architektem?

– Jestem Architektem.

– Tak, niejako zbudowałeś tę społeczność...

– Nie rozumiesz mnie, Dymitrze. W Dniu Sądu utraciłem moją tożsamość. Zachowałem całą zdobytą wiedzę, ale to, kim byłem wcześniej, zniknęło. Nie znam nawet swojego imienia. Wiem tylko, że JESTEM Architektem, a moim zadaniem jest wzniesienie, jak już ci tłumaczyłem, w wymiarze fizycznym i duchowym, nowej wieży Babel. Pamiętasz, co pierwotnie napisano o wieży Babel? To miejsce, ta budowa, zjednoczyła rozproszonych po potopie ludzi. Dała im cel, uniezależniła od Boskich rozkazów! Teraz sytuacja jest dokładnie taka sama.

– Żalotne. Nie wiem, skąd wiesz o mojej przypadłości, ale nie myśl, że przekona mnie ta tania sztuczka. Dwaj zdeterminowani, pozbawieni tożsamości ludzie, postawieni po przedziwnych stronach barykady? Idealne zobrazowanie twoich teorii o zawistnym Bogu, którego drażni ludzka skłonność do samodzielnego myślenia. Chcesz wykorzystać moje zaniki pamięci jako kartę przetargową w tym pseudoteologicznym sporze?!

Architekt nie odpowiedział. Jego spojrzenie nabrało tak niepokojącego wyrazu, że Dymitr nawet nie próbował zgadywać, co działo się w umyśle adwersarza. Błękitnooki mężczyzna wstał bez słowa, i, krocząc jak lunatyk, przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, by po chwili powrócić z naręczem zniszczonych, szkolnych zeszytów. Podał jeden z nich rozmówcy, resztę z przesadną troską kładąc obok fotela, tłumacząc:

– Masz w rękach największy sekret Megiddo.

Dymitr bez większego entuzjazmu przejrzał kilka stron. A potem następne. Kartkował jak szalony, wpijając się wzrokiem w starannie, wręcz obsesyjnie, wykaligrafowane pismo. Skróty myślowe, słowa klucze, zapiski najważniejszych wydarzeń z okresu ostatnich kilku miesięcy. Streszczenie codzienności ułożone w taki sposób, aby czytelnik uchwycił nie tylko fakty, ale towarzyszące im odczucia. Kod, który był czytelny tylko dla jego twórcy. Wiedział o tym, sam posiadał marną namiastkę czegoś takiego.

– Naprawdę tracisz pamięć – wycedził. – Te wszystkie zapiski...

– To ja. Co kilka miesięcy czuję, jak wszystko zaczyna się rozpyływać, cała moja pamięć. Wtedy studiuję te zapiski, chwytam się ich jak kotwicy, rozpalam wspomnienia.

– Twoja pamięć się nie... kasuje?

– Nie.

Dymitr uśmiechnął się pobłaźliwie, wyjmując z kieszeni oblepioną taśmą klejącą kartkę, którą podał Architektowi, rozkazując:

– Czytaj!

– Jestem Tobą. Nazywasz się Dymitr, to nie jest prawdziwe imię, zobaczyłem je na kartce z kalendarza w domu, w którym się obudziłem po utracie pamięci. Co jakiś czas, co trzy, cztery tygodnie, może częściej, będziesz miał ostre bóle głowy. Za każdym razem będzie gorzej, aż w końcu (jakiś 5, 6 atak) stracisz pamięć. Spisuję to dwa lata od Katastrofy spowodowanej podobno wolą boga. Nie pamiętam już prawie niczego ze swojej przeszłości. Mam tylko świadomość, że WIEM COŚ WAŻNEGO. Jest to związane z jakąś „wieżą Babel”, szukam informacji o takim miejscu. Trzymaj się, bądź twardy, nie ufaj nikomu, wierz w siebie. Dymitr.

– To właśnie ja. Szukałem wieży Babel, a przynajmniej tak mi się wydawało. W Rzeszowie pewien hipnotyzer pomógł mi dotrzeć do resztek wspomnień, nareszcie zrozumieć mój błąd. Szukałem nie miejsca, a człowieka, Jakuba Jakowskiego.

– Kramer powiedział mi kim był. I jak skończył.

– To groźba?

– Nie jestem twoim wrogiem, Dymitrze.

– Jasne. Po prostu rozmawiamy – zakpił mężczyzna. – W każdym razie teraz wszystko jest już jasne, spełniłem swoje zadanie. Odszukałem przecież Jakowskiego, przekazałem jego orędzie dalej.

– I czujesz się spełniony? – zapytał Architekt, oddając kartkę, by przyjąć swój zeszyt.

– Znow chcesz wyjechać z tym przykładem o zwykłym, bezmózgim doręczycielu? Tydzień temu ktoś męczył mnie podobnymi bzdurami. I dostał w ryj.

– To groźba?

– A żebyś wiedział! Możecie mnie wszyscy nazywać bydlakiem, brutalnym draniem, który robi za kuriera, proszę bardzo! Tak, jestem za głupi, żeby zrozumieć te wszystkie obliczenia. Nie jestem fizykiem, nie wiem, kim jestem! Ale zrobiłem swoje. Tego nikt mi nie odbierze. Z tego, co wyciągnął ode mnie hipnotyzer wynika, że kiedyś, po

KATASTROFIE, byłem ochroniarzem Jakowskiego. Dbałem o niego, kiedy robił te swoje badania, szlifował naukową hipotezę. Ja, prosty mięśniak, wiedziałem, jakie to ważne. A kiedy straciłem pamięć, to jedyne, co ocalało z mojej tożsamości, było związane z tą sprawą. Zrobiłem to. Dałem ludziom szansę na nowy start. Jak, kurwa, Prometeusz! – wykrzyczał z ekstazą w głosie. – Wszystko może się teraz zmienić! Tutaj, w tym twoim Megiddo! Trzeba zrobić jakieś badania, zmierzyć to promieniowanie kosmiczne, jakoś sprawić, żeby dzieci znów zaczęły się rodzić!

– Nie widzisz tego? – spytał z żalem Architekt. – A przecież przed chwilą sam to zauważyłeś. Dwóch ludzi z taką samą przypadłością po przeciwnej stronie barykady. To jego sprawa. Nie może łamać naszej wolnej woli, sam ustanowił te zasady, reguły swojej wielkiej gry. Ale dzięki takiemu posunięciu nie musi niczego robić, sami się unicestwimy. Zrobił z ciebie żywego konia trojańskiego, Dymitrze.

– Ty chyba naprawdę wierzysz, że pojedynkujesz się z Bogiem! Rozumiem, cała ta nadająca sens otoczka, Megiddo, Babel, Architekt, to cię definiuje. Byłem bez przerwy napędzany przez to samo pragnienie. Ale teraz to już nieważne. Prawda nareszcie wyszła na jaw. Nie potrzeba już Dymitra i Architekta, trzeba tylko zacząć...

– Nie. To ty niczego nie rozumiesz – stwierdził spokojnie błękitnooki mężczyzna o chłodnym spojrzeniu fanatyka. – Karty zostały wyłożone, tu masz rację. Ale prawdziwie mistrzowska zagrywka wytrawnego gracza zawiodła, to rozdanie jest moje. Bóg...

– Bóg nie gra z tobą w karty, świrze!

– Dość! Nie będziesz mnie obrażał, ty nędzne narzędzie tego drania! STRAŻ!

Po krótkiej chwili do pomieszczenia wpadło dwóch uzbrojonych mężczyzn z widocznymi oznakami paniki na twarzy. Widząc, że ich przywódca nie jest zagrożony uspokoił się nieco, lecz nie opuścili broni, celując z pistoletów do siedzącego spokojnie Dymitra.

– Wierzę, że Kramer powiedział mi wszystko o tej sprawie, ale kto wie kogo jeszcze zdołałeś skalać tymi poglądami – oznajmił Architekt. – Dlatego dzisiaj wieczora, publicznie okażecie skruchę. Ty i ludzie, z którymi tutaj przyszedłeś przed dwoma tygodniami. Wiem, że nie cenisz wysoko swojego życia, ale nie masz prawa rozporządzać cudzym istnieniem. Chyba, że naprawdę jesteś tylko pozbawionym skrupułów osiłkiem.

– Liczę, że nie zastosujesz odpowiedzialności zbiorowej, kiedy wieczorem nie zacznę się kajać.

– Zostawcie nas – rozkazał Architekt, czekając z podjęciem rozmowy, aż jego podwładni, z ociąganiem, spełnią to polecenie. – O to możesz być spokojny. Oczekuję tylko dyskrecji. Nie próbuj wykorzystać forum publicznego do wygłaszania mów. Jeśli nagle zaczniecie mówić o hipotezie Jakowskiego, to zostaniecie zabici na miejscu. To samo tyczy się sprawy moich notatek. Macie jedynie wyznać skruczę i otwarcie potępić szerzone przez siebie poglądy jako szkodliwe. Karol zajmie się potem rozpuszczaniem plotek, iż rzekomo byliście zamieszani w agitację na rzecz Sanoka.

– Więc po partyjce pokera z Wszchemogącym postanowiłeś spróbować sił jako inkwizytor?

– Mógłbym po prostu kazać was zabić.

– I zepsuć sobie zabawę? Obawiam się, że twój typ psychozy na to nie pozwala.

– Drwij do woli, skoro wolisz uciec od rzeczywistości za mur cynizmu.

– Lepsze to od wieży szaleństwa.

– Poznałeś moje warunki, przekaż je Maksymilianowi i Judycie. Jeśli je spełnią, będą mogli pozostać w Megiddo. Ty, jeśli się przyznasz, oczywiście również będziesz mógł tutaj zostać, chociaż wątpię, żebyś tego chciał. Dlatego proponuję ci układ. Okaż skruczę, a zapewnię ci prowiant oraz broń. Ruszysz, gdzie tylko będziesz chciał, byleby jak najdalej stąd. Zabierzesz ze sobą notatki Jakowskiego, i będziesz mógł namawiać inne społeczności do swoich racji.

– A jeśli odmówię?

– Spędzisz noc w areszcie, a rano zostaniesz stracony. Ale nie widzę żadnych racjonalnych powodów, dla których miałbyś wybrać śmierć. Moja oferta jest więcej, niż hojna.

– To wszystko? Skończyliśmy rozmawiać?

– Tak, Dymitrze. Spotkamy się wieczorem. Straż!

Do pomieszczenia ponownie wkroczyli uzbrojeni, zdezorientowani wartownicy, z wyraźną ulgą przyjmując rozkaz odprowadzenia więźnia do aresztu. Dymitr również poczuł się znacznie lepiej, gdy opuścił nareszcie siedzibę Architekta. To miejsce sprawiało wrażenie niemalże namacalnie przesiąkniętego obłędem swojego gospodarza, człowieka o wilczym spojrzeniu, który toczył zaciekły bój z Bogiem. By zająć czymś myśli, Dymitr próbował ułożyć jakąś celną puentę, jaką mógłby ceremonialnie wygłosić Maksym, gdyby przysłuchiwał się odbytej niedawno rozmowie. Niestety, nic godnego uwagi nie przyszło mu do głowy. Zamiast tego, wbrew sobie, wrócił do rozważania

oferty Architekta. Istotnie, nie było żadnego racjonalnego powodu, by ją lekkomyślnie odrzucać. I być może właśnie dlatego irracjonalna, przełożona pokusa wciśnięcia tej logicznej, wielkodusznej propozycji głęboko w gardło Architekta była dla upartego mężczyzny tak przeraźliwie, śmiertelnie kusząca.

\*\*\*

Dymitr, zaraz po powrocie od Architekta, został starannie wypytany przez Karola o wszelkie szczegóły odbytej rozmowy. Nie zdradził jednak wiele, uparcie domagając się widzenia z resztą swojej grupy w celu przedyskutowania otrzymanej propozycji. Kiedy jego prośba została spełniona, zdołał tylko przedstawić ogólny wydźwięk rozmowy i ofertę Architekta, nim pojawił się zblazowany strażnik, by wyprowadzić Judytę. Wedle jego słów dziewczyna miała zostać na osobności przesłuchana przez Naczelnego Nadzorcę, podobnie jak każdy z więźniów.

– Ile jej nie ma? – spytał zniecierpliwiony Dymitr.

– Czeka, zerkną na zegarek. Ach! Zapomniałem, że globalna apokalipsa pozbawiła mnie takich luksusów jak czasomierz.

– Nie możesz po prostu odpowiedzieć?

– Niby co? Minął może z kwadrans, nie więcej. Przecież wiesz.

– Ciekawe, dlaczego chce rozmawiać z nami po kolei?

– Kto go tam wie.

Rozmowa wygasła, a mężczyźni zajęli się własnymi myślami. Z minuty na minutę atmosfera w areszcie stawała się coraz bardziej napięta. Krążący niespokojnie od ściany do ściany Maksym przystanął nagle pośrodku pokoju, celując w siedzącego w kącie Dymitra palcem i wołając:

– Campo di Fiori!

– Co?

– To taki plac w Rzymie i jednocześnie tytuł wiersza Miłosza.

– Nie znam.

– Jakoś nie jestem tym zdziwiony, bez urazy!

– No i?

– Tak?

– Maksym, naprawdę nie mam sił na twoje pierdoły! Mów o co chodzi z tym wierszem.

– Był taki filozof i astronom, Giordano Bruno. Spalili go na tym placu w tysiąc sześćsetnym roku. Nie odwołał swoich poglądów podczas składania zeznań przed inkwizycją.

- To ma być niby nawiązanie do mojej sytuacji?
  - A jakże. Z drugiej strony na pewno słyszałeś o Galileuszu, co?
  - Wyobraź sobie, że tak.
  - No widzisz. On też zeznawał przed inkwizycją. Wyparł się wszystkiego, ale i tak po cichu robił swoje. Teraz wszyscy go kojarzą, a biedny Bruno...
  - Został inspiracją dla noblisty.
  - No cóż. Fakt.
  - Wiem, o co ci chodzi, Maksym. I nie mam zamiaru zostać męczennikiem bez powodu. Ale ta łaskawa oferta Architekta to właściwie wyrok. Sporo podróżowałaś, czy gdziekolwiek trafiłeś na społeczność taką jak tutaj?
  - Nie – przyznał stary.
  - Albo zakorzenimy poglądy Jakowskiego tutaj, albo nigdzie. Wystarczy, żeby dowiedzieli się o nich prości ludzie!
  - Dymitr... Pamiętasz, wtedy podczas burzy, próbowałem ci wytłumaczyć, jak działa to społeczeństwo.
  - Taa.
  - Zwykli ludzie tak po prostu nie odwrócą się nagle od swoich dotychczasowych przywódców. Musiałoby dziać się naprawdę bardzo, bardzo źle. A teraz jest co najmniej znośnie, nikt nie rozпали rewolucyjnego ognia w pełnym żołądku.
  - Rozumiem to.
  - A tutejsze szychy mają cię na oku.
  - Nas, Maksym, nas.
- Stary uśmiechnął się smutno.
- Aha – mruknął Dymitr. – Jeśli przyjąłbym ofertę Architekta i szukał szczęścia gdzie indziej, ty tu zostaniesz, co?
  - Sporo razem przeszliśmy, chociaż naturalnie tego nie pamiętasz. Ja z drugiej strony mam dużo wspomnień, zbyt dużo. Wybacz, ale jeśli o mnie chodzi, to tak, pasuję. A Judyty nawet nie prosz, dziewczyna ma pełne prawo do ułożenia sobie życia od nowa, po tym jak wykurzyliśmy ją z Krakowa.
  - Wiem, nawet przez myśl mi nie przeszło targać jej ze sobą. Jeśli skorzystam z oferty.
  - Myślisz, że Architekt tylko blefował? Że nie zabije cię, jeśli mu odmówisz?
  - Ja widzę to tak, że na naszych oczach ścierają się dwa żywioły.
  - To znaczy?

– Naczelnny Nadzorca, twój przyjaciel Karol.

– Dymitr, nie myśl...

– Może i nie pamiętam tego, co wcześniej przeżyliśmy, ale od wizyty w Krakowie miałem już kilka okazji do wyrobienia sobie opinii o tobie. Poza tym, w pracy słyszałem co nieco o kilku tutejszych kapusiach. Jesteś szumowiną, Maksym. I nie myśl, że chcę cię obrazić. Po prostu stwierdzam fakt. Umiesz o sobie zadbać i nie wierzę, że ktoś taki jak ty, nie zacząłby tutaj urządzić sobie wygodnego życia.

– Brawo, detektywie. Rzeczywiście mam pewien układ z Karolem. A wiesz dlaczego? Bo zagroził ruszeniem sprawy śmierci Andrzeja.

Dymitr nie odpowiedział, uśmiechając się tylko smutno pod nosem. W tym momencie drzwi do aresztu uchyliły się, a do środka wprowadzono Judytę. Strażnik wskazał na Maksyma, rozkazując:

– Teraz ty.

– W porządku, zobaczę ile można zrobić – zapewnił Dymitra stary, idąc nonszalancko w stronę drzwi.

– Dziękuję – wybąknął niechętnie mężczyzna, jak gdyby wypowiedzenie tego słowa pozostawiało w jego ustach gorzki posmak.

Maksym na odchodne puścił zawadiackie oczko do Judyty, podążając za strażnikiem w stronę wyjścia z budynku, gdzie czekał już Karol. Naczelnny Nadzorca uśmiechnął się konspiracyjnie i, przejmując więźnia od podwładnego, wskazał w stronę obrzeży Megiddo, proponując:

– Przejdziemy się?

– Ściany mają uszy, co? – zagaił Maksym.

Rozmówca zgaśnił go spojrzeniem, gestem zapraszając do podjęcia wędrówki. Przez kilka minut mężczyźni milczeli, idąc dostojnym krokiem ramię w ramię, jak para współników nadzorujących pracę w swojej fabryce. Ludzkie tryby spisywały się nadzwyczaj dobrze, a kilka z nich pozdrowiło w biegu Naczelnego Nadzorcę, który zapewnił starego:

– Wypytywałem Judytę o różne bzdury z okresu waszej podróży. Woląłem zacząć rozmowę od niej, żeby wezwanie cię nie wzbudziło niepotrzebnych podejrzeń...

– Daruj sobie ostrożność, Dymitr wie. Domyślił się, że siedzę w twojej kieszeni.

– I?

– Pokłada w tym pewne nadzieje.

– Szkoda, że nie wspomniał o tym, kiedy rozmawiałem z nim zaraz po jego pogawędce z Architektem. W rozmowach z wami był bardziej otwarty?



– Tak.

– Mów – rozkazał Karol.

– Taajes – wyseplenił Maksym, by poważniejszym tonem oznajmić: – Wygląda na to, że wasz wielki wódz naprawdę jest święcie przekonany o tym, że pojedynkuje się z Bogiem.

– To żadna nowość.

– I cierpi na, powiedzmy, częściowe zaniki pamięci co kilka miesięcy. Musi wtedy korzystać z jakichś notatek wypisanych w stercie zeszytów, żeby sobie wszystko odświeżyć żeby nie doświadczyć trwałej amnezji.

Naczelnym Nadzorca przystanął, przyglądając się uważnie rozmówcy.

– Wiem o tych zeszytach – stwierdził. – Uważałem je za rodzaj pamiętników. Ale... Ha! Co kilka miesięcy... Wszystko się zgadza!

– Zadowolony?

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Ty też powinieneś się cieszyć. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to czeka cię tutaj życie jak w bajce. Wracamy.

Mężczyźni zawrócili nieśpiesznie, półgłosem kontynuując rozmowę:

– Mam coś przekazać Dymitrowi? – spytał Maksym.

– Tak, nie jestem nim zainteresowany. Najlepiej niech wyrzeknie się poglądów i w spokoju stąd odjedzie. Ale niezbyt daleko, przed zimą może dojść do zmiany warty. Nie ja jeden widzę niepokojące zmiany w zachowaniu Architekta. Zwykli ludzie praktycznie nie mają już z nim kontaktu.

– A Judyta?

– Co z nią?

– Możesz załatwić jej jakiś lepszy przydział?

– W swoim czasie. Są gorsze roboty, niż kuchnia. W zasadzie trafiła w dobre miejsce, nie powinna narzekać.

– Nie znasz jej – zaśmiał się Maksym.

– I nie poznam, poza tym nie jestem twoim kumplem, więc daruj sobie ten ton. Po powrocie mów to samo, co dziewczyna. Że wypytywałem o podróż. Niech to wygląda tak, jakbym wypełniał jakiś przepis stosowny w takich sytuacjach. To wszystko.

Po chwili mężczyźni dotarli do budynku, w którym mieścił się areszt. Karol wydał rozkaz odprowadzenia więźnia i nie okazując już żadnego zainteresowania Maksymem, ruszył w stronę budynku administracji. Stary również milczał, posłusznie dając się prowadzić. Gdy dołączył do reszty grupy, stwierdził gorzko:

– Nic z tego, Dymitr. Jesteśmy zdani na siebie. Wieczorem grzecznie wyprzemy się hipotezy Jakowskiego, a potem się pomyśli.

– Ile jesteś w stanie o niej powiedzieć? – spytał ponuro Dymitr. – Na przykład, gdyby ktoś zadał ci jakieś bardziej szczegółowe pytania?

– O co ci chodzi?

– Dymitr ma pewien pomysł – zaczęła niepewnie Judyta – ale to kretynstwo!

– Wcale nie – zapewnił mężczyzna. – Zakładając, że obietnice Architekta są nic niewarte, a po rozmowie z tym wariatem jestem tego niemal pewny, i tak czeka mnie śmierć. A teraz zgadnijcie, co pomyślą ludzie, jeśli dziś odmówię potępienia swoich przekonań?

– Źeś idiota – mruknął pod nosem Maksym.

– Mogą być zainteresowani – przyznała niechętnie Judyta.

– Dokładnie! – wykrzyknął Dymitr. – Szczególnie, że nie będą przecież wiedzieć, o co właściwie chodzi. To pobudzi ich ciekawość, zainteresowanie, a to cholernie silne uczucia. Szczególnie w takiej małej społeczności, jak ta. Przyjdą z pytaniami do was, a wy wyjaśnicie podstawowe założenia tej hipotezy. Ludzkość zniszczona nie z wyroku Boga, ale na skutek naturalnej katastrofy. Jest nadzieja na odrodzenie. Trzeba to tylko jakoś ubrać w słowa, ale z tym bez trudu poradzi sobie Maksym.

– Mam być twoim apostołem? – prychnął stary. – A ty niby kim? Załatwić trochę prawdziwych cierni, czy sklecić koronę z drutu kolczastego?

– Co jest złego w tym planie?

– Popatrz na ten żałosny wyraz twarzy Judyty, to trójwymiarowy model tego, co jest nie tak z tym pomysłem!

– Postanowiłem.

– A my mamy grzecznie spełnić twoją wolę? – warknął Maksym. – Tak, jak zawsze? Ty staniesz się męczennikiem, a my mamy ryzykować wydalenie ze społeczności, albo i gorzej, rozgłaszając twoją nową ewangelię? Bardzo wygodne!

– Własna śmierć ma być dla mnie wygodna?

– I tak bez wspomnień nie żyjesz naprawdę – wypalił stary.

– Dymitr... – zaczęła Judyta, ale zamilkła, kiwając tylko smutno głową i po chwili dodając: – Rób jak chcesz. Ale od nas nie dostaniesz gwarancji, że zajmujemy się sprawą hipotezy po twojej... śmierci. Przemyśl to jeszcze, dobra? Przemyśl, tak naprawdę. Możesz mi to obiecać?

– Tak.

Rozmowa wygasła, nikt nie miał już niczego więcej do powiedzenia. Maksym przysiadł w kącie i rozpuścił włosy, zakrywając nimi twarz.

Judyta przysiadła obok, od czasu do czasu bez wyraźnego powodu szturchając starego w nogę. Dymitr stanął przy oknie, z którego ktoś wymontował klamkę, skrupulatnie zasklepiając otwór gipsem. Dotknął ostrożnie szyby, wiedząc, że mógłby jednym uderzeniem przebić tę przezroczystą powierzchnię, która dzieliła go od świata zewnętrznego. Może nawet zdołałby przebiec kilka metrów, zanim dostałby pierwszą kulę. Tylko po co?

Ostatnie lata jego życia były niczym innym, jak ciągłą ucieczką przed śmiercią. A przecież Maksym miał rację, nie był tak naprawdę żywy. Pozbawiony nie tylko starych wspomnień, ale nawet możliwości zachowania nowych ich na okres dłuższy niż kilka miesięcy. Dymitr czuł, że powinien zginąć razem z miliardami ludzi pięć lat temu, ale jego organizm okazał się na to za silny. A przy tym za słaby, by uniknąć trwałych uszkodzeń. Był wrakiem, który stanął przed szansą odzyskania ostatniego, chwalebego rejsu. Męczennik nauki – pomyślał z gorzką satysfakcją. – Lepsze to, niż skonanie w jakimś rowie, nie znając nawet swojego imienia. A mimo tego, nadal nie mógł zaakceptować myśli o rozstaniu się z życiem. Wciąż nie miał pewności, czy obranie tej drogi to dowód odwagi, czy tchórzostwa. Niepewność wdarła się do serca mężczyzny, tłumiąc wszelkie próby racjonalizacji. Wiedział już, że nie będzie w stanie podjąć decyzji, zanim nie stanie przed tłumem, by ją oznajmić. Wtedy poznają ją wszyscy w Megiddo. I on sam.

\*\*\*

Ewa, podobnie jak większość z kilkuset ludzi zgromadzonych tego wieczora przy placu budowy, bezskutecznie próbowała precyzyjnie się jak najbliżej skleconego naprędce podestu, na którym stała trójka więźniów. Nerwowa atmosfera wyczekiwania przybierała na sile z każdą minutą, a wypytywani o szczegóły strażnicy zaczęli już tracić cierpliwość. Milczeli więc, z dłońmi wymownie wspartymi o kabury. Ewa raz jeszcze spróbowała beznadziejnego szturmu ku pierwszym szeregom, ale gdy czyjś łokieć nieomal roztrzaskał jej nos, dała za wygraną. Teraz nie mogła nawet spróbować przejść w stronę obrzeży ludzkiej masy. Uwięziona w tłumie, z polem widzenia ograniczonym do pleców stojących przed nią ludzi, mogła tylko czekać. Gwar rozmów przeplatał się z wykrzykiwanymi przez poirytowanych strażników rozkazami, sukcesywnie cichnąc. Nagły, przypominający huk wystrzału aplauz przestraszył kobietę, która machinalnie przyłączyła się do innych ludzi, klaszcząc energicznie.

- Architekt!
- To Architekt!

Kolejne okrzyki trwały przez jakiś czas, zanim strażnikom udało się ponownie zaprowadzić względną ciszę. Lichy podest zaskrzypiał niepokojąco, gdy Architekt wszedł na niego w towarzystwie dwóch strażników, by oznajmić:

- Moi drodzy! Witajcie!

Odczekując, aż przeminie kolejna fala aplauzu, dodał:

- Nie mamy, niestety, zbyt wiele okazji do wspólnych zgromadzeń, ale sami wiecie, jak ważną misję mamy do wykonania! Musimy budować wieżę!

Zabrzmiało kilka nieśmiałych braw, które szybko ucichły.

- Znacie stojących tutaj ze mną ludzi – kontynuował Architekt. – Niedawno zostali członkami naszej społeczności. Dymitr, Maksymilian i Judyta to dobrzy ludzie, wiem o tym. Być może niektórzy z was poznali ich nawet bliżej.

Ewa poczuła nieprzyjemny dreszcz przebiegający po plecach.

- Ale! – wykrzyknął, zawieszając na moment głos. – Ci ludzie, obcy, nie zrozumieli w pełni praw, które rządzą naszą społecznością. Głosząc swoje szkodliwe poglądy, narazili was na niepotrzebne wątpliwości. A nie ma nic gorszego, od zatruwania przepelnionych wiarą serc! Nie ma!

Dymitr spojrział z satysfakcją na zaniepokojone twarze ludzi, którzy zaczęli, szeptem lub na głos, dyskutować o tym, czym są te „szkodliwe nauki”.

- Dziś nastał czas rozrachunku! – wrzasnął Architekt, uspokajając tłum. – Dałem tym ludziom szansę nie tylko na zachowanie życia, ale też pozostanie w naszej społeczności, by pracą odpłacili za wyrządzone wam zło!

- Ale o co chodzi? – spytał ktoś, głośniej niż zamierzał.

Stojący na uboczu Karol z kamiennym wyrazem twarzy obserwował rosnący niepokój tłum.

- Wybierajcie! – rozkazał więźniom Architekt. – Czy chcecie trwać przy swoich kłamstwach, czy wyrzekacie się ich i uroczycie ślubujecie dalej służyć naszej społeczności swoją pracą?

- Ale co oni zrobili?
- O co chodzi?
- Są z Sanoka?
- Jakie nauki?

Coraz głośniejsze nawoływania tłumu gwałtownie przycichły, gdy jeden ze strażników wystrzelił dwukrotnie w powietrze, nakazując zachowanie ciszy.

– A więc? – spytał Architekt, zatrzymując spojrzenie na Judycie.

– Tak, wyrzekam się! – krzyknęła dziewczyna.

– Ja też! – dodał pośpiesznie Maksym.

– A ty? – spytał, stając tuż przed Dymitrem.

Muskularny mężczyzna nie odpowiedział. Tymczasem za plecami Architekta tłum ponownie zawrzał, żądając odpowiedzi o właściwą przyczynę zatrzymania trójki nowych, ale jednak obywateli Megiddo. W pewnym momencie ktoś wykrzyknął „Bezprawie!”, co dało początek lawinie oskarżeń o bezpodstawne zatrzymanie pełnoprawnych obywateli i samowolę straży.

– Czekam – powiedział ze spokojem Architekt, jakby nieświadomy ludzkiej burzy, która szalała za jego plecami. – Czy wypierasz się swoich nauk, które głosiliś?

– Nie są moje, hipotezę stworzył profesor Jakub Jakowski – oznajmił, znacznie głośniej, niż to było konieczne, Dymitr.

Słowa „profesor”, „hipoteza” oraz nazwisko uczonego, natychmiast wsiąknęły w tłum, by krążyć od ust do ust. Zaczęło się – pomyślał z satysfakcją Dymitr, dodając na głos:

– Nie mogę wyrzec się naukowych faktów! Mogę jedynie obiecać, że przestanę o nich opowiadać.

– Obiecaj! – ryknął Architekt, odwracając się na moment w stronę tłumu.

Nie czuł ich wsparcia, oddania. Nagle ta plątanina kończyn i głów wypełzających z jednego tułowia zdała mu się obca i wroga. Hydra. To było dobre określenie tego hałaśliwego, zbiorowego monstrum złożonego z głupich ludzi nie myślących o niczym, poza napełnianiem brzuchów. Nie czekając na ostateczną deklarację Dymitra, wybuchnął:

– A więc śmierć! Śmierć dla tego, który staje przeciw temu, co słuszne!

Głuchy pomruk przetoczył się po tłumie. Mówca nie wiedział, czy oznaczał on aprobatę, czy wyraz niemego sprzeciwu, ale nie dbał już o to.

– Dymitr zostanie stracony jutro o świcie! – zagrzemiał, z pietyzmem składając dłonie na sercu w teatralnym geście. – Ciężko przychodzi mi podjęciej decyzji, ale tego wymaga dobro ogółu, wasze dobro! Nasza misja! – Egzekucja nie będzie publiczna! – oznajmił Karol, który wbiegł pośpiesznie na podest. – To wszystko, rozejdźcie się do domów! Pozostała dwójka więźniów jest wolna!

Architekt z przerażeniem spostrzegł, jak ludzka fala cofa się i rozprasza. Naczelnny Nadzorca zakończył zgromadzenie. Tak po prostu. A teraz spokojnie wydawał strażnikom dyspozycje, nawet nie siląc się na uzgodnienie z nim, ARCHITEKTEM, żadnych szczegółów. Władza tego człowieka sięgała znacznie dalej, niż to sobie wyobrażał. I musiała zostać ukrócona, jak najszybciej.

– Zdecydowałeś za mnie – stwierdził pełnym nienawiści tonem Dymitr, wytrącając Architekta z ponurego labiryntu rozmyślań o ugruntowaniu swojej pozycji, w który wpędził swój umysł.

– Teraz to już bez znaczenia.

– Odebrałeś mi MOJĄ decyzję!

– Czy byłaby inna? Zacząłeś mówić o sprawach, których miałeś nie poruszać – tłumaczył mężczyzna, cofając się na tyle, by znaleźć się obok osobistego strażnika. – Dałem ci szansę, a ty ją odrzuciłeś. W dodatku podburzyłeś tłum...

– Jesteś żaloszny.

– Zabrać go.

– Nie zatrzymasz tego!

Architekt bez słowa ruszył w stronę swojej twierdzy, przybierając na twarz maskę triumfu. Nie przerywając marszu skinął na Karola, który podbiegł, pytając rzeczowo:

– W czym rzecz?

– Zorganizuj jutro egzekucję i powiadom mnie o szczegółach. Chcę być przy tym obecny.

– Zajmę się tym.

– Wiem, zawsze sumienie spełniasz swoje obowiązki. A masz ich niemało.

– Taka praca.

– Wiem o tym. Dlatego w najbliższej przyszłości odciążę cię z pewnych zadań. Osobiście, albo poprzez kogoś, kogo wyznaczę.

– Dziękuję – odparł sucho mężczyzna. – To wszystko?

– Tak.

– Zatem do zobaczenia o świcie, Architektko.

Naczelnny Nadzorca zawrócił, zerkając z pogardą w stronę placu budowy. Na solidnych fundamentach wznosiły się niezbyt wysokie, kamienne ściany. Mężczyzna uśmiechnął się ponuro do swoich myśli. Sytuacja wymagała podjęcia znacznie bardziej radykalnych kroków niż te, które zaplanował. Na szczęście los mu sprzyjał, miał pod ręką nie tylko odpowiedniego człowieka, ale i doskonały pretekst. Bo kto, nawet

z narażeniem życia, odmówiłby pomocy przyjacielowi w potrzebie? Chyba tylko prawdziwa kanalia.

\*\*\*

Wędrujące po nocnym niebie chmury odsłoniły na parę chwil tarczę księżycy. Błada poświata padła na dwóch, stojących w gęstych zaroślach starszych mężczyzn, pochłoniętych dyskusją. Karol z niedowierzaniem spytał Maksyma:

- Co mam rozumieć, przez „to nie moja sprawa”?
- A co tu do rozumienia? Nie zrobię tego.
- Twój przyjaciel umrze!
- Każdy kiedyś umiera.
- Nie masz za grosz przyzwoitości?
- Trochę drobnych by się znalazło. Za to na koncie oszczędnościowym „dbaj o siebie” zgromadziłem fortunę, dlatego JA wciąż żyję.
- Nie możesz odmówić. Podjąłem pierwsze kroki, mój zaufany człowiek ukrył broń.
- To ten sam typ, który mnie tu zaprowadził?
- Tak.
- Skąd on w ogóle wytrzasnął tę swoją twarz przeciętnego Kowalskiego? A może to jakiś twarzowy niedorozwój...
- Lubisz grać cynika, co? Uważaj, nie każdy ma dosyć talentu, żeby taką rolę uciągnąć. Trzeba cały czas mieć się na baczności, zawsze mieć w zanadru jakiś zgryźliwy komentarz, puentę, a przy okazji uważać, żeby nie przeciągnąć struny, nie popaść w schematyzm.
- Cenne rady, zapamiętam, wzbogacę swój show.
- Ty jesteś ulepiony z innej gliny. Dbasz o siebie, jak każdy w tych ciężkich czasach, pewnie nieraz pobrudziłeś sobie ręce, żeby przeżyć kolejny dzień, ale w gruncie rzeczy sprawiasz wrażenie porządnego człowieka. Jak żyłeś przed katastrofą? Dom, dzieci, żona, prawda? Trochę szaleństw, ale nie na tyle, żeby nie móc wrócić do ciepłego, rodzinnego gniazdka.
- Mówisz o sobie? Nie wychodzi ci ta zabawa w psychiatrę, nie zrobisz ze mnie Oswalda w tej swojej wiejskiej wersji zamachu stanu.
- Obaj wiemy, jaki jesteś. Opuściłeś na moment gardę, panie Maksym. Pamiętasz, o co mnie dziś spytałeś podczas naszej ostatniej rozmowy? Zupełnie sam, z własnej woli, spytałeś o zmianę przydziału dla Judyty. Nie sypiasz z nią, prawie nie rozmawiasz i nie masz żadnego interesu w dbaniu o jej sprawę. Wiesz, co sobie pomyślałem? Może po prostu, chociaż na tysiąc sposobów chcesz temu zaprzeczyć, ta dziewczyna

przypomina ci to, co straciłeś. Namiastka rodziny. Dalej, powiedz mi, tu i teraz, prosto w oczy, że nigdy nie miałeś rodziny, córki. Wyprzij się tego.

Maksym milczał, nie szczędząc w myślach najgorszych obelg pod swoim adresem. Wciąż był słaby i tę słabość bezwzględnie wykorzystywał jego rozmówca, pytając:

– Pewnie nie chciałbyś, żeby coś jej się stało? A przecież niebezpieczeństwo czai się wszędzie. Wyobraź sobie swoją przyszywaną córeczkę nago, przywiązaną do pnia drutem kolczastym, z igliwem w pochwie, czekającą z utęsknieniem na śmierć. Winę, jak zawsze, zwałę na sanoczan. Same plusy!

Nagły ból głowy zamroczył starego. Fala nienawiści nieomal odebrała mu zdolność oddychania, szum pędzącej w żyłach krwi stłumił wszelkie inne odgłosy. Coś w jego spojrzeniu musiało jeśli nie przestraszyć, to przynajmniej poważnie zaniepokoić Naczelnego Nadzorcę, gdyż cofnął się o krok, tłumacząc:

– Bądź rozsądny, wiesz o jaką stawkę idzie w tej grze. Po prostu zrób swoje, a nikomu nie stanie się krzywda. Wręcz przeciwnie, to miejsce wiele zyska.

– Daruj sobie to wieszczenie dobrobytu. Zrobię to, zabiję Architekta. I strażników. Ty też dostaniesz swoją działkę.

– Pamiętaj tylko, żeby dobrze wymierzyć. Mam zostać ranny, a nie trwale okaleczony. I oszczędź mojego „Kowalskiego”. Powtórzyć ci plan?

– Słuchałem za pierwszym razem, wiem, gdzie co jest.

– Siedem nabozi to aż nadto, nawet jeśli wyszedłeś trochę z wprawy. Poza tym, będziemy całkowicie odsłonięci.

– Wiem.

– Powodzenia.

Karol oddalił się śpiesznie, rozglądając się nerwowo na boki. Maksym odczekał czas, który wydał mu się kwadransiem, i również ruszył w stronę zabudowań. Marzył teraz o chwili snu, ale ta kusząca perspektywa nie wchodziła w grę. Z żalem pomyślał o rozklekotanym, nakręcanym budziku, który wchodził w skład cennego ekwipunku pozostawionego w Krakowie. Wspomnienie miasta królów skierowało jego myśli na nowe tory. Judyta. Wbrew temu, co sugerował Naczelnny Nadzorca, nie uważał jej za przyszywaną córkę. Przypominała mu raczej pewną dziewczynę, która przez pewien czas spędzała czas z jego starą gwardią. Butna, buntownicza, pijąca na umór. Była jak porzucony pies rozpaczliwie szukający uwagi jakiegoś człowieka. Taki kundel, który nieważne,



czy dostawał kielbasę, czy kopniaki, byleby tylko wejść z kimś w relację, zaistnieć, zostać zauważonym. Tamta pocieszna gówniara przepadła na długo przed końcem świata. Jak zawsze pewna siebie, a przy tym tak beznadziejnie ufna, skończyła na dnie Wisłoka. Wiedział wtedy z kim się zadawała, nieśmiało ostrzegał. Słowa, tylko tyle miał wtedy do zaoferowania. Maksym poczuł na barkach brzemień odpowiedzialności. Z uśmiechem powitał ten dawno niedźwigany, słodki ciężar. Razem z Dymitrem ciągnął Judytę w mulistą otchłań konsekwencji podjętych przez nich decyzji. To musiało się skończyć. Mimo tego wszystkiego, co w życiu zrobił, do czego dopuścił, wciąż, wbrew sobie, był człowiekiem z poczuciem sprawiedliwości. Kanalią i nikczemnikiem również, ale z wyboru, nie z natury. I nie mógł pozwolić, żeby kolejna dziewczyna spoczęła przez niego na dnie.

## Rozdział VIII

Od chwili opuszczenia zabudowań Megiddo nie minęło wiele czasu, lecz delikatny półmrok zdążył już całkowicie zniknąć, ustępując blaskowi wschodzącego słońca. Dymitr ziewnął przeciągle. Poczł przy tym nieprzyjemny ucisk na nadgarstku dłoni, którą odruchowo zamierzał zasłonić usta. Skrępowane za plecami ręce zaczynały cierpnąć, co mężczyzna skwitował jedynie ponurym uśmiechem. To już nie miało znaczenia. Maszerował w milczeniu, z dwoma strażnikami za plecami i Karolem z przodu. Obok niego kroczył Architekt, wyglądający najgorzej z całej grupy. Nienaturalnie bledy, z podkrążonymi oczyma, sprawiał wrażenie, jakby nie zmrzążył tej nocy oka nawet na sekundę. Wydawać by się mogło, że to on ma zostać stracony tego ranka. Dymitr zerknął w prawo, w stronę kamieniołomów. Cisza panująca w tym miejscu przed rozpoczęciem pracy wydała mu się niemal niestosowna. Zaraz po tym nadeszła myśl, że już nigdy nie będzie miał okazji dźwżyć w dłoniach przyjemnie ciężkiego młota i mozolnie walczyć ze skałami. To był już koniec.

– To koniec – stwierdził Architekt, wywołując u skrępowanego mężczyzny nieprzyjemny dreszcz.

– Taa – mruknął Dymitr.

– Podziwiam twój spokój, mną przez całą noc targały silne wątpliwości.

– Jak widać całkiem się rozwiały, skoro wciąż jestem uwięziony.

– To niełatwa decyzja, odebrać komuś życie. Byłbyś cennym sprzymierzeńcem. Twoje przejście na moją stronę byłoby dla Niego jak policzek.

– Zapewne.

– Nie obawiaj się, wszystko pójdzie gładko. Karol dobrze zaplanował egzekucję. Staniesz na krawędzi murku, z którego spadł Andrzej i dostaniesz strzał prosto w tył głowy. Resztki życia wytrząsniesz z siebie upadek.

– Pociuszające! – huknął Dymitr, przystając raptownie.

Natychmiast poczuł na plecach dwie lufy pistoletów, ale nie zamierzał podjąć przerwane marszu.

– To obojętnie, gdzie mnie zabijecie. Może być i tutaj.

– Egzekucja MUSI przebiec ściśle według planu – poinformował sucho Karol.

Coś w spojrzeniu Naczelnego Nadzorcy sprawiło, że Dymitr ruszył z miejsca, rozpaczliwie próbując uspokoić rozszalałe myśli. Ten wzrok coś znaczył! Na pewno! Mała iskierka nadziei nagle zapłonęła w umyśle skażca, zadając mu swym istnieniem niemiłosierne tortury.

Pogodzony ze swoim losem, nagle poczuł jak oblepiają go wątpliwości. Nieprzyjemne uczucie potęgowało się z każdym przebytym metrem, a rozbudzona nagle wola życia mąciła myśli. W pewnej chwili gotów był nawet paść na kolana i skomleć u Architekta o wybaczenie. Nie! – warknął do siebie w myśli. Nikomu nie da tej satysfakcji, a szczególnie nie fanatykowi o psich oczach. By nie myśleć już więcej o tym, co czeka go za kolejnym zakrętem, zagadnął Architekta:

– Jak myślisz, dlaczego my, ludzie, mielibyśmy zostać zniszczeni przez Boga akurat teraz? Z dekady na dekadę na świecie było przecież coraz lepiej. Nauka, medycyna, wszystko szło do przodu. Najbiedniejsze rejony ziemi, ciężko i po trupach, ale jakoś tam się rozwijały. Jeszcze dwa, trzy wieki i obszar cywilizacji znacząco by się poszerzył.

– Słowa godne dziewiętnastowiecznego inżyniera brytyjskiego na wycieczce po Indiach albo Afryce. Ale masz rację, w bogatszych zakątkach ziemi żyło się już całkiem dobrze. I może rzeczywiście to ciągle bogacenie się zachodu kiedyś doprowadziłoby do zgromadzenia tak znaczącego kapitału, że starczyłoby go i dla biedniejszych, choćby tylko na pokaz. A nie, czekaj, przecież tak właśnie było...

– Więc dlaczego uważasz, że Bóg akurat teraz postanowił wszystko zniszczyć, a nie na przykład podczas drugiej wojny światowej, kiedy człowiek służył za podpałkę? – spytał zrezygnowany Dymitr.

– Sam odpowiedziałeś na to pytanie. Stabilizacja. Ułomna i iluzoryczna, ale stabilizacja. Po wykrwawieniu się ze wszystkich możliwych ran w dwudziestym wieku coś się ruszyło, zaświtała dla nas jakaś szansa. I ktoś, kroczący doliną głębokiego cienia, zamiast jak zawsze wznieść wzrok do góry, po prostu zapalał latarkę. Rozumiesz?

– Że niby Bóg poczuł się pominięty przez ludzi? Bo krnąbrne dziecko samo zaczęło naprawiać zepsutą zabawkę?

– Powiedzmy.

– Nawet największy zwyrol nie połamałby za to dzieciakowi ręk – skwitował Dymitr.

– Widać już zaporę – odparł bez związku Architekt.

Skazaniec mimowolnie wzdrygnął się, pogardliwie stwierdzając:

– Możemy sobie teoretyzować, ale to twoi ludzie mają broń, więc i tak wygrywasz na argumenty, co?

– Proszę, przemyśl moje stanowisko. Zrozum, że zostałeś wykorzystany. I ja również! Mam odegrać rolę kata, a powinienem ci raczej podziękować. Przeszedłem kolejną próbę, a skoro on wysługuje się

ludźmi, którymi przecież wzgardził, musi być coraz bardziej zdesperowany! To wszystko nie dzieje się w próżni, na pewno dyskutują.

– Kto?

– Ci, którzy przy nim zostali.

– Czyli... Anioły?

– Tak – odparł z wahaniem Architekt. – Mogą wybrać drugą stronę, w końcu zawsze byli nam przychylni. Nie kibicuję Szatanowi, ale wróg mojego wroga...

Dymitr wybuchnął serdecznym śmiechem. Przez kilka minut bezskutecznie próbował go powstrzymać, czując przy tym, jak po policzkach spływają mu łzy. Dopiero, gdy zaczął tracić oddech, zdołał nieco się uspokoić. Chichocząc, brał łapczywie hausty powietrza, aż nareszcie był w stanie wydusić z siebie:

– Och! Ta twoja... – zachichotał histerycznie – walka! Ty naprawdę w to wszystko wierzysz. Anioły! Sojusznik Szatana! Ty kretynie! – ryknął, rwąc się do przodu.

Więzy na nadgarstkach naprężyły się do granic możliwości, a napuchnięte do imponujących rozmiarów mięśnie rąk zadrżały spazmatycznie. Jeden ze strażników, dobywając broni stanął pomiędzy nacierającym więźniem a Architektem. Widok lufy ostudził natychmiast zapał Dymitra, który splunął z pogardą i ruszył w stronę tamy. Mężczyzna postanowił, że stanie dokładnie w tym miejscu, z którego spadł Andrzej. Do celu zostało mu jakieś dwadzieścia metrów, gdy Architekt dołączył do niego, szepcząc:

– Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. To po prostu musi się tak skończyć, bo racja jest po mojej, naszej, ludzi, stronie. W tej grze nie ma drugiego miejsca.

Dymitr również przystanął i szeptem coś odpowiedział, lecz nagły huk wystrzału zagłuszył jego słowa.

\*\*\*

Maksym oderwał wzrok od lunety swojej broni, szybko wypuszczając nagromadzone w płucach powietrze. Natychmiast wziął kolejny głęboki wdech i ponownie spojrzął w okular, zmniejszając cały świat do wąskiego okręgu przeciętego krzyżem celowniczym. Dawno zapomniane, przyjemne uczucie absolutnej kontroli powróciło. Znow był w swoim żywiole. Wypalił po raz drugi, powalając zdezorientowanego strażnika. Bez odrywania wzroku od lunety przeniósł uwagę na jego dziwnie spokojnego kompana. Rozpoznał przeciętną, pozbawioną wyrazu twarz

zausznika Karola. Najwyraźniej mężczyzna był pewien, iż podobnie jak jego przełożony, ujdzie bez szwanku. Gdy kolejna kula przebiła mu klatkę piersiową, padł na asfalt z wyrazem powątpiewania na twarzy. Stary wycelował po raz ostatni. Przez dłuższą chwilę wodził celownikiem po ciele niespokojnego Karola zastanawiając się nad wyborem odpowiedniego miejsca. W końcu, z pogardliwym uśmieszkiem igrającym na zaciśniętych wargach, strzelił. Raniony w brzuch mężczyzna upadł, jęcząc przeraźliwie.

– Umowę uważam za niebyłą – mruknął Maksym, podrywając się ze swojego miejsca.

\*\*\*

Tuż po pierwszym wystrzale Dymitr poczuł na twarzy nieprzyjemnie uczucie wilgoci. Zerknął z obrzydzeniem ku dygoczącemu u jego stóp ciału Architekta, pojmując, że część zawartości roztrzaskanej czaszki trupa znajduje się teraz na jego twarzy i ubraniu. Nie mogąc posłużyć się rękoma, spróbował, z marnym skutkiem, wytrzeć o ramiona przynajmniej usta. Tymczasem dwa następne wystrzały powaliły strażników.

– Teraz twoja kolej – zawołał szyderczo w stronę stojącego nieruchomo Karola.

– Nie ciesz się, będę ledwie skaleczony.

Mimo tych słów, Naczelný Nadzorca spojrział z wyraźnym niepokojem na oddalone o kilkadziesiąt metrów zarośla, z których padł właśnie strzał. Mężczyzna runął na ziemię, czując paraliżujący, pożerający wnętrzości ból. Nie mogąc pozostać w bezruchu, zaczął więc się bezładnie, potęgując tym samym cierpienie. Zbliżający się stukot stóp sprawił, że na moment odzyskał pełnię władz umysłowych, ale wola nie była w stanie wygrać z biologią. Jęcząc, na zmianę przyciskał to jedną, to drugą dłoń do rany, mgliście zdając sobie sprawę, że gdzieś obok niego toczy się rozmowa. Maksym sprawnie przeciął więzy Dymitra, tłumacząc pospiesznie:

– Musimy uciekać! Miałem umowę z Karolem, ale musiałem ją złamać. Ten sukinsyn ciągle używałby życia Judyty jako gwarancji mojego posłuszeństwa.

– Czekaj! – warknął Dymitr, rozcierając obtarte do krwi nadgarstki.

– Kto teraz będzie rządził w Megiddo?

– A skąd mam to wiedzieć? Zabiłem też człowieka Karola, który był chyba jego nieoficjalnym zastępcą. Albo po prostu facetem od brudnej roboty, jak ja. Nieważne, chodź!

– Gdzie?

– Do kamieniołomów, zaczekasz tam na mnie. Szybko przyprowadzę Judytę i uciekamy, zanim zacznie się dzień pracy.

– Wtedy nie zostanie nikt, kto zadbałby o upowszechnienie hipotezy, bo przecież Kramer tego nie zrobi!

– Hej? Co ty robisz?! – krzyknął Maksym, widząc, jak Dymitr bierze Karola na ręce jak krnąbrne dziecko, które stłukło kolano.

– Ma jeszcze szansę! Może się jakoś wykaraska, ktoś musi...

– Dymitr! To już koniec, musimy uciekać! On mi tego nie daruje, Judyty też! Chcesz ją poświęcić?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Ach – westchnął stary, cofając się o kilka kroków – więc jednak. Daj mi chociaż czas na zgarnięcie Judyty, uciekniemy we dwójkę.

– Nie mogę, ktoś musi jak najszybciej opatrzeć mu ranę.

– Kiedy tylko zobaczą, jak go niesiesz, natychmiast postawią na nogi wszystkich strażników. Nie wymkniemy się.

– Tak trzeba.

– Sporo razem przeszliśmy – oznajmił smutno Maksym, cofając się jeszcze o kilka kroków – dlatego cię nie zabiję. Tylko spowolnię.

Zanim Dymitr zdążył zareagować jego rozmówca poderwał do ramienia broń i celując przez ułamek sekundy, wypalił. Rosły mężczyzna z krzykiem wypuścił z ramion rannego, samemu również padając na ziemię. Przestrzelona stopa krwawiła obficie, podczas gdy ból na kilka cennych chwil skupił uwagę rannego wyłącznie na sobie. Nim Dymitr zdołał poderwać się i kulejąc podejść do ciała jednego ze strażników, by zdobyć broń, Maksym był już daleko. Mimo tego rozwścieczony mężczyzna zaczął strzelać w ślad za uciekającym, z nadzieją, że chociaż jedna z posłanych w ślepych szale kul sięgnie celu. Dopiero gdy zamek z cichym trzaśnięciem zablokował się w pozycji odciągniętej, a kolejne, nerwowe pociągnięcia spustu nie skutkowały hukiem wystrzału, pojął, że magazynek jest już pusty. Cisnął wściekle bronią, ruszając najszybciej jak potrafił ku pobladłemu Karolowi.

Nie zważając na pulsujący ból stopy, dźwignął rannego Naczelnego Nadzorcę, próbując niezdarnie maszerować. Kulejąc, z zagryzionymi do krwi wargami, mimo wszystko poruszał się wystarczająco szybko, by wiedzieć, że wciąż ma szansę zdążyć na czas. Teraz, gdy został zdradzony przez wszystkich, mógł polegać tylko na sobie. To było dobre. Nikt go już nie spowalniał, na nikogo nie musiał uważać. Czuł ciężar ciała niesionego mężczyzny i własny ból, z którym mógł walczyć.

Żadnych metafizycznych rozważań, debat, kłótni, teorii. Człowiek, który bredził o starciu z Bogiem, leżał z mózgiem na wierzchu, był już tylko mięsem. Zostało tylko swojskie, znane ciało i krew, tu i teraz. Dymitr uśmiechnął się szeroko, czując spływającą po brodzie krew. Po raz pierwszy od bardzo dawna był prawdziwie, prostacko i zwyczajnie szczęśliwy.

\*\*\*

Gdy tylko przebrzmiał ostatni wystrzał, Maksym zwolnił mordercze tempo biegu. Z trudem łapał oddech, a lekki zawrót głowy zmusił go do przejścia w niemrawy, niewiele szybszy od energicznego marszu trucht. Wiedział, że nawet ranny, Dymitr nie da za wygraną. W umyśle starego natychmiast zmaterializowała się wizja rozwścieczonego, kulejącego mężczyzny, który dźwigał Karola, uparcie podążając przed siebie. Nie było żadnych szans na uzyskanie wybaczenia, nie od Dymitra. Maksym wiedział, że niedawny kompan zabije go bez wahania, gdy tylko będzie miał ku temu szansę. Przez moment żałował nawet, że nie skorzystał z okazji i jedynie zranił człowieka, którego kiedyś uważał za przyjaciela. Ten głupi sentyment mógł kosztować go życie. Dysząc ciężko, przyspieszył, zerkając z niepokojem w stronę tafli wody prześwietlającej spomiędzy pni drzew. W głowie roily mu się kolejne pytania. Czy ktoś usłyszał strzały? Zalew musiał przecież dobrze przenosić dźwięk. Co pomyślał pozostali strażnicy? Ilość strzałów była stanowczo za duża jak na egzekucję. Kto jeszcze znał plany Karola? I gdzie uciec z Judytą?

– Nie myśl, biegnij! – warknął pod nosem.

Maksym był już przy kamieniołomie, gdy dostrzegł jakąś postać nadciągającą pośpiesznie od strony Megiddo. Wtedy runął na jezdnię, czując jak impet uderzenia natychmiast odbiera mu oddech. Przez jedną straszną chwilę, był pewny, że w jakiś cudowny, demoniczny sposób Dymitr zdołał go dopędzić i właśnie wywiera swoją pomstę. Rzeczywistość okazała się mniej fantastyczna, a bardziej poniżająca. Powaliła go zwykła nierówność na usianej siecią spękań drodze. Kombinacja złożona z rozbitego nosa, silnych torsji i paraliżującego bólu głowy na moment zamroczyła starego. Dopiero po chwili zrozumiał też, że skręcił kostkę, tracąc przez to jedyną przewagę nad Dymitrem, szybkość. Obolały, podniósł się, czując na ramieniu czyjś troskliwy uścisk.

– Ewa – mruknął na widok podtrzymującej go w pozycji wyprostowanej kobiety.

– Co się stało? Słyszałam strzały i...

– Gdzie wtedy byłaś?!

– Co?

– Gdzie je słyszałaś, w Megiddo?

– Nie, spacerowałam nad brzegiem zalewu. Pomyślałam, że... Może pozwolą mi popatrzeć na ciało...

– Dymitr żyje, Karol prawdopodobnie też.

– A reszta?

– Gryzą piach.

– Nawet Architekt? To niemożliwe!

– Możliwe i wykonalne, kule nie pytają o pagony. A teraz biegnij, przekaż Judycie, że musi uciekać.

– Ale Dymitr...

– Dymitr to świr! Nie obchodzi go nic, poza tą przeklętą hipotezą. Ty, w najlepszym wypadku, możesz znowu zostać jego przenośną wagą na spermę. Mnie zabije, raniłem go, żeby zyskać na czasie. A Karol, jeśli nie zdechnie, dosłownie zarżnie Judytę.

– On nie może umrzeć! Jeśli zabraknie też Naczelnego Nadzorca, to całe to miejsce rozpadnie się na kawałki w ciągu miesiąca!

– Sram na to. To bydlak, użył życia Judyty, żeby wciągnąć mnie w to całe bagno. A Dymitr i tak koniecznie chce go ocalić, chociaż wie, co stanie się wtedy z młodą! Chcesz być z kimś takim? Dalej, biegnij z powrotem! Weź Judytę i uciekajcie, ja jakoś do was dołączę.

– Uciekać? Gdzie, do Sanoka?

– A chociażby, przecież wszyscy stamtąd jesteście! Wcale nie jest tam tak źle, pomijając lekką religijną szajbę, a na pewno normalniej niż tutaj! Dalej! – ponaglił, zerkając za siebie. – Nie ma czasu!

Ewa nie pytała już o nic więcej. Puściła się pędem w drogę powrotną, zostawiając Maksyma własnemu losowi. Mężczyzna spróbował przejść kilka metrów, ignorując wyraźne protesty rozstrojonego organizmu. Z wyraźną satysfakcją odkrył, że upadek nie pozbawił go zupełnie możliwości kontynuowania ucieczki. Nie tracąc czasu, pokuśtykał w stronę opustoszałych kamieniołomów. Był kiedyś w podobnej sytuacji. Bez zapasów, ze zwichniętą kostką, ścigany przez sforę psów. Udało mu się przetrwać trzy lata temu, uda się i teraz. Wystarczy zaszyć się gdzieś na trochę, poczekać, aż Dymitr o wszystkim zapomni. A wtedy znów spadnie na cztery łapy, jak zawsze. Judyta też sobie poradzi, Ewa jej pomoże. Stary uśmiechnął się lubieżnie, bawiąc wyobraźnię scenkami wzajemnej pomocy i czułości, którą mogłyby okazać sobie kobieta i dziewczyna.



– Poradzą sobie – zawyrokował.

Chociaż nierówny teren znacznie utrudniał mu miarowy marsz, pokrzepiał się myślą, że Dymitr jest w gorszym położeniu. Przestrzelona stopa była znacznie poważniejszym obrażeniem niż zwykle zwichnięcie. Maksym pozwolił sobie na triumfalny uśmiezek, był górą.

Żałował tylko, że nie może być świadkiem ostatnich godzin konającego Karola. Upokorzył tego megalomana w chwili jego największego triumfu, ustawił też Dymitra. A przy odrobinie szczęścia Judycie też się powiedzie. Ale to już nie było jego zmartwieniem, zrobił swoje. Może powinien teraz wrócić do Rzeszowa? Na pewno prędzej czy później trafiłby na kogoś ze starych kompanów. Poza tym w mieszkaniu Tadeusza zostało jeszcze nieco zapasów, które przezornie ukrył zaraz po wniesieniu zemdlonego Dymitra, wokół którego krzątała się Judyta. Tak, da sobie radę, jak zawsze. Kto wie, może nawet jakimś cudem trafi gdzieś na Dymitra, rzecz jasna już po jego kolejnej utracie pamięci? To byłoby zabawne, znów cieszyć się z ochrony tego olbrzyma. Ba! Może nawet wspólnie szukaliby tego, kto przestrzelił Dymitrowi stopę! Mięśniak miałby nową „wieżę” do znalezienia. Zdradliwy kamyk uskoczył spod zwichniętej stopy, a stary zarył twarzą w ziemię, szybko porzucając jałowe rozważania. Nie był jeszcze bezpieczny, nie miał prawa do myślenia o niczym, co wykraczało poza schemat tu–i–teraz. Ostatnią, niezwiązaną z przetrwaniem, myśl posłał ku Judycie. Powodzenia, dziewczyno!

\*\*\*

Ewa dosłownie zwlokła Judytę z łóżka, nie siląc się na żadne wyjaśnienia. Pozostałe lokatorki domu mieszkalnego, w którym nocowała dziewczyna, zignorowała lub udzieliła zdawkowych wyjaśnień, tłumacząc, że w grę wchodzi poważna awaria w kuchni. W kilka minut później obie były już na zewnątrz, maszerując energicznie ku budynkowi szkolnej świetlicy. Ewa, nie zwalniając tempa, tłumaczyła:

– Uciekamy stąd, młoda. Weźmiemy z kuchni worki i napakujemy do nich tyle jedzenia, żeby starczyło przynajmniej na trzy dni. Ale nie za dużo, bo za bardzo się zmachamy.

– Ale dlaczego?!

– W największym skrócie, Architekt nie żyje. Dymitr niesie tutaj ranego Karola, który będzie chciał cię zabić.

– Co?!

– To jakaś zemsta za Maksyma, to chyba on go postrzelił.

– Wiedziałam! Przez tego kutasa...

– Zamknij się! Staruch gnał tu na złamanie karku, żeby cię ostrzec. Gdyby po drodze nie zafundował sobie lekkiego wstrząsu mózgu, pewnie on by cię budził.

– Ale Dymitr! Skoro żyje, mógłby...

– Zapomnij o nim – ucięła ostro kobieta. – Podobno teraz myśli tylko o jakiejś hipotezie.

– To nie nowość.

– Maksym musiał go postrzelić, inaczej byłby już tutaj razem z Karolem. A to podobno byłoby równoznaczne z wyrokiem na ciebie.

– To też... żadna nowość – przyznała smutno dziewczyna. Ta hipoteza to dla niego wszystko. Ale to naprawdę ważna sprawa!

– A dasz się za nią zabić?

– Nie.

– Więc ruchy!

Ewa przyspieszyła, zmuszając do tego samego swoją nowo nabytą towarzyszkę niedoli. Na rozmowy będą miały aż nadto czasu, teraz liczyło się tylko tu–i–teraz. Nic więcej.

\*\*\*

Tego popołudnia na sanockim rynku panowało niezwykle poruszenie. Wieść, że do miasta zawitały uciekinierki z Megiddo błyskawicznie obiegła już większość mieszkańców, którzy tłumnie ciągnęli pod ratusz. Tymczasem zatroskany Jarosław bębnił palcami po brodzie, obserwując, jak dwie wymizerowane kobiety pochłaniają łapczywie zaferowany im posiłek. Mężczyzna spokojnie korelował w myślach wszystkie uzyskane od nich informacje, co pewien czas zerkając ku gęstniejącemu tłumowi. Oczy gapiów coraz częściej zatrzymywały się właśnie na nim, wyraźnie oczekiwano od niego jakiejś decyzji.

– Moi drodzy – zaczął niezbyt pewnie. – Nie ma potrzeby przerywać wyznaczonych prac...

Umilkł szybko, miarkując, że zaintrygowany tłum nie ma najmniejszego zamiaru zwyczajnie się rozejść, by spokojnie poczekać na pełne wyjaśnienia.

– Co z nimi będzie? – spytał ktoś.

Niespokojny szmer przebiegł po zgromadzonych, którzy spojrzeli wyczekująco na Jarosława. Również kobiety przerwały na moment posiłek, podnosząc nieco złknięte oczy w jego stronę. Poczucie wagi swojej pozycji w społeczności przyjemnie polechtało ego mężczyzny, skłaniając go do śmiałego oświadczenia:

– Podjąłem decyzję w tej sprawie! Te dwie dzielne kobiety, z narażeniem życia przybyły do nas, by obwieścić wspaniałe nowiny! Architekt nie żyje! A jego pomagier, Karol, jest ciężko ranny.

Kakofonia ludzkich głosów, pełnych niedowierzania okrzyków i oznak radości na kilka minut wypełniła powietrze, uniemożliwiając Jarosławowi ponowne dojście do głosu. Dopiero, gdy wrzawa nieco ucichła, zdołał dodać z dozą sceptycyzmu w głosie:

– Naturalnie sprawdzimy te rewelacje, ale wierzę, że nie mamy tu do czynienia z oszustwem. Najbliższe miesiące mogą okazać się dla nas wszystkich kluczowe! Teraz, gdy nareszcie upadł fałszywy prorok, nasza CAŁA społeczność ma szansę ponownie się zjednoczyć.

– Co będzie z nami? – wtrąciła się Judyta, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Ewy.

– Zostaniecie pod naszą opieką, dopóki nie potwierdzimy waszych informacji.

– A potem?

– Wasz wybór, jeśli...

– Podporządkujemy się, to będziemy mogły zostać – dokończyła dziewczyna.

Mężczyzna skinął głową, dodając:

– Teraz powinniście odpocząć. A wy – zwrócił się do tłumu – wróćcie do swoich zajęć! Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, będzie nam potrzebna dyscyplina.

Część ze zgromadzonych ludzi natychmiast posłusznie odeszła, inni, pochłonięci rozmowami, zostali jeszcze przez chwilę, lecz wkrótce również zastosowali się do polecenia Jarosława. Mężczyzna spojrzał triumfalnie na pusty plac, zwracając się do kończących posiłek kobiet:

– Możemy już iść na zamek? Trzeba wam przygotować kwatery i porządną kąpiel.

– Byłoby cudownie – odparła z wdzięcznością Ewa.

Judyta zdobyła się jedynie na koślawy uśmiech. Nie wiedziała jeszcze, czy będzie miała ochotę tutaj zostać. Ani gdziekolwiek indziej. Podczas kilku ostatnich dni spędzonych w towarzystwie Ewy nieustannie czuła rosnący niepokój, dobijało ją również poczucie straty. I nie chodziło o to, że prawdopodobnie nigdy nie spotka żadnego z towarzyszących jej dotąd mężczyzn. Dymitr, Maksym. To były tylko imiona. Odkryła nagle nieznaną dotąd pokładę życiodajnego egoizmu. Gdyby znów znalazła się w Krakowie, nie broniłaby już łabędzi, raczej wykorzystała je jako ciekawe urozmaicenie diety. Chociaż z Ewą walczyły wspólnie

o przetrwanie, to los starszej kobiety był jej właściwie obojętny. Ta nagła zmiana, dogłębna i szczerza, przeraziła dziewczynę. Oczywista przecież myśl, że jest sama na świecie i może liczyć tylko na siebie, nagle w pełni dotarła do jej świadomości. Tak oto po pięciu latach, wyczerpana, choć z pełnym brzuchem, pośrodku rynku urokliwego, galicyjskiego miasteczka nareszcie pojęła, że świat naprawdę się skończył. A każdy człowiek na ziemi miał do spełnienia tylko jeden obowiązek, wobec siebie i swojego gatunku – umrzeć jak najpóźniej.

Po raz pierwszy od kilku godzin słońce zdołało przebić się przez ciemne kłębowisko chmur. Tu i ówdzie na szarym nieboskłonie pojawiały się wąskie prześwity, przez które sączyły się kolumny światła. Naturalne reflektory oświetlały wysokie, śnieżne zasy – efekt trwającej od rana burzy. Białe puch zdążył już pokryć znaczną część okien w opuszczonym blokowisku, pogrążając wnętrza niszczonej mieszkani w delikatnym półmroku. Jednak jedno z nich, ulokowane na ostatnim, czwartym piętrze, wyróżniało się czymś spośród innych, martwych lokali. Za brudnymi, zaśniewanymi szybami jego okien wciąż trwało ludzkie życie.

W rozbitym przez ból umyśle nieśmiało zabłysła pierwsza iskra świadomości. Z chaotycznego natłoku myśli, wrażeń i mglistych wspomnień z wolna zaczął wyłaniać się w miarę klarowny obraz rzeczywistości. Mężczyzna otworzył oczy, wziął głęboki wdech, przełknął ślinę. Kończyny poruszyły się niemrawo, a z ust dobiegł cichy jęk. Samoświadomość powoli wypełniała kolejne zakamarki zdewastowanego umysłu. Żył.

Niemrawo wygrzebał się spod grubej kołdry, wciągając do płuc cierpki fetor potu. Nagie ciało zadrżało w zetknięciu z chłodnym powietrzem, ale nie zwrócił na to uwagi. Zamiast tego z zainteresowaniem spojrzął na lewe przedramię, na którym ciąg drobnych, na wpół zagojonych blizn układał się w wyraźny napis: JESTEM DYMISTR! Rozejrzał się, otumianiony po pomieszczeniu. Dostrzegł złożone na krześle ubranie oraz skromne zapasy konserw i butelek z wodą. Pomiędzy klamkami okien rozciągnięty był drut, na którym wisiały liczne pasy wysuszonego mięsa, a tuż pod nimi, na parapecie, leżała zakrwawiona, jeansowa kamizelka. Gdzieś z głębi mieszkania dobiegł go jakiś szmer. Czyżby nie był tu sam? Na razie nie miał ochoty tego sprawdzać. Mężczyzna, który poznał swoje imię z blizn, ruszył w stronę okien. Wkrótce zatopił zęby w suszonym, dobrze zasolonym mięsie, godząc się z myślą, że nie wie o sobie niczego.

– Jestem... Dymitr – wymamrotał z pełnymi ustami.

Wszystko to było dziwne, bardzo dziwne. Nawet to mięso smakowało jakoś... inaczej. Było w nim coś niepokojącego, przywołującego nieokreślone złe wspomnienia, a przy tym cudownie kuszącego. Jak lisak skradziony z matczynej kuchni tuż przed obiadem. Przymknął powieki, czując, jak budzą się w nim ochłapy pamięci.

To był koniec cywilizacji, świat przestał należeć do ludzi. Homo sapiens nie miał już przyszłości, dominujący gatunek został skreślony.

Większość ludzi zginęła, a kobiety przestały rodzić. Martwe łona w umarłym świecie. To pasowało. Nastał, tak żarliwie zwiastowany przez popkulturę, ósmy dzień dzieła stwórczego – czas po końcu świata. Postapokalipsa. Otworzył oczy i powoli wciągnął zatęchłe powietrze do płuc. Nadal żył. I miał świadomość, że wygrał. Nie wiedział, kogo pokonał, zresztą to nie było istotne. Coś osiągnął, spełnił jakiś cel, zwyciężył.

– I co teraz? – spytał sam siebie, spoglądając na pusty, biały świat za szybą.

*B.T. Muszyński,*

*3 sierpnia, 2013*

## Spis treści

Prolog	4
Rozdział I	5
Rozdział II	31
Rozdział III	56
Rozdział IV	80
Rozdział V	107
Rozdział VI	130
Rozdział VII	150
Rozdział VIII	177
Epilog	188